

De.II  
TOM CCLXIX.

SERYA 9.

ROK 68.

ZESZYT 806.



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

L U T Y.

1908.

TOM I.—ZESZYT 2.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—  
1908.

## TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. PAN BALCER W BRAZYLI, — przez <i>Maryę Konopicką</i> . . . . .	225
2. TRAGEDYA SUMIENIA, — przez <i>W. Gostomskiego</i> . . . . .	245
3. ŁUNA, — przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i> . . . . .	285
4. WSPÓŁCZESNY DRAMAT ANGIELSKI, — przez <i>Maryę Rakowską</i> . . . . .	313
5. NIEMCY W GALICYI, — przez <i>G. Smólskiego</i> . . . . .	340
6. SZTUKA WE FRANCYI, — przez <i>Konrada Ostrowskiego</i> . . . . .	381
7. PIŚMIENNICTWO: CZERMAK WIKTOR: <i>Ilustrowane dzieje Polski</i> , — przez <i>Edwarda Bogusławskiego</i> . . . . .	400
8. KRONIKA MIESIĘCZNA: Prace kulturalne i ich „gwiazda przewodnia.“ — Obrady Centralnego Towarzystwa rolniczego. — Likwidacya Macierzy Polskiej. — Polskie Towarzystwo krajoznawcze . . . . .	410
9. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE . . . . .	423

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 2.



De. I. 1.

## Pan Balcer w Brazylii.<sup>1)</sup>

### VI.

Dopiż kto pojadł, a miał już do syta,  
Wzdechnął, rzemienia puścił z chudych boków,  
A twarz mu nędzna i we łzach obmyta  
Przyśmiechiwała się, jak zarz z obłoków.  
Odsapnął Marcin Kos, iż mu jelita  
Chleb rozprostował i złuźnił, jak troków  
Skręconych, w onym to niezbytym głodzie,  
I wnet się dusza ruszyła w narodzie.

Zabłyły oczy, jak iskry w popiele,  
Chrzęstnęły w stawach przeciągane koście,  
A żywe ciepło rozległo się w ciele  
Zaziębłem, wyschłem, po długim zbyt poście.  
Brząk poszedł kupą, jak kiedy się lele  
W złotą uwiążą wiechę. Już gwar roście,  
Już wrzawa, już huk buszuje, jak z kadzi,  
A każdy rzecz swą do siebie prowadzi.

— A już też, wiera, nie puścim was, braty, —  
Krzyknie stateczny chłop — jeno musita  
Do nas w gościnę! — Aby przez próg chaty! —  
Zawrzaśnie drugi. — Aby nasze byta  
Obaczyć, pola, ten jęczmień wąsaty!...  
— Co się tam prosić! Zabierzem i kwita!  
Niechże choć nockę znocują przed drogą  
Pod dachem! Niech się na siłach wspomogą!

1) Patrz zeszyt z lutego r. 1906.

Miło mi w sercu zagrały te słowa.  
 Pojrzę po oczach naszym, szukam rady...  
 A jako byłem ja teraz ich głowa,  
 Więc otrę wása i tak od gromady  
 Rzekę: — A niechże Bóg święty zachowa,  
 Byśmy tu z wami, bracia, mieli zwady!  
 Dzień-ci nie wieczność, a piór nie ubędzie  
 Ptaku, choć sobie na witce przysiedzie!

Chrząknę, chcę dalej, wtem ryk .. Aż mi skóra  
 Pocierpła. Z boku stał z kopicą siana  
 Wóz drabiniasty. Przy wozie Sekura.  
 Piersi w wóz wparte, twarz w siano schowana,  
 Pleco mu trzęsie okrutna wichura  
 Srogiego płaczu, struchlałe kolana  
 Prawie że kłęsną, a skroś tej zawiei,  
 Ryk z chłopa idzie, jak ze zwierza w kniei.

Zaczuł! Sianokos zaczuł. Łęgi nasze.  
 Nadbużne błonia z zapachy kwietnemi.  
 One to rośne, nieobeszłe pasze,  
 Nabrane słodkim dechem matki-ziemi.  
 Zasłychnął chrzęsty kos, świergoty ptasze,  
 Aż wóz objąwszy rękami drżącemi  
 Wparł nędzną głowę w więź siana, i rykiem  
 Følgewał, niemym nie władnąc językiem.

Rzucą się chłopa odrywać, — nie dałem.  
 Niech ta nacieszy się! Niech ta nadycha!  
 Niech mu ta ulży pod łzów tych nawałem.  
 A już wolnieje płacz, już chłop nacicha,  
 Jeszcze drga chwilę wychudłem tem ciałem,  
 Zaczem podnosi łeb zjeżony, wzdycha,  
 I błędnem okiem dokoła powodzi,  
 Jak ów, co ze snu twardego odchodzi.

Tak zaraz prędkim ciurkiem poszły mowy,  
 Co z brzegu cichsze, na ucho szeptane.  
 — A jaką-że to przygodę miał owy?  
 Czy przyrok? Czyli tak co miał zadane?

Aż się uczynił harmider takowy,  
 Żeś nie rozumiał nic. Tak tedy wstanę,  
 Tę nędzną głowę obejmę Sekury  
 I krzyknę: — Bierz się, bracie, na pazury!

Ale przy wozie stał chłop z głową siwą  
 Sparty na długiem biczysku, i słuchał  
 Onego gwaru, co szumiał, jak piwo  
 Młode, to cichnął w sobie, to wybuchał.  
 Lico zbrudzone chłop miał, jak gdy niwą  
 Brona przejedzie, i w krótki wąs dmuchał.  
 Aż rzecze: — Nie dziw! Toć i mnie, jak żywa,  
 Ziemia się stara nocami obśniwa!

Tu legnę, tum się naciągał za wołu,  
 Trza spać, — a tu mi, jakby kto małował...  
 Widzę caluską wieś, z polem pospołu,  
 I z dawną chatą... On dach, onże pował  
 Bielony, izbę, stół, ławy u stołu...  
 On sad wiśniowy, com go se shodował...  
 Ten rechot żabi słyszę... To ćwierkanie  
 Wróbli... Ta studnia na oczach mi stanie...

A wszystko ciągnie, rwie, krzyczy, dociska,  
 Jako ta zmora, kiej na pierś ci siedzie...  
 To wnet-byś rzucił te nowe siedliska,  
 A brał te pióra bieluskie, łabędzie,  
 I płynął... Taka ci ta ziemia blizka,  
 Choć je daleka! Pietnaście już będzie  
 Roków, jak my tu, a precz trzyma sznura  
 W garści... nie puszcza! — Wtem baba niektóra:

— Już my i na mszę dawali do fary,  
 I do dochtora chodzili, — a na nic!  
 Dał dochtór prostek — i co? — To mój stary,  
 Odkiela odstał od tamtych ta granic,  
 Płata się nocą, by bocian bez pary,  
 Kie sie sam lecieć porwie z gniezdnych dranic.  
 A chłop westchnąwszy: — Na duszy człek chory.  
 Co mi tam prozki! Co mi tam dochtory!..

Dawniej my mieli kujawskie kapoty  
 Z Inowrocławia, a młodzi lejebiki.  
 Teraz co? Daje sukno do roboty,  
 To nie wie, głupi szwacz, iżę guziki  
 Ku fałdom idą w tył, a zaś wywroty,  
 Trza dokół taśmą. To jak te fircyki  
 W spencerkach chodzimy,—w płudrach, jak ten kusy...  
 Tfu!... A co baba wytknęła obrusy

Doma, ręczniki, płachty, płócien kopy,  
 To tera wszyćko kupuj, a trzęś kiesy...  
 Pobogaciały, prawda, nasze chłopcy,  
 Aleć bogactwa te, te jenteresy,  
 Tak mi się widzą, jak w bajce. Tu snopy  
 Złote, tu skrzynie świecą z pod przyciesy  
 Pełne dukatów... Dmie Bartek w dziedzica,  
 A przecknie, ściśnie w garści, — sama czczyca!

A wtem mu insi w rzecz wpadną: — Co gadać!  
 Świat kołem chodzi, my na nim, — i tyła.  
 I co tu takie tam mowy powiadać,  
 Co za uszłęgo nie stoją badyła!  
 Siadajcie lepiej na wóz, macie siadać.  
 Czas leci, a tu opętana mila  
 Do farmów! (Niby na ten pomiar stary,  
 Bo tutaj drogi inakszej są miary).

Ale Marychnę w mig pojęły baby.  
 Nuż się dziwować onemu dzieciątku...  
 — A jak też stary?.. — A czy też nie słaby? —  
 — A jak z nim było z samego naczątku?..  
 — Tfu, na psa urok! — A czy też mu aby  
 Pokarm plaguje? — A jak też chudziątku  
 Rzekają? — Chrzcony? — Reta! Na okręcie?..  
 A będzie też to ten chrzest miał przyjęcie

Do parachfii?... Bo tu są ajrysze...  
 (Taki ta naród!) — I biskup się wiedzie  
 Z ajryszów. To jak mentryke ci pisze,  
 A nie wyłożysz mu na stół poprzedzie

Piąci dolarów, — (boć i tu hołysze  
Różne się trafia) — to tak ci przejedzie  
Piórem po karcie, że nie wiesz, czy Paweł  
Dziecku je, czyli na to mówią, — Gawęł!...

Rzecz Marychna: — A co mu tam na tem!  
Nie będzie on tu, robaczek, Gawłował,  
Ani Pawłował! Nijakim my światem  
Tu nie ostaniem. — Co? Będziesz wędrował  
Aże do Wólki z matusią i z tatem?...  
Jak się to śmieje... Toć kie nas ratował  
Do dziś, zratuje i dalej w potrzebie,  
Ten najwyższy Bóg, Ociec na niebie!...

Westchła. Wzdychają insze z kompanije.  
Ta głową kiwa, ta pociąga nosa,  
Rzęsne korale chrobocą u szyje,  
Co na nie dobrze popuścił chłop trzosa...  
Jedwabne chusty, kryzy, szalawije  
Wstęg różnych, — a ta, między niemi, bosa,  
Jako lelija polna, tylko zasie  
Przyodmieniona tą nędzą w swej krasie.

A wtem parobczak tęgi huknie z bata.  
— Siadać, to siadać! Prosimy w gościnę!..  
Tu buchnie wrzawa: — Czem chata bogata!..  
— Na łyżkę barszczu do nas! — Na gęsinę!..  
— Prosimy pięknie! — A nogą, Dropiata!  
A przestęp! — Jedźwa, w szczęśliwą godzinę!  
— Jazda, przejazda! — Siadać, zatem potem!..  
Siedlimy. Wozy ruszyły z turkotem.

. . . . .  
— Wszystko my tutaj, chłop w chłopa Burniaki —  
Tyle że każdy przezwisko dodaje...  
Rodem my całym ruszyli, jak ptaki,  
Co kupą lecą na one wyraje.  
Ufundowalim wieś polską — Rodaki.  
Ziem dobra. Jeno insze obyczaje,  
I mowa insza... Że nim się dokupi  
Do zrozumienia, człek chodzi, jak głupi.

Podatek płacim duży. Ale czasy  
 Dobre są. Co rok urodzaj dwojaki...  
 Że nam się one ofisy, szparkasy,  
 Niebardzo jakoś dawają we znaki...  
 A co gdzie inisi od nas poszli w lasy,  
 Karczować, — wszystko zmarniało, chudziaki,  
 I zeszło na psy! — A nas tu osady  
 Jest do półsetka. Dawamy se rady. —

Tak mówił tęgi chłop, wielgolud prawy,  
 Co fajkę kurzył siedząc na rozworze.  
 A już przed nami, skroś drożnej kurzawy,  
 Ukazowało się bujne pomorze  
 Łąk niskich, w wielkie zapuszczonych trawy.  
 A wpodłuż drogi, wśród drzew, dwór przy dworze,  
 W ogrodach, w gankach, w słupkach, w lśniącej blasze...  
 Tak ów: — A oto i Rodaki nasze! —

Więc jak wesele jechałoby właśnie,  
 Zaczęła młodzież: — Ognia z pakuł! — wołać.  
 Jakże nie hukną z batów! Jak nie trzaśnie  
 Stokrotne echo w niebieską tę połąć!  
 Jakże ten podrób domowy nie wrzaśnie!  
 Jak się nie porwą w lot, nie mogąc zdołać  
 Piechtą, kokosze z tem gdakaniem srogiem!  
 Jak psi nie wezmą ujadać przed progiem!

Tak w onej wrzawie stanęlim w folwarku  
 Godnym. Skoczył gospodarz z rozwory,  
 Otworzył bramkę, zdjął czapkę, i karku  
 Zniżywszy, jak szlachcic uderzył w honory...  
 Sypła się czeladź, patrząca podarku,  
 Z domu, z ogrodu, z stodoły, z obory...  
 A ów: — Witajcie! Prosimy przez progi!  
 Matka! A szykuj do barszczu pierogi!

Tak my złazili z wozów. — Pochwalony!  
 — Na wieki! — Każdy gości se obiera.  
 Już Burniak-Rogacz i Burniak-Smolony,  
 Burniakom-Gradom Marychnę wydziera,



Już Burniak-Fiała, już Burniaki-Wrony  
 Bandysów wiodą, a Burniak-Kozera  
 Rocha Zatrętę i Kosa Marcina...  
 Tak nas gościła tam caluśka gmina.

Ale największa gromada ostała  
 U gospodarza. Ten Burniak—był—Skwara.  
 Człek grzeczny, w świecie bywały, bez mała  
 Na wójta patrzył. A zaś jego stara  
 Na nieszczaneczkę. Ano, Bogu chwała!  
 Roztasowaliśmy się godnie zara,  
 Zara przepili na szczęście, na zdrowie,  
 Wszystka drużyna i sami Skwarowie.

Pojrzę ja dokół, — parada! Człek nie wie  
 Gdzie splunąć. Wszędzie świeci się, jak szklanka.  
 Podłoga drobno heblowana w drzewie,  
 Szafy, komody, u okien firanka,  
 Zegar bijący przy kukułczym śpiewie,  
 Lampa, lichtarze, na miejsce kaganka,  
 Stołki nadobnie pobijane w kwiaty,  
 A zaś na łózkach pod sufit piernaty.

— Prawda, zem takiej nie widział świetlicy,  
 Chyba u księdza-brata. I to — kto wie...  
 (Bo, jak mówiłem, na Grodzkiej ulicy,  
 Mam brata księdzem, w samiuśkim Krakowie,  
 Ten mieszka w branie, zaraz przy dzwonnicy  
 Na lewo, a zaś Balcerski się zowie).  
 Prawda, bogactwa wszelakiego zadość...  
 Że patrzeć na to choćby, już jest radość.

— Niemałom ja się naciągał, napocił,  
 Nim ten hauz stanął — gospodarz mi rzecze.  
 — Ale żeby mi kto drogę wyłocił,  
 A znów pod Prusa gnał — nie pójdę, człeczko!  
 Tuś się do życia wolnego zochocił,  
 Żaden cię landrat, landpluder nie wlecze...  
 Polska, powiadasz?... A cóż mi za taka  
 Polska, co ja w niej mam słuchać Prusaka!

— Mój gospodarzu! — rzekę — Plujcie na to,  
 Póki nie tyka wam nikt waszej wiary!  
 Nie ino czapę, i duszę rogatą  
 Musi mieć polski chłop! A wy tam stary  
 Ród, w onych ziemiach siadły... Imam za to,  
 Że wszystkich zbierze zaś jakiś rok jary...  
 Prusak nie wieczny, przemienie za czasy,  
 Gdzie były lasy, tam znów będą lasy!

. . . . .

Dymił barszcz z misy, kurzyły się garki,  
 Kiedy się dźwierze rozwała w dwie poły,  
 I wpadnie dziatwa Skwarów, (Niby—Skwarki),  
 Powracające tej pory ze szkoły.  
 Czwoργο ich. Chłopców i dziewcząt dwie parki,  
 Bieluśkie w sobie, by ziarna jemioly.  
 — Jeść, Muser!—krzyczą.—Gudbei Faser!—wrzeszczą,  
 Tylko im one słowa w zębach trzeszczą.

Zachrząknął stary Skwara. Może z dumy,  
 Może ze wstydu.—Obcej ich tu mowy  
 Uczą we szkole — rzekł. — Ale rozumy  
 Tęgie, choć gada to inszemi słowy.  
 Cóż robić! Trudno inak, moje kumy!  
 Ale ja, bacząc trafunek takowy,  
 Spytam: — A jak się zowiecie, rabiata?  
 Wrzasną: Frank, Czarli, Misbasia, Miskata!

— Tfu!—splunę na to i zatrzęsę głową,  
 A i do śmiechu mi jest, i do płaczu  
 Nad oną, niby to swojacką mową,  
 Poprzetykana, jak bobem w kołaczu,  
 Jakowąś gwarą odmienną i nową...  
 A i cóż tobie, ty polski oraczu,  
 Po całym kramie tym, po całym szumie,  
 Jak ciebie własne dziecko nie rozumie!

Toć w żadnej inszej mowie, w całym świecie,  
 Tej gorącości niemasz, tego ducha...  
 Czy matce — matko, czyli bracie — bratu,  
 Po polsku rzeczesz, to aż ogień bucha,

Taka ci słodkość w tem, taka woń kwiatu!  
 A to i Chrystus Pan najradziej słucha  
 Polaków. A ten Ojczenez — sam znawiał,  
 Gdy zmarłe wskrzeszał, a chore uzdrawiał!

A przecie były króle, a gadały  
 Tą polską mową, siedzący na tronie!  
 Przecie wiem! Przecie był Bolesław Śmiały,  
 Przecie Łokietek był, był Piast w koronie...  
 Przecie z Maryackiej wieży, te hejnały  
 Po polsku grają w czterej świata stronie...  
 A kiedy naród gruchnie: Święty Boże!  
 To co? To to nie po polsku może?

Takem se myślał, łowiący pierogi  
 Po barszczu, które woniały od sadła,  
 A czułem, jak mi na czole gniew srogi,  
 I sroga żałość bruzdami usiadła.  
 Namykały się z łyżkami niebogi  
 Baby, baczące tę srogość u jadła,  
 Ażem wąsiska obtarł, zagryzł chleba,  
 I sapnął na znak, że dość, i nietrzeba.

Ale mnie parło gadać. Ścisnę zęby,  
 Jako przy misie psuć niełza kurażu,  
 Lecz serce miałem tak wzdęte po wręby,  
 Że nagle buchnę: — Panie gospodarzu!  
 Co po próznicy mleć we łbie otręby...  
 — Po jakim dziatwa chrzczona kalendarzu?  
 — Po katolickim! — rzecze. Tak ja: — Wiera,  
 Co nie po polskim! — Wtem Burniak-Kozera,

Z Rochem Zatrata wpadł w ganek. — Hej, Skwara,  
 Idziemy kupą w pole... Chceta z nami?  
 — A ino! — krzyknie ów — Idziemy zara!  
 Wnet my szeroko szurgnęli stołkami,  
 I ciśli łyżki, choć z misy szła para.  
 A owi: — Pod busz idziem! A zaś z buszu  
 W łaki! — Ruszyliłm pełni animuszu.

Dzieci, psy, baby, wszystko. Jeden ostał  
 Sekura. Nie chciał, i przyległ na ławie.  
 Tak mu ten srogi płacz wątpia wychłostał,  
 Że chłop, jakby wziął baty w tej przeprawie,  
 Już bladł, już znowu ognia w twarzy dostał.  
 A choć go trzęsło, gorącość jaskrawie,  
 Jak z huty z niego szła. Coś się łamało  
 W chłopie. Coś przez moc we świat z niego chciało.

Ha, wola boska! — Ale że nie duchem  
 Porozumiałem, co zaś ów busz znaczy,  
 Idziem, a od wsi z wesołym rozruchem  
 Ciagnie już naród zadzierny, junaczy  
 Burniaków. W chłopca chłop, że byś obuchem  
 Nie zwalił. Jeszczem takich nie znał graczy!  
 Płótniane jópy, na łbach kapelusze,  
 Jak młyńskie koła. Tak poszlimy w busze.

Las to był. Jeno nie taki skroś czysty,  
 Jak u nas, kiedy na rdzawe podłoże  
 Iglic, przetkane mechem, pień strzelisty  
 Przy pniu wywali się w jarzącej korze.  
 Krze były raczej i zagaj śmieciasty  
 Od traw, od wituł różnych, że nie może  
 Nic w górę śmignąć przyrodzonym kształtem,  
 Tylko się płacze, wije, dusi gwałtem.

Hej, Międzyrzecki lesie! Hej, wy bory,  
 Nasze, co słońcu podajecie czoła!  
 Insza w was krasa, inaksze kolory,  
 I ta wspaniałość wasza — insza zgoła!  
 Nieraz ja, w one gasnące wieczory,  
 Tak szedłem do was, jak w progi kościoła,  
 Między te słupce pniów, cały wsłuchany  
 W pograwające wierzchołem organy.

Jest wieczna mądrość, i jest wieczna chwala,  
 W przeróżnych głosach i pogwarach ziemi.  
 Alić największa ta mi się wydała,  
 Która poszumia borami naszymi.

Gada do ciebie bór, jak żyw — bez mała,  
Słowami gada nad wszystko tajnemi...  
A miałbyś czysty duch onego czasu,  
To i głos Boga posłyszałbyś z lasu!

. . . . .  
Tymczasem młodzi w busz wpadli, hukając,  
Krzyżąc, jak gdyby naganka szła sznura.  
U nas, z pod krzaków, niejeden-byając  
Smyrgnął, nie jedna śmignęła wiewióra.  
Tu — nic. Aliści znaleźli, szukając,  
Jakiegoś gada, czyli to jaszczura,  
Któren był w żywe kolory pisany,  
Jeżył grzbiet w zadry, sykał, i pluł piany.

Wzięły go dzieci na wić, ciągnąc w piasku.  
Za buszem, jakby świat zalało słońce,  
Tak się topiły w złocistym oblasku  
Pola kukurudz. By wojsko stojące,  
Sterczą bagnety, kask świeci przy kasku,  
Złoto-zielonych kolb miga tysiące,  
Linia za linią i rota za rotą...  
Tak my wsiąknęli w zieloność tę złotą.

Gruchnęły śmiechy radosne i młode,  
Płaszac motyle wielkie, krasne ptaki...  
Te miały w sobie tak jasną urodę,  
Że niczem szczygły, niczem gile, szpaki.  
Brnęły w kukurudz dzieci, jak we wodę  
Tylko za niemi chwieją się te szlaki,  
Jak za pławcami, kiedy idąc ławą,  
Rozgarną rzekę na lewo, na prawo.

Ale gospodarz przyzostał się w tyle  
Ze mną i rzecze: — Tu rudy są miedzi.  
Przyszła kopalnia. A ciągną się z miłą.  
Sześci chłopaków naszych w Geras siedzi  
W sztygarskiej szkole. Jak będą w tej sile.  
Że się to własnym przemysłem poredzi,  
Grosz cały puścim w parę, ile mamy,  
I szyb otworzym. A Niemcom nie damy!

A to powiadam waści w tajemnicy—  
 Szwabów tu w mieście dość, co tylko śledzą,  
 Gdzieby co urwać... Zarazby spółnicy,  
 Zaraz obery... A tak, nic nie wiedzą.  
 Dopieroż, jak im hukniemy z izbicy  
 Szybu: Gutmorgen!—to, mówię wam, zjedzą  
 Sto par rogatych dyabłów, że my, „chamy,  
 My, „polskie bydło“—też rozum swój mamy!

Tu nadał jędrną twarz z okrutną pychą.  
 — A kto ma rozum, ten ma i talary!  
 Dlatego u nas sza o tem, i cicho,  
 Póki się nasze nie wróca sztygary.  
 A wtedy—pójdźcie! Niech bierze was lichy,  
 Na polską sztolnię patrzący, psiawiary—  
 Szwabyl!.. Tu zatchnął się i gębą dymał,  
 Iż z wielkiej pasyi dech mu się zatrzymał.

Tak wtrączę słowo: A dajże wam Boże!  
 Nowe to, prawda, rzeczy są dla chłopca  
 Naszego, kiedy zagona nie orze,  
 A patrzy chleba z rudy i krusz kopa.  
 Alić czas nowy idzie, nowe zorze,  
 Przemysłność nowa... Wtem słyszę—ktoś hopa...  
 Takem odkrzyknał: hop! hop! A jak w lesie  
 Głos się po trzcinach otrąca i niesie.

Stadko zdybali jakieś. Niby sarny,  
 Niby nie. Śmigłe i rudoczarniawe.  
 Przed słońcem skryły się, iż dzień był parny,  
 I legły wiankiem, zaszywszy się w trawę.  
 Poprzedzie jelon-rogacz, prawie czarny,  
 Zwrócił łeb suchy i oczy jaskrawe  
 Ku nam. Młodzi rozpłoszyć to chcieli.  
 Lecz Skwara znak dał, że nie—więc stanęli.

Kucnęły dzieci, i tak—przez zasłonę  
 Ostatnich rzędów kukurudz—patrzyły.  
 A te odblaski złocisto-zielone  
 Na główki kładły się i na włos biuły.

Tak tchy niewinne i oczy się one  
Dwóch bożych stadek ze sobą zmieszały,  
Jak w raj, kiedy zwierz wszelka szła sama  
Dychać, a patrzeć, w nowego Adama.

— Chcielimy zrazu uderzyć tu w żyta,  
Ale że ziemia niechętna na zboże!—  
Zagadał Burniak-Wrona—Tak i kwita!  
— Ale!—odeprze Kalet—A Chrząst orze  
Rychtyg na górcie pod żyto! Nie pyta...  
— Ba, Chrząst! Bez żyta Chrząst wyżyć nie może.  
A choć dach blachą pobity ma doma,  
Gada, có żytnia potrzebna mu słoma.

A na to Skwara: — Inszy już tak będzie...  
Tak odrzewnieje, tak rozum zeskali,  
Że choć gdzieniebądź z żywotem usiedzie  
Na nowem prawie, to stare pcha dalej.  
Zarówno mu tam, co rośnie na grzędzie  
Samo ze siebie. Wszyściuśko to zwali,  
I oną rolę przygwałca to rodzić,  
Za czem nawyknął za pierwszych lat chodzić.

A to jest—wiecie co?...—Nie dopowiedział,  
Ale ku łąkom patrząc wznosił kułaka  
I huknął: — To tu Witkowy jest Przedział?  
To tum ci pasać kazał?... A sobaka!...  
To ja, kroć dyabłów, z tobą będę siedział,  
Pilnował bydła?... A patrzcie go, jaka  
Bestya nabożna!... Jak ten Żyd się kiwa  
I śpi, a bydło, jak chce, tak używa!...

Aż mnie zamgliło z lubości w tę chwilę...  
Laboga! Toć-to jakby u nas właśnie.  
Tu pastuch w trawie zadrzemnie se mile,  
A tu gospodarz nad nim—jak nie wrzaśnie!  
A chłopie miły! Ani ty wiesz, ile  
Zabierasz z sobą tej wsi, gdy cię praśnie  
Dola we światy! I nic nie pomoże...  
Ten klnie po nasku, na żyto ów orze,

Choć wie, że chybi. A daj wam Bóg, chłopcy,  
 Za oną polską duszę, co z was świeci!  
 Jest blacha—wam się na strzesze śnią snopy...  
 Jest pastuch, dyabeł za dyabłami leci...  
 A niech wam rodzi sto kóp z jednej kopy,  
 Burniaki-Wrony, Burniaki-Kaleci!  
 Niech wam się szczęscą te Hauzy, te Busze,  
 A tylko—w dzieciach szczepcie polską duszę!

Pod zachód było, kiedy my wracali  
 Obszedłszy stajnie, obory, podwórza.  
 Na wielkich zorzach gwałtownie się pali  
 Słońce, wpuszczone w czerwień do pół kruża.  
 Już głębiej, już się topi w skrawej fali,  
 Już się do czuba, już z czubem się nurza,  
 Nagle—świat cały gaśnie, jak zdmuchnięty,  
 I wnet się mroków podnoszą odmęty.

W pół ryku bydło, a w pół nutki ptaszę  
 Urywa, oną porażone mocą  
 Prędkiej odniany. I mowy też nasze  
 Zacięły. A już rozjarzone nocą,  
 Syły się gwiazdy przez nieba poddasze,  
 Jak złote ziarno siewne. Już migocą,  
 Już gasną, światłem zalane miesiąca...  
 — Tak noc tam pilna jest, i tak nagląca.

Ale Burniaków ściągnęła się chmara  
 Do nas, z goszczoną u siebie gromadą,  
 I z rojnym gwarem. Co młodsza wnet wiara  
 Naniosiła chrustu i godny stos kładą.  
 Najbliżej ognia przysiadła się stara  
 Kubina, z twarzą kościaną i bladą,  
 My insi kręgiem, jak właśnie koniuchy  
 W łąkach, gdy wierzba osypie się w puchy.

Lecz Skwara, który rad o swym dobytku  
 Gadał, tak kończył przerwana rozmowę:  
 — Prawda, że człowiek nie niema do zbytku,  
 Ale porządek jest wszelki!—Tu w mowę



Wpadł mu Grad-Burniak: — Ti, co tam, mój Witku,  
 Będziem wywodzić? Tu rzeczy są nowe!  
 Niech nam pan Balcer o Polsce powiada...  
 — Hale! — huknęła Burniacka gromada.

Chrząknę i rzekę: — A cóż ja wam, braty,  
 Dobrego powiem? Toć sami wy wiecie,  
 Jak i co, kiedyście rzucili chaty,  
 I poszli, nowych gniazd szukać we świecie.  
 Złe jest! Dalekie jeszcze te roraty,  
 Te jutrznie złote, gdy światłość precz zmiecie  
 Oną noc długą nad naszym narodem!  
 Ziemia się poci krwią przed słońca wschodem.

.....  
 A w tem Fijała: — Co ta o złem gadać!  
 Rozповідаjcie jak tam szumią lasy,  
 Kiedy na młody liść deszcz pocznie padać...  
 Jak na weselach, w karczmie, huczą basy...  
 Rozповідаjcie, macie rozповідаć,  
 Jak tam przepióry wołają po żytach,  
 Jak ziemia pachnie na rośnych prześwitach,

Jak tam z kapusty zając do dnia kica...—  
 Tak rzekąc, śmiał się nibyto wesoło,  
 A łzy mu gradem leciały przez lica...  
 Nagle od ognia wstał, pojrzał w około,  
 Łzy otarł, podniósł głowę do księżycy,  
 I ten kapeluch weisnąwszy na czoło  
 Iść od nas począł precz, w mroczne pustkowie,  
 Nie czekający, czyli mu kto powie.

Zaczem zaczęli gadać wszyscy w kupie.  
 Baby w te pędy puściły języka,  
 Jako że Fjały od rodu są głupie,  
 A i ten we łbie tęgiego ma bzika,  
 Jako nad samą Wartą jest wieś Słupie,  
 Gdzie miała Magda Burniaczka indyka,  
 Co dziecku nie dał spokojnie przejść drogą,  
 I jako takie sprawy być nie mogą...

Aż gdy się nieco ściszyło w gromadzie,  
 Ta nasza święta staruszka z nad Buga,  
 Szeroko wielki krzyż po sobie kładzie,  
 I tym świetlistym wzrokiem w niebo mruga,  
 Jakoby z kimci była tam w naradzie.  
 Aż jej wypłynie z wyschłych piersi struga  
 Drżącego głosu i w pieśń się rozlewa...  
 A nam po szpikach mróz idzie, gdy śpiewa.

...Pątowaliśmy od słońka do nocy,  
 Pątowaliśmy od krzywdy do prawa...  
 Puściliśmy się szukać owej mocy,  
 Co ją ta wola człowiekowi dawa...  
 Szli z nami święcia, szli z nami prorocy,  
 Niosła nas światem korablowa nawa...  
 A tera my się z tej drogi wywarli...  
 — Żywi się widzimy, a sąśmy umarli!

...Pątowaliśmy do boskiego sądu,  
 Pątowaliśmy do umartej śmierci.  
 Po morzu szlimy, i szlimy po lądzie,  
 A sam Pan Jezus rychtował nam perci...  
 Poszliśmy szukać do życia wylądu,  
 A zaś wracamy zszarpani na ćwierci.  
 Do siódmej skóry ze sobą się zdarli...  
 — Żywi się widzimy, a sąśmy umarli!

...Wyjdziesz ty do nas, gwiazdo jutrenkowa,  
 Wyjdziesz ty do nas, miesięczku rogaty!  
 Przyniesz nam ciche, najciszejsze słowa,  
 Od naszej ziemi rodnej i od chaty!  
 Wyszła-ci gwiazda—zgaszona jej głowa,  
 Wyszedł-ci miesiąc—czarne na nim szaty...  
 — Ziemi i chaty wrota my zaparli,  
 — Żywi się widzimy, a sąśmy umarli!...

. . . . .

Śpiewa. Jakoweś niosą się wzdychania,  
 Jakieś z pomroku patrzą na nas oczy...  
 Wiatr powiał, iskry po główniach przegania,  
 Rozjarza ciemność, to znowu ją mroczy.  
 Jakieś dalekie, to bliskie wołania  
 Słysząc—nad nami, w nas, to gdzieś z uboczy...  
 Aż wszystko cichnie, gaśnie, rozemdlewa,  
 I tylko w duszy jeszcze cości śpiewa.

Świtało. Po wsi odpiewały kury  
 Pogodne zorze, gdym ze snu przecykał.  
 Już mrok przed onem zarzewiem purpury  
 Pilno się zbierał w kłęby i umykał  
 Za siniejące kędyś we mgłach góry...  
 Skoczę, choć ze snem jaszczem się borykał...  
 Ano, złodzieja noc, dzień mają pany,  
 Zaś ranek chłopu od Boga jest dany.

A już skrzęt słysząc i głosy w komorze.  
 Tak wywrę w ganek drzwi, wyjdę za płoty,  
 A tu caluśki świat wschodowy gorze,  
 A słońce leci w niebo, by ptak złoty...  
 W blaskach, pod górką nieodał, Chrząst orze.  
 Krój w rolę puszcza, zakłada uwroty.  
 — Szczęść Boże! krzyknę. Aż tu, niby chmura  
 W jasność tę wali polami Sekura.

Rów nie rów, pędzi nie patrzący drogi,  
 Ręce, jak śmigi w ruch puścił, łeb goły,  
 Okrutnym krokiem rozstawia te nogi,  
 Aż mu płótnianki zdartej furczą poły.  
 Dopadł, pełną Chrząsta precz, i cały srogi,  
 Jakże nie chwyci pług! Jak na woły  
 Nie huknie: Wio, maluśkie! — we świat cały—  
 Wio, wołki moje! aż echa odgrzmiały!

— Laboga! Co to? W imię ojca, syna...  
 Gada?! Po grzbiecie przechodzi mnie mrowie,  
 Cud, czy co? Wskrzeszon? Jak ów Piotrowina  
 Wskrzeszon, co leżał już w mogilnym rowie?

Sekura!... Bracie!... Nie słyszy, chudzina...  
 A niechże w księgach spisują ludowie,  
 Jako chłop polski, z tej niemej gardzieli  
 Przemówił, pługą chwyciwszy grzędzieli!

Lecz on łba zadrze i słów własnych słucha...  
 Nie wierzy, iż mu z tej długiej niemoty  
 Odkrzepnął język. I znowu wybucha  
 Niehamowanej pokrzykiem ochoty:  
 — Wio, małe!—Głos mu po tej grdyce grucha,  
 Jak gołębiani... I tak, cały złoty  
 W onych zarannych pyłach, skibę wali  
 Gdzieś w samo słońce, w świetlającej rozdali.

Jeszczem stał, iż mi nogi w ziemię wrosły  
 Z dziwu, na one niebywałe cudy.  
 A on już wracał pługą, i wyniosły  
 Zstępował z górki przez orne te grudy,  
 Tak lekko, jak żeby go pióra niosły...  
 W przekosach słońca zajarzył włos rudy,  
 Niepostrzygany dawno, złotem kołem,  
 Jak ono świątkom dawają nad czołem.

Jeszcze tak patrzę, a wtem mnie ów zoczy.  
 Ciśnie pług, woły, roztworzy ramiona,  
 I z wielkim krzykiem na szyję mi skoczy.  
 Tak ja, hamując łów tych: — Do pierona!  
 Folguj, bo zwalisz! — A już się lud toczy,  
 Iż była droga na ranek zmówiona.  
 Tak macham czapą i wrzeszczę, co raty!  
 — Sekura gada!.. A śpieszcie się, braty!...

A w nich, jak piorun trząsł. — Sekura?.. Gada?..  
 Stanęli, patrzą, słuchają, nie wierzą.  
 Aż jak nie gruchnie w głos cała gromada,  
 Jak z dziwu w ręce niewiasty uderzą!  
 Lecz on już biegnie, już w naręcz im pada,  
 Tak mu się tylko te piersie rozszerzą.  
 — A bracia mili! Witajcież tą mową!  
 A co się puszcza, to chwycę na nowo.

— Zdusi, i basta! — krzyknę. — Ty rarogu  
 Jeden, bo nam podusisz dziewczęta!  
 A toć pilniejsza rzecz dziękować Bogu,  
 Żeć otwarł mowę, co była zamknięta!  
 Więc poklął, za nim baby na rozłogi,  
 Iż męka pańska była tam zatknięta.  
 ...A bądź miłościw!.. A dziękiz ci, Panie!..  
 Aż utłumiło te wzdechy — śniadanie.

Tak rada: — Słuchaj, Sekura. A może  
 Ostałbyś, na czas, u Chrząsta ratajem?  
 Toć nam daleko jeszcze przez to morze.  
 Jeszcze niewiada, jak my się dostajem  
 Na susz...—Lecz ów się porwie:—Nie! Nie! Foże  
 Ja pójdę, chociażby za najem...  
 Choć o żebranem... choć ostatnim dechem...  
 Śpieszma się! Idźma! — Tak jedlim z pośpiechem.

Jeszcze te łyżki po misach brzękały,  
 A on już zrywał się i biegał w progi,  
 Podpaliwany żądością tą cały,  
 Że mu świat prawie uciekał z pod nogi.  
 Wtem powstał Burniak-Grad, wziął talar biały,  
 — Ha! Jak wam śpieszno tak, to—na te drogi  
 Szczęsne do Polski! — Tu dobył dolara,  
 Położył, brzęknął. Drugiego dał Skwara.

Zaczem już rzędem szedł między Burniaki  
 Zbierając datki niewstydbne, bo bratnie.  
 Posypały się złotniaki, srebrniaki,  
 Co tam, kto przemógł dać. Aż i ostatnie  
 Dziatki, posięgły po swoje trojaki  
 Niesie je chłopak rad, a wtem się zatnie,  
 Tak mu tam matka poszepcze. Więc powie:  
 — Do polskiej ziemi na powrót! na zdrowie!

Rozwiązał Bugaj trzosa. Ten był pusty  
 Jak gniazdo, gdy się wywiodą piskleża.  
 Zesypał, zamknął, i drżącemi usty  
 — Bóg zapłać!—rzecze.—Niech Bóg wam pamięta,

Bracia, tę pomoc!—Tymczasem już w chusty  
Wiązały baby chleb, ser, a dziewczęta  
Kwiatuszki brały, kwitnące przed gankiem,  
Jastry, nagietki i stokroć z rumiankiem.

Tak my ruszyli. A w okół, jak dzwonki,  
Nawpół wesóło, a nawpół żałośnie:  
— A pozdrawiajcie od nas pola, łąki..  
— A pozdrawiajcie te wierzby, te sośnie..  
— A pozdrawiajcie jaskółki, skowronki,  
I wszelkie ziele polne, co tam rośnie..  
— A pozdrawiajcie tę ziemię ojcową!..  
Mówią, a już się głos traci — i słowo.

MARYA KONOPNICKA.

# TRAGEDYA SUMIENIA

(Lew Tołstoj i jego ideał etyczny).

## I.

Lew Tołstoj jest nie tylko jedną z wielkości, ale też jedną z osobliwości naszych czasów.

Genialny pisarz, podziwiany, wielbiony, wystawiany w całym ucywilizowanym świecie, wyrzeka się literatury, potępia całą swą twórczość z wyjątkiem kilku najmniej znaczących i najmniej artystycznych jej płodów. Arystokrata z rodu i stanowiska, pan z panów, opływający w posiadłości, dostatki i tytuły, porzuca sposób życia swego stanu uprzywilejowanego, przywdziewa odzież chłopską, bierze się do chłopskiej roboty: orze, kosi, szyje buty.

Nieprzestaje jednak pisać. Od czasu do czasu rzuca w świat mniejsze i większe pisma: odezwy, broszury, powieści tendencyjne, w których oryginalność poglądów i punktów widzenia przechodzi niekiedy w jaskrawą paradoksalność, a ta graniczy nieraz o miedzę z prostą niedorzecznością lub nawet sięga w jej dziedzinę.

Wszystkie te pisma mają za zadanie ni mniej ni więcej jak wykazanie Europie kulturalnej, że całe dotychczasowe, wielowiekowe i wielomilionowe jej życie pozbawione jest wszelkiej istotnej wartości, że jest poprostu występne i głupie, bezcelowe i bezużyteczne, że cała jego kultura jest tylko pustą grą pozorów, cała moralność jednym wielkim fałszem, cała religijność jednym potwornym zabobonem.

A Europa czyta, tłumaczy, komentuje te pisma, w których tak zawzięcie jest szkalowana. Czyta np. o tem, że jej uczeni

i myśliciele, zamiast zajmować się wielkimi zagadnieniami wiedzy, lepiejby zrobili, gdyby jęli badać, jak np. zrobić dobre toporzysko, jakie grzyby jeść można, jak najlepiej siać, orać, bronować—lub o tem, że Szekspir jest partaczem literackim bez talentu, że pieśni bab wiejskich większą mają wartość od symfonij Beethowena, a jedenastoletni wiejski chłopak, Fedka, większym jest poetą od Goethego.

Najwykształceńsi ludzie europejscy niedość że odczytują pilnie podobne opinie jasno-polańskiego mędrca, ale nieraz śpieszą w głąb Rosyi do wiejskiej jego siedziby, aby tam własnemi je posłyszeć uszami, aby złożyć hołd śmiałemu ich głosicielowi, lub za pomocą regularnego wywiadu wyciągnąć zeń sądy o najważniejszych sprawach i zagadnieniach życia współczesnego. Dzięki temu nazwa ustronnej wsi wielkoruskiej stała się głośną na świat cały, znaną każdemu kulturalnemu człowiekowi narówni z nazwami wielkich miast i miejscowości wszechświatowej sławy, a wszelkie okoliczności, nieraz drobne szczegóły z życia słynnego jej mieszkańca, rozgłoszone zostały aż po najdalsze kresy, do których dochodzi słowo drukowane różnojęzycznych sprawozdawców dziennikarskich i literackich.

Widzimy tedy, że Tołstoj, zrywając z literaturą, nie stracił wcale sławy wielkości literackiej, a pozyskał w dodatku sławę literackiej i życiowej osobliwości, budzącej zainteresowanie w mędrkach i prostakach od bieguna do bieguna.

Oczywiście, obok wielbicieli, nie brak i krytyków, niekiedy uprzedzonych i złośliwych. Należy do nich przedewszystkiem liczna bardzo kategoria ludzi, niechętnych wszelkiemu zjawisku, wychodzącemu ze zwykłej kolei rzeczy, psującemu zwykły bieg powszedniości życiowej. Tacy gorszyć się będą zawsze wszelką osobliwością, choć swoją drogą dostarczają zazwyczaj największego zastępu gapiów, chciwie na nią oczy wytrzeszczających. Wśród owych gapiów, co się dokoła niej tłumnie zwykli gromadzić, nie brak też sceptyków, gotowych dopatrywać w niej zawsze obłudy komedyanctwa, próżnej chęci popisu, efektu, reklamy; nie brak i cynicznej gawiedzi, gotowej wyszydzać wszystko, co się nie mieści w ciasnych jej mózgowicach.

Tołstoj nie uniknął naiwnych oskarżeń, złośliwych posądzeń i trywialnych szyderstw, pochodzących od podobnych sędziów. Spotkał się jednak i z poważną krytyką, mocno i głęboko uzasadnioną. Najgłębsza i najgruntowniejsza wyszła niedawno z pod pióra Dynitra Merezkowskiego w obszernem dwutomowem jego studyum porównawczem o Tołstoj i Dostojewskim. Znacomite



to dzieło zawiera tyle oryginalnych, świetnie rozwiniętych poglądów, tyle prawdziwych odkryć w dziedzinie psychologii ducha twórczego, iż może być uznane za drogocenny nabytek nowożytnej literatury krytycznej. Rzuca ono mnóstwo światła nie tylko na twórczość, lecz i na całe życie duchowe autora „Anny Kareninej,” ale światła, padającego z jednej strony, mianowicie ze strony bardzo wyłączonej, religijnej i metafizycznej idei krytyka. Z treścią jej przyjdzie nam się zapoznać w następstwie; tutaj zaznaczam tylko, że widziane z jej stanowiska religijno-moralne dążenia Tołstojaja z ich paradoksalnymi wynikami wydają się nie obłudą pospolitą, ani tem mniej prostą niedorzecznością, lecz olbrzymiem nieporozumieniem, mającem swe źródło bezpośrednie w pewnej dwoistości wewnętrznej wielkiego pisarza, a ostateczne swe przyczyny w wielkiem i powszechnem rozdzieleniu całej nowożytnej kultury chrześcijańskiej.

Rozdzielenie niewątpliwie istnieje. W niem ostateczną przyczyną tołstojowskiej paradoksalności i wielu, wielu innych paradoksów życia współczesnego. Sądzę jednak, że nie wyjaśnia ono osobliwego stosunku rosyjskiego poety-moralisty do kultury europejskiej i złączonej z nią samowiedzy etycznej współczesnych ludzi. Tutaj trzeba szukać przyczyn bliższych, pozytywniejszych. Tkwią one w samej naturze środowiska duchowego, z którego wyrósł ten nadzwyczajny, jedyny w swoim rodzaju geniusz epicki literatury nowożytnej.

Było to środowisko wielce kulturalne: wysoka sfera towarzyska, mogąca dostarczyć przyszłej znakomitości europejskiej wszelkich środków i zasobów europejskiej cywilizacji. Nie zbywało też młodemu potomkowi arystokratycznego, od wielu pokoleń jaknajzupełniej zeuropeizowanego rodu, ani na możności, ani na chęci przyswojenia sobie tego wszystkiego, co mogło dać wszechstronne wykształcenie szkolne i życiowe. Dowodem jego młodzieńcze, przez pół autobiograficzne utwory („Historia czterech epok,” „Ranek obywatela ziemskiego,” powieści kaukaskie i sewastopolskie), zawierające fikcyjne po części fakty zewnętrzne, a niewątpliwie prawdziwe fakty wewnętrznego rozwoju. Poznajemy z nich wybitną indywidualność od lat dziecińczych, zwróconą z wielką żarliwością ku zadaniom kultury, pełną wrażeń, uczuć i myśli, pragnień ideowych i dążeń pozytywnych. Rozmyślania nad życiem ustępują miejsca obserwacyom świata zewnętrznego, praktyki duchowe — ćwiczeniom fizycznym. Wszystko, co życie dać może, w lot jest chwywane: dążenia społeczne i widoki kariery wojskowej, urok niebezpieczeństw i zadowolenie powodzeń

światowych, nawet karcjarstwo, dandysostwo stołeczne, pozy lwa towarzyskiego nie są wyłączone. A wszystko to brane niby po dyletancku, niby z lekką gracyą wykwiutnego światowca, który w dodatku raczy być głębokim myślicielem i genialnym poetą.

O potęgę ludzkich złudzeń, opanowująca najpotężniejsze nawet duchy ludzkie!

Jakiż typ życiowy powinienby wydać taki proces samokształcenia?

Zdawałoby się typ życiowego dyletanta w najwyższym stylu, wytwornego wszechuropejczyka, jakich mnóstwo w tak zwanych „sferach wysokich,“ jakich bez liku wydała zeuropeizowana arystokracja rosyjska.

Czyż można sobie wyobrazić przeciwieństwo takiego typu większe, zupełniejsze, aniżeli cała osobistość Tołstoja, nietylko w późniejszych jego przekonaniach i dążeniach, które mogą być poczytane za sztuczny wytwór doktryny, lecz także w wyrazie twarzy i postaci, w rodzaju umysłu i talentu, w zewnętrznej i wewnętrznej fizygnomii, będącej zawsze u ludzi wybitnych wier-nem odbiciem istotnej natury psychicznej?

Spójrzjmy na znamienity, znany powszechnie portret jego malowany przez Repina. Przypatrzmy się tej osobliwej postaci z bosymi nogami w koszuli muzyckiej, przepasanej pasem rzemien-nym, z twarzą szeroką, płaską o szerokim, spłaszczonym nosie, o zwichrzonej brodzie, wyniosłem czole i małych, siwych oczach, niesłychanie bystro spoglądających z pod brwi nawisłych. Czyż to jest twarz i postać kulturalnego Europejczyka? Czyż ta prostacka odzież chłopska wyda się komu sztucznem, niestosownem przebraniem? Czyż osoba, co ją nosi, nie wygląda jakby do niej była stworzona?—Owszem, wprost przeciwnie: Tołstoj na portretach dawniejszych, w zwykłym ubraniu europejskiem, wydaje się jakby w nieswojej skórze, jakby przebrany umyślnie w nieodpo-wiednią sobie odzież. Jak dalece odzież jego obecna harmonizuje z jego fizygnomią i postacią, dowodem znane z niewątpliwych faktów, przez niego samego przytaczane omyłki wielu ludzi, biorących go naprawdę za prostego chłopa.

A tej fizygnomii człowieka, jakże doskonale odpowiada fi-zygnomia artysty, ujawniająca się w stylu! Styl, to człowiek. Nigdzie ta zasada nie znajduje lepszego stwierdzenia, jak u auto-ra „Wojny i pokoju.“ Tylko człowiek z twarzą, jakby wykutą z jakiegoś przeddziejowego kruszczu ludzkiego, może wykuwać w słowie postaci i obrazy życiowe, stylizowane z wyrazistością i mocą jakiejś pierwotnej, samorodnej poezyi, tak niezawisłej

w swej niezrównanej prostocie i bezpośredniości od wszelkich wpływów kulturalno-historycznych, od wszelkich tradycji i wzorów artystycznych danej epoki. Homer tak śpiewał, jak Tołstoj pisze; starodawni epicy ludzkości tak opowiadali zdarzenia i opisywali przedmioty, jak je opowiada i opisuje sławny narator rosyjski.

Okazuje się tedy, że jest on europejską osobliwością, nie tylko z powodu swych paradoksalnych idei i dziwacznych postępów, lecz także ze względu na całą swą osobowość ludzką i indywidualność twórczą, tak niezwykłą, wyjątkową w naszej epoce, a przytem tak potężną w swej genialnej mocy. Poczynamy się domyślać, że zachodzić musi pewien związek pomiędzy antykulturalnymi dążeniami myśliciela-moralisty, a poza kulturalnem niejako stanowiskiem poety-epika, który ze swą osobliwą postacią jakiegoś podziemnego Tytana (jak się dosadnie wyraził Mereżkowski), ze swym osobliwym talentem pierwotnego opowiadacza zda się przybywać do nas z jakiejś zamierzchłej głębi prastarych czasów, czy też z poza czasowej dziedziny bytu ludowego, ojczyzny wszelkiej bezpośredniej, samorodnej twórczości poetyckiej.

Żył on, tworzył i działał w pełni kulturalnego rozwoju naszej epoki, a jako indywidualność psychiczna i twórcza, czerpał swe soki odżywcze z jakowegoś, że się tak wyrażę, społecznego podglebia kultury. Czy stąd nie musiała wyniknąć kolizya, stanowiąca istotę tołstojowskiego paradoksu, a może zgoła tołstojowskiej tragedyi? Określam ją tu z góry jako *tragedyę sumienia* i w następstwie postaram się wykazać na czem ona polega w życiu genialnego epika rosyjskiego, a także w życiu podziwiającej i krytykującej go Europy współczesnej.

## II.

Owo niekulturalne, a właściwie przedkulturalne podglebie, z którego wyrósł geniusz Lwa Tołstoja, możliwe jest obecnie li tylko w Rosyi.

W Europie zachodniej gleba społeczna tak głęboko została uprawiona przez wiekową pracę cywilizacyjną, iż nie łatwo lub zgoła niepodobna sięgnąć tam do warstw przez nią nietkniętych. Na powierzchni, wskutek zwyrodnienia niektórych dziedzin cywilizacji nowożytnej, napłodziło się wprawdzie ostatnimi czasy niemało różnego rodzaju dziczyzny, ale ta, jako żywioł, w żadnym razie nie przedkulturalny, lecz raczej pokulturalny, geniuszu

nie wyda z pewnością, chyba jakieś pseudo-genialne potworki dekadentyzmu literackiego, lub zgoła potwory politycznego barbarzyństwa.

W Rosyi inaczej. Cywilizacya nie wyrosła tam, jak wiadomo, z gruntu rodzimego, lecz w przeważnej części narzucona została społeczeństwu z zewnątrz, przez władzę autokratyczną. Wskutek tego niemogła przeniknąć do głębszych pokładów gleby społecznej. Na powierzchni—kultury wiele chęcie, a zwyrodnienia kulturalnego jeszcze więcej, w głębi—nieuprawne podglebie społeczne, nieobrobiony, surowy kruszec ludzki, ale jak mocny i bogaty! Moc jego wewnętrzną przedziwnie odczuł Mickiewicz, mówiąc o składających go ludziach, że „jako zwierzęta i drzewa północy pełni są czerstwości i zdrowia i mocy.“ Bezdusznymi wydają się pocie te czerstwe ciała ludzkie. Ale to złudzenie. Wie on, że ma przed sobą tylko larwy grube, w których dusze gasieć zimują i skrzydła sobie przędą do lotów przyszłych.

A skoro słońce wolności zaświeci,  
 Jaki też z larwy tej owad wyleci:  
 Czy motyl jasny wzbiję się nad ziemię,  
 Czy ćma wypadnie, brudne noce plenię?

Pytanie to, rzucone w przyszłość przez naszego wieszczę, do dziś dnia czeka na swą odpowiedź—może już niedaleką. Owi ludzie „z otyłymi karki, z piersią szeroką, z rozrosłymi barki,“ których Mickiewicz napotykał w swej poniewolnej podróży na północ po przez śnieżne równiny rosyjskie, do dziś dnia kryją w szerokich swych piersiach zagadkę przyszłych losów Rosyi.

Car i mużik — oto Rosya cała. U dołu szeroko rozpostarty nieprzebrany zasób żywiołów społecznych, niewyrobionych przez kulturę, ale też niezutytych przez nią — u góry cała żywotna ich energia scentralizowana politycznie w jednym punkcie, w naczelnej władzy państwowej. A między tem cóż? Dworianstwo, czyli rozszerzony dwór carski — czynownictwo, czyli urządzona i kierowana przez władzę carską maszyna biurokratyczna — kupiectwo, czyli pasorzytnicza narośl na powierzchni życia ludowego, wreszcie — inteligencya rosyjska...

Widzimy i podziwiamy, szczególnie w danej chwili, jej rozum, wykształcenie, bohaterską energię i bezgraniczną ofiarność dla sprawy publicznej; znamy imiona wielu należących do niej ludzi wybitnych i znakomitych, ale bohatera narodowego, ale rodzimego geniusza czynu daremnie wśród niej szukać. Jakże dotkliwie brak ten dzisiaj daje jej się uczuć—wieleż jej sprawił bo-

lesnych zawodów i rozczarowań, które tak wyraźnie przeczuł i przepowiedział w swych kreacjach wielki melancholik ziemi rosyjskiej—Turgeniew.

Bez gruntu w przeszłości, bez podstawy w terażniejszości, zawieszona w powietrzu między „zapadniczym” i „narodniczym,” nie zdołała ona jeszcze zapuścić korzeni w życiu narodowym, tylko sercem w nie wrosła, uczuciem serdecznym wysnuła zeń pewne głęboko w niem ukryte pierwiastki duchowe, które, rozwinięte w twórczości mistrzów nowszej literatury rosyjskiej uczyniły ją zjawiskiem tak niezwykłym, tak zajmującym dla całej cywilizowanej Europy.

Niewątpliwie to, co najgłębszego i najoryginalniejszego w wielkich poetach i pisarzach rosyjskich, od ludu pochodzi, jest odtworzeniem artystycznym i pogłębieniem filozoficznym pewnych właściwych mu sposobów odczuwania życia, pojmowania jego zadań moralnych i religijnych. W tem znaczeniu są to twórcy najbardziej bezpośredni i samородni, najmniej zależni od ogólnie-europejskich prądów umysłowych. Oczywiście nieuniknęli pewnego ich oddziaływania, ale w jakże odrębnym rodzinnym duchu przetworzyli zaczerpnięte z nich pierwiastki! To też skoro arcydzieła rosyjskie poraz pierwszy rozpowszechnione zostały w Europie, wydały się jej czemś zupełnie świeżem, oryginalnem, jakimś nowem objawieniem twórczej myśli ludzkiej i dzięki temu takie żywe wzbudziły zajęcie, taki wpływ ogromny wywarły.

Już u Puszkina widzimy zwrot do ludowości, do swojskości, ujawniający się z taką siłą realnej prawdy życia, jak w niewielu arcytworach literatury powszechnej. Ten powietrzny Ariel poezji rosyjskiej, posiadający cudowną tajemnicę poruszania najgłębszych i najcięższych zagadnień życiowych z nieporównanie lekkim wdziękiem artystycznym, całą zamkniętą w swem jestestwie przeuropeizowaną dyletancko-kulturalną duszę rosyjską, rzucił w osobie swego Oniegina do stóp swej wiejskiej Muzy-Tatiany, wieczno-kobiecego (jakby rzekł Goethe) upostaciowania rodzimej prawdy bytu, pociągającej ku sobie każdą szczerą i głęboką duszę ludzką.

Od czasów „Eugeniusza Oniegina” losy literatury rosyjskiej zostały rozstrzygnięte. Musiała ona pójść dalej swojską drogą, która doprowadziła ją ostatecznie do paradoksalnie swojskiego, antyeuropejskiego i antykulturalnego realizmu Tołstoja, czyli do artystycznego przeciwieństwa swego punktu wyjścia.

Czy można sobie wyobrazić bardziej krańcowe przeciwieństwo? Jeśli Puszkina jest Arielem, to Tołstoj jest Cyklopem lite-

ratury rosyjskiej. Z cyklopową porusza się ociężałością i cyklopowe w swych utworach wznosi budowle z surowych, pierwotnych gładów, ogromne, potężne, niewzruszenie oparte na granitowej prawdzie życia i ziemi. Jak Cyklop wyszedł, zda się, z jakiejś dzikiej jaskini podziemnej, dokąd nie dochodził ani jeden promień cywilizacji i swem, nieskończenie bystrem okiem spoziera na roztaczające się dokoła w jej promieniach życie współczesne. Dla tego tak jednostronnie je widzi; z taką jasnowidzącą przenikliwością dostrzega wszystko, co w niem pierwotne, samorodne, bezpośrednie; z takim niepojętem iście zaślepieniem przeczy wszystkiemu, co jest wytworem wyższego kulturalnego rozwoju.

Stąd odosobnione jego stanowisko literackie i artystyczne. Co mu tam literatura, poezya, sztuka! Puszkina, to dla niego tylko średniego talentu rymotwórcę, co pisywał wiersze rozpustne. Cała przed i popuszkinińska literatura rosyjska, jakby dlań nie istniała, zdaje się jej nie spostrzegać wcale. A jeżeli w literaturze wszechświatowej, odrzuciwszy, jako „złą,“ całą prawie wielowiekową jej twórczość wraz z arcydziełami największych poetów świata, pozostawia, jako jedynie „dobre,“ takie rzeczy, jak biblijna historia Józefa żydowskiego, Chata wuja Toma, niektóre powieści Dickensa i Elliota, oraz kilka swoich drugorzędnych utworów, czyni to oczywiście nie dla artystycznych i literackich ich zalet, lecz dla utylitarno-moralnych ich tendencyj.

Praktyka zgadza się doskonale u Tołstoja z teorią. Pisze, jakby poza nim nie istniało nic podobnego do literatury. Ani się zatroszczy o jakiegokolwiek jej prądy i kierunki, ani nawet wspomni o nich w tekście swych powieści, chyba z pogardliwą niechęcią. Zostały poprostu, jakby unicestwione przezeń; dymu ni popiołu z nich nie pozostaje. Stopniowo to unicestwienie rozciąga na wszystkie inne czynniki i wytwory kultury, poczytując je za środki „pijackiego odurzenia“ ludzi, jak się wyraża, odciągnięcia ich od trzeźwej i rozumnej pracy nad własnem udoskonaleniem. Konsekwencją tych przekonań musiało być wyrzeczenie się kultury, wystawianie najdalszych od niej, najpierwotniejszych możliwie form i objawów życia ludowego.

„Wyrzekłem się, mówi w swej *Spowiedzi*, życia naszej sfery, uznawszy, że to nie życie, jeno podobieństwo życia, że warunki zbytku, w których żyjemy, pozbawiają nas możliwości pojmowania życia i że dla tego, aby pojąć życie, powinienem pojąć życie nie wyjątków, nie podobnych nam pasorzytów życia, ale życie proste-go, pracującego ludu, tego, który czyni życie, oraz sens jaki on życiu nadaje. Prosty, pracujący lud dokoła mnie był to lud ro-

syjski, i zwróciłem się doń oraz do tego sensu, który on życiu nadaje.“

Oto mała, ale charakterystyczna próbka bardzo Nieliterackiego stylu Tołstoja. Oczywiście nie możemy przypisywać niedolności pisarskiej tego braku zewnętrznej ogłady stylowej, tego kręcenia się zdań w kółko dokoła jednego wyrazu. Pamiętajmy, że mamy do czynienia z „wielkim pisarzem ziemi rosyjskiej,“ jak autora „Wojny i pokoju“ nazwał najkompetentniejszy w tej mierze sędzia—Turgeniew; pamiętajmy też, że to jeden z największych pisarzy świata całego, oddawna za takiego uznany przez wszechświatową opinię literacką. Nie można też dopatrywać się tu przypadkowego czy umyślnego zaniedbania stylu. Znaną jest powszechnie rzeczą, że Tołstoj opracowuje zawsze bardzo starannie nie tylko wielkie swe powieści, lecz nawet najdrobniejsze artykuły dziennikarskie, że je poprawia i przerabia po kilka, niekiedy po kilkanaście razy. Jeśli tedy pozostawia im formę stylową tak niewyglądzoną, nieozdobną, wnosić należy, że wynika to z samej natury jego geniuszu twórczego, zaznaczającej się zresztą i w teoretycznych jego poglądach na sztukę (głównie w słynnym traktacie: „Co to jest sztuka?“), w których istotę jej widzi nie w pięknie wcale, lecz w „zarażeniu“ (jak się wyraża) umysłów ludzkich myślą, ideą twórcy.

Owóż cała ta usilna praca przeróbek i poprawek, którym poddaje swoje utwory, ma na widoku osiągnięcie jaknajwiększej możliwości tego „zarażenia“ czytelnika swą myślą, czyli wypowiedzenia jej w sposób jaknajjaśniejszy, jaknajdobitniejszy, choćby wcale nieozdobny i niepiękny.

Cel ten w zupełności osiąga. Z nieporównaną, iście słoneczną jasnością w swym Nieliterackim czy antyliterackim stylu wypowiedzią zasadniczą, antykulturalną swą myśl, że cała prawda życia zawiera się li-tylko w bycie „prostego, pracującego ludu,“ że poza jego obrębem w kulturalnych sferach bytu ludzkiego wszystko jest fałszem, ułudą, lub zgoła występkiem i zbrodnią.

Myśl nie nowa, powie kto, nieraz głoszona przez różnych chłopomanów-doktrynerów. Ale czyż tem określeniem można się odżegnać od całego tołstoizmu? Niewątpliwie tkwi w nim pewne doktrynerstwo; któż jednak ośmieli się twierdzić, że jest ono tylko abstrakcyjnym maniactwem, kapryśnym upodobaniem? Czyż nie należy uznać je raczej za naturalny, konieczny wynik całego rozwoju duchowego jednej z najwybitniejszych indywidualności twórczych naszej epoki? Czyż nie pozostaje ono w harmonii z całym charakterem wielkiego pisarza, z jego upodobaniami i skłon-

nościami, z właściwym mu sposobem czucia, myślenia, tworzenia i pisania, a nawet, jak widzieliśmy, z jego postacią i fizyognomią zewnętrzną? Wreszcie czyż nie znajduje ono przyrodzonego gruntu w istotnej naturze społeczeństwa, które go wydało?

Powtarzające się wciąż we wszystkich pismach Tołstoja przeświadczenie o żywotnej sile pierwotnego bytu ludowego i o zupełnej nieżywotności bytu kulturalnego, nie czem innym jest pono, jak przetłómaczeniem na język dowolnie uogólniającej doktryny tołstojowskiej rzeczywistego stanu społecznych stosunków rosyjskich, wynikającego z całej ich przeszłości i teraźniejszości, z całego ich rozwoju dziejowego. Klasy wyższe, uprzywilejowane nie odegrały w nim żadnej twórczej, samodzielnej roli, dostarczały tylko kółek i sprężyn biurokratycznych do olbrzymiej maszyny państwowej, poruszanej skupioną w rękach naczelnej władzy krajowej bezmierną energią pracy, wytrwania i ofiarności wielomilionowego ludu, rozsiadłego na szerokich przestworach od Bałtyku do oceanu Spokojnego.

Nie mówię, aby to był li-tylko lud włosciański, mniemam jednak, że z niego wynikła istotna treść zbiorowego życia rosyjskiego. Najwyższy dygnitarz, najpierwszy arystokrata w Rosyi narówni z najuboższym muzykiem, jedynie jako „wierny Ros“ (że użyję tu wyrażenia Puszkina), jedynie przez wierne, ofiarne podporządkowanie się całości państwowej i narodowej, może stać się twórczym jej czynnikiem. Pozatem może on być mniej lub więcej ważną sprężyną urzędowego jej mechanizmu, może być obcym jej kulturalnym dyletantem w rodzaju puszkiniowskiego Oniegina lub oderwanym od niej i od wszelkiego życia realnego inteligentem-doktrynerem w rodzaju dzisiejszych przewodców rewolucyi rosyjskiej; nigdy jednak nie będzie takim żywotnym jej składnikiem czy wytworem, jakim był lub jest w stosunku do swego społeczeństwa patrycyusz włoski, mieszczanin niemiecki, dawny arystokrata francuski, albo dawny szlachcic polski.

Wszystkie te kulturalne typy narodowe to kość z kości, krew z krwi odnośnych organizmów społecznych. W Rosyi takim organicznym wytworem społeczeństwa jest tylko typ niekulturalny, chłopsko-ludowy. Ale ten typ ludzi „pełnych czerstwości i zdrowia i mocy“ zawiera w swej energii żywotnej, w swych uzdolnieniach wrodzonych ogromną możliwość wyższego kulturalnego rozwoju. Z tej możliwości, z tkwiącego w niej zasobu potencjalnych sił duchowych literatura rosyjska czerpała to, co w niej najbardziej żywe, bezpośrednio, samorzutne, czem zjednała i podbiła sobie Europę.



## III.

Mistrz jej naj słynniejszy w Europie, najwięcej europejski, słusznie nazwany został „wielkim pisarzem ziemi rosyjskiej,“ bo istotnie z życiowych jej soków wyrósł i wybujał całą mocą swego twórczego jestestwa. Jeśli Ariel-Puszkina, tak genialnie lekko unoszący się nad powierzchnią ziemi ojczystej, wyczarował z niej uroczą postać swej rodzinnej Muzy-Tatiany, to Cyklop-Tołstoj całym ciężarem swego talentu oparty na ojczystym, swojskim gruncie, siebie samego zeń niejako wytworzył, a raczej siebie samego wcielił w wydobyte zeń twory artystyczne.

Niezmiernie ścisła łączność twórcy z tworem stanowi najbardziej charakterystyczną cechę dzieł tołstojowskich, jest źródłem ich siły — niekiedy też ich słabością. Ona to przede wszystkim nadała im wszechświatowe znaczenie, przez nią bowiem stały się one tak żywym, bezpośrednim wyrazem i uplastycznieniem duszy ludzkiej, niezmiernie bogatej, mocarnej, n wskroś samodzielnej, ulanej jakby z jakiegoś jednolitego pierwotnego kruszcu, bez owych sztucznych, a kruchych aliaży, którymi kultura tak często zaprawia dusze swych wychowawców.

Jakkolwiek względem kultury współczesnej Tołstoj zajął stanowisko zupełnie niezależne, a nawet wrogie, nigdy jednak nie pozostał jej obcym. Ten zawzięty nieprzyjaciel wiedzy i sztuki, ten chwaleca pierwotnej prostoty, a nawet chłopskiego prostactwa jest umysłowo jednym z najwykształceńszych, a duchowo jednym z najwykwintniejszych ludzi naszych czasów. Świadczą o tem opinie tych, którzy mieli jakąkolwiek styczność ze znakomitym powieściopisarzem, świadczą i jego dzieła, jak np. ów tak barbarzyński w swej tendencji, a tak pełen erudycji w swej treści traktat „Co to jest sztuka?“ Przytem pamiętać trzeba, że przez swoje pochodzenie i wychowanie, przez swe wysokie stanowisko w świecie towarzyskim i literacko-artystycznym Tołstoj miał sposobność zapoznać się ze wszystkim, co tylko kultura materialna i duchowa człowiekowi współczesnemu dać może; nie na ślepo przeto ją sądzi i potępia, lecz na podstawie gruntownej znajomości rzeczy. Sądzi ją ze stanowiska czysto ludzkiej, chrześcijańskiej, jak mniema, moralności, jako członek, co ją poznał dokładnie, przeniknął nawskroś, a przytem nie uległ wcale jej urokowi i spogląda na nią z bezstronnego, przedmiotowego punktu widzenia.

Czy istotnie jest tak bezstronnie przedmiotowym jej sędzią?

Zanim to pytanie w następstwie bliżej rozpatrzemy, zaznaczymy tymczasem, że pisarz rosyjski z natury rzeczy posiadać musi przynajmniej dane negatywne, aby przedmiotowo o niej sądzić, niezależnie oczywiście od tkwiących w umyśle Tolstoja pozytywnych po temu danych. Człowiek zachodnio-europejski, potomek długiego szeregu pokoleń, które do rozwoju kultury nowożytnej w ten lub ów przyczyniły się sposób, które przez liczne wieki oddychały jej atmosferą, karmiły się jej płodami—czyż zdoła czysto obiektywnie ją sądzić, wyzbyć się wszelkich subiektywnych względem niej uczuć? Wszakże nawet „człowiek natury,“ Rousseau, przez swój naturalizm, mogący obudzić w czytelniku ochotę do chodzenia na czworakach, jak o nim złośliwie powiedział Voltaire, potępiał nie samą cywilizację współczesną, lecz tylko jej sztuczność i oschłość racjonalistyczną, przeciwstawiając jej zgodny z przyrodzonymi prawami jestestwa ludzkiego rozwój kulturalny.

A późniejsi krytycy naszej kultury? Liczni są oni, coraz liczniejsi i bezwzględniejsi w miarę jak do obecnych zbliżamy się czasów; wszyscy jednak nietyle są jej sędziami, ile reformatorami, stawiającymi przed nią pewne zadania i ideały z własnego jej jestestwa wysnute. Ryszard Wagner spodziewał się odrodzenia jej w artystycznym ideale przyszłego dzieła sztuki, najwyższej syntezy wszystkich sztuk dotychczasowych w pełnym jej rozwoju. Fryderyk Nietzsche stawiał niezmiernie wysoki ideał kultury, jako harmonijnej jedności stylu w nadludzko-potężnym i doskonałym całokształcie objawów życiowych. Nawet najbardziej zrewolucjonizowani socjaliści i anarchiści zachodnio-europejscy (np. uczony geograf francuski, Emil Reclus) ze swą wiarą w materialistyczno-społeczny ideał naszej kultury lub w samorzutną doskonałość wyrobionego przez nią człowieczeństwa czyż nie okazują się prawem jej dziećmi, rzecznikami i przedstawicielami pewnych stron i kierunków jej rozwoju?

Jakże odmiennie przedstawiają się rosyjscy jej krytycy i przeciwnicy, czy to nihilisci szóstego lat dziesiątka, czy też dzisiejsi działacze rewolucyjni różnych odcieni! Tamci za ideał mieli wielkie *nie*, wznoszące się na pustej tablicy życia—ci dążą z lekkim sercem do urzeczywistnienia pewnych zadań (np. normy osobistej pracy w rolnictwie) z pełną świadomością, że pociągnęłoby ono za sobą ruinę całego gmachu obecnej cywilizacji. Ani jedni, ani drudzy nie mogą być żadną miarą poczytani za jej reformatorów, choćby najbardziej rewolucyjnych, chyba za jej wrogów i burzycieli. Gdy z nienawiścią mówią o „zgnitym zachodzie,“ gdy z bru-

talną zawziętością turgeniewskiego Bazarowa gotowi są deptać nogami wszystko, co przywykł czcić człowiek cywilizowany, czy nie objawiają niszczycielskich zapędów wschodnich najeźdźców Europy?—a czy w danyin razie nie mogą się stać, jak tamci, biczami bożymi, chłoszczącymi ją za jej grzechy i zbrodnie?

Cóż może mieć wspólne żarliwy głosiciel ideału ewangelicznego, Tołstoj, z tymi dzikimi niszczycielami wszelkich pozytywnych ideałów życia? A jednak, jak często epitet nihilizmu stawiano obok nazwiska znakomitego pisarza rosyjskiego. Czyż zupełnie bezzasadnie? Bliższe rozważenie jego dążeń życiowych i moralnych pozwoli nam może dokładniej odpowiedzieć na to pytanie—tutaj zaznaczymy tylko, że znane powszechnie bezwzględnie zaprzeczne jego stanowisko nietylko wobec wszelkiej cywilizacji materialnej i duchowej, ale też wobec wszelkiej religii pozytywnej z jej dogmatami i kultem, nasuwa istotnie myśl o swojego rodzaju nihilizmie w zasadniczym pojmowaniu istoty i zadań życia.

Niemniej jednak ogromną należy stwierdzić różnicę pomiędzy tym nihilizmem tołstojowskim, a nihilizmem rewolucjonistów rosyjskich i to nietylko w odmiennym zupełnie stosunku obu do etyki chrześcijańskiej, lecz także w ich źródłach i pobudkach psychologicznych, w całej psychologii ich rozwoju. Nihilisci typu Bazarowa swe przekonania wraz z wywołaniami przez nie uczuciami i czynami wysnuli pośrednio lub bezpośrednio z rewolucyjnych doktryn zachodnich, przekształconych coprawda bardzo w duchowej atmosferze rosyjskiej na nowy, dziksz, nastrojowy w niej ton. U Tołstoja odwrotnie: doktryna negacyjna czy nihilistyczna była wynikiem skłonności, usposobień, uczuć, czynów, przekonań—całego wogóle wewnętrznego życia duszy, jak je widzimy odzwierciedlone w artystycznej i literackiej jego twórczości. Zaprzeczna wobec kultury nowoczesnej dążność Tołstoja-doktrynera przebija w całej twórczości Tołstoja-poety i przenika nawskroś całe życie indywidualne Tołstoja-człowieka, doskonałego w swym umyśle twórczym przedstawiciela tego, co najbardziej ludzkie, a przytem i najbardziej swojsko-rodzime w życiu wielkiego, wielomilionowego narodu.

Czysty typ człowieczeństwa danego narodu, potężny swą bezpośrednią łącznością z otaczającą sferą życiową. ujawnia się tylko w jego wielkich ludziach, w narodowych królach-duchach, jakby rzekł Słowacki. Drobne pierwiastki tego typu odnaleźć można wprawdzie i w najpospolitszych jednostkach narodowych, w ich twarzach, obyczajach, działalności zbiorowej, ale wielka indywidualność ludzka, wyrastająca wprost z duchowej gleby narodu,

skupiająca w sobie zasadnicze jej żywioły, rzadkie to zjawisko, znamieniem geniuszu wyodrębnione wśród tłumu, często wprost sprzeczne z tym tłumem rodzimym, z jego fizyognomią codzienną, z ożywiającym go duchem czasu. Byron i Shelley, nietylko najwięksi, lecz i najbardziej angielscy ze wszystkich Anglików, jakże pokłócenii byli z całą współczesną sobie Anglią. Najwyższy wytwór ducha niemieckiego, Goethe, cóż ma wspólnego z masową niemieckością zrealizowaną dziś w ojczyźnie Bismarcka i hakatystów?

Nie więcej wspólności, nie mniej przeciwieństwa dopatrzeć się możemy pomiędzy twórczością autora „Odrodzenia,” a nastrojem duchowym jego rodzinnej sfery społecznej, ujawniającym się obecnie tak w zachowawczych i reakcyjnych, jakoteż w postępowych i wolnomyślnych jej prądach. Niedarmo synod petersburski odłączył go od kościoła prawosławnego, niedarmo reakcyoniści denuncjonowali go wprost przed władzą państwową, jako wroga jej systemu politycznego, ale niedarmo też pozostał on tak obcy całemu współczesnemu ruchowi wolnościowemu, tak dalece obcy, że najzacofańsi obrońcy dawnego porządku rzeczy na jego zdanie przeciw temu ruchowi powoływać się mogli.

Tak jest—wielki pisarz ziemi rosyjskiej nie znajduje obecnie, nie znajdował w ciągu całego swego żywota na jej powierzchni prądów ni kierunków życiowych, z którymi mógłby się solidaryzować, w których mógłby usłyszeć echo swych pragnień i dążeń. Czy nie stąd to pochodzi, że z nazbyt głębokiego jej podglebia społecznego czerpał odżywcze soki swego geniuszu, że wątek swych natchnień twórczych snuł nie z dzisiejszych, ani z wczorajszych, lecz z odwiecznych, niejako pozaczasowych pierwiastków ducha narodowego, a zarazem najbardziej bezpośrednich, samorodnych, szczeroludzkich.

Są to pierwiastki owej energii żywotnej, owej mocy żywiołowej, które Mickiewicz z taką bystrością spostrzegł i odczuł w ludzie rosyjskim, jako zadatek jego przyszłości. Tkwią one w życiu całej Rosyi, tak prostaczej, jak i kulturalnej: widnieją w twarzach i postaciach, ujawniają się w uczuciach, ideach i dążeniach jakąś świeżą, samorzutną żywiołowością, w tym zakresie i w tem natężeniu nienapotykaną obecnie nigdzie w Europie poza obrębem życia rosyjskiego. Skrytalizowane w instytucjach publicznych formy tego życia, zlepek autokratyzmu bizantyńskiego z biurokratyzmem niemieckim, nie żywotne są, bezduszne i obecnie w naszych oczach się rozpadają; nurtujące w nim mniej lub więcej radykalne prądy ideowe, odbicia zachodnich teoryj i doktryn wprowadza-

ją doń więcej zamętu i rozstroju, aniżeli odżywczej, świeżej treści: ale pod temi obcemi formami i prądami kryje się duży zasób rodzimej żywiołowości psychicznej, wybuchającej bądź w dzikim barbarzyństwie różnych lewicowych i prawicowych maksymalistów obecnej doby, bądź w heroicznej, choć najczęściej bezpłodnej ofiarności nieustraszonych bojowników idei.

Zresztą pomiędzy tymi krańcami swymi żywiołowość duszy rosyjskiej zaznacza się niejednym jeszcze znamienym rysem. Świeżo ks. Eugeniusz Trubeckoj, zastanawiając się nad brakiem wszelkiej miary w dążeniach swych współrodaków, jako istotną przyczynę tego objawu, podnosi zasadniczo religijny ich nastrój. Istotnie, dla Rosyanina każda głęboko odczuta idea staje się przedmiotem wiary, każdy system ideowy — religią. Nie dziw, że tak wielu w Rosyi krwiożerczych fanatyków i tak wielu męczenników ofiarnych. Jakże to jest znaczące, że wszyscy prawie znakomici myśliciele rosyjscy—np. Borys Cziczerin, Włodzimierz Sołowjew—byli to ludzie głęboko religijni, że w upodobaniu do rozprawiania „o wierze“ dziwnie się spotykają w Rosyi prostacze, ciemne umysły chłopów-sekciarzy z najbardziej oświeconymi i kulturalnymi umysłami inteligentów współczesnych, szczególnie najnowszego, modernistycznego kierunku, na gruncie rosyjskim przybierającego najczęściej zabarwienie mistyczno-religijne.

#### IV.

Religia, ta prawowita władczyni wszelkich świeżych żywiołowo-samorzutnych dusz ludzkich, włada też niepodzielnie w duszy Lwa Tołstoja, określa i wyznacza wszystkie drogi i kierunki jego twórczości, począwszy od najpierwszych jej zaczątków aż do ostatecznych wyników. Czyż nie określała ona również twórczych natchnień Homera, któremu każdy człowiek, każdy zwierz nawet, obdarzony wyższą pełnią życia, boskim się wydawał, każdy donioślejszy fakt życiowy ukazywał się w bezpośredniej swej łączności ze światem bogów? Epik rosyjski, podobnie jak epik starogrecki, nie tylko widzi świat zewnętrzny w całej pełni przyrodzonych jego objawów, lecz także odczuwa go w umiłowaniu i czci religijnej dla wszelkiego tworu bożego, dla najpospolitszych nawet zjawisk i kształtów, w jakich się on oczom naszym ukazuje.

Tołstoj posiada bezprzykładny, iście homeryczny dar patrzenia na świat okiem naiwnego epika. Zdumienie nas ogarnia przy

czytaniu niektórych jego opisów i opowiadań. Ta prostota i bezpośredniość w ujęciu przedmiotu! Zda się, że mamy do czynienia nie z kulturalnym poetą nowożytnym o duszy wrzącej nadmiarem wrażeń, uczuć, idei, lecz z jakimś pierwotnym umysłem twórczym, co poraz pierwszy otwiera się na działanie świata zewnętrznego, dziewiczą swą wrażliwością chwyta i odtwarza najdrobniejsze nawet jego objawy, nie może się dość nacieszyć bogactwem i pełnią otaczającego życia.

Czemuż równocześnie z takim wstrętem odwraca się od wszelkich kulturalnych jego objawów? Czemuż je tak bezwzględnie sądzi i potępia? Czemuż w konsekwencji tych wstrętów i potępień dochodzi ostatecznie do negacyi samego życia, do nihilistycznego nieomal na nie poglądu? Jakto? On, natchniony w swej poezyi czciciel tworu bożego, odtrąca go w swej doktrynie, jako twór dyabelski z dziką nienawiścią manichejskiego ascety! Dziwna zagadka psychologiczna, jedna z najtrudniejszych w dziejach twórczości ducha ludzkiego.

Dymitr Mereżkowskij we wspomnianem wyżej dziele o Tołstoju i Dostojewskim usiłuje ją rozwiązać przez dostrzeżoną w naturze epika rosyjskiego dwoistość duchową, oraz wynikające stąd nieporozumienie w jego stosunku do życia i świata. Pierwszorzędnym odtwórcą prawdy życiowej w zewnętrznym, zmysłowym jej wyrazie, powołany on był do ukazania światu tej jej strony i postaci w pełnym świetle ideału chrześcijańskiego. Za pomocą niezmiernie przenikliwej analizy psychologicznej i estetycznej wykazuje krytyk w dziełach Tołstoja wyraźne objawy tego powołania twórczego, a zarazem zaznacza przeniecierzenie się mu w tendencyach i doktrynach moralizującego i dogmatyzującego poety. Nie zdołał on się wyzwolić z pod przemożnych wpływów jednostronnego, ascetycznego chrześcijaństwa, które dotąd jedynie pełniejszą w dziejach Europy osiągnęło realizację, pozostawiając niekniętą prawie całą zmysłową, materialną stronę jej życia i obecnie, jak ongi przed Chrystusem, ulegającą wyłącznym nieomal wpływom ducha pogańskiego. Uchrześcijanienie tej strony życiowej — oto zadanie przyszłego rozwoju religijnego, zadanie apokaliptycznego chrześcijaństwa, jak je zowie Mereżkowskij, podnosząc jego zapowiedź we wróżbach Apokalipsy o wtórnem przyjsciu Chrystusa. Tołstoj był jednym z najwyższ powołanych do przygotowywania przez swą twórczość artystyczną tej wielkiej ewolucyi przyszłości. Spełnił je bezwiednie w najznakomitszych swych dziełach (szczególnie w „Annie Kareninie“), ale zarazem bezwiednie mu się przeniecierzył w swych tendencyach ascetycznych,

wynikających z niezrozumienia istoty rozwoju chrześcijańskiego, którą zgodnie z dotychczasową historyczną jej realizacją uświadomił sobie w jednostronnem odosobnieniu jej od życia, doprowadzając je w ostatecznym wyniku do zaprzeczenia wszelkiej rzeczywistości życiowej, a w niej też rzeczywistości dogmatu, kultu i całej tradycji kościoła chrześcijańskiego.

Takie podaje Mereżkowskij przyczyny negacyi tołstojowskiej i oświetla ją tem jaskrawiej w jej jednostronności paradoksalnej przez zestawienie z pozytywną treścią twórczości i życia poety. Jakto?—woła—epik-realista, wypełniający swe utwory takim bogactwem kształtów i zjawisk bytu, człowiek, pełen takiej energii żywotnej we wszystkich swych czynach i dążeniach, a przytem wzgardziciel życia, surowy asceta, nieomal ascetyczny nihilista? W sprzeczności tej krytyk czasem zdaje się dopatrywać śladów obłądy, zasadniczo jednak widzi w niej objaw krańcowy głębszego przeciwieństwa pomiędzy realną pełnią życia a jednostronnym idealizmem „historycznego“ chrześcijaństwa.

Mereżkowskij nie rozjaśnia jednak pytania: skąd właśnie w epiku rosyjskim to tragiczne spotęgowanie wiekowego konfliktu?—a właściwie rozjaśnia je, lecz światłem dość dowolnej, nieco nawet marzycielskiej hipotezy. W Rosyi istnieje najwyższe wyteżenie dwóch sprzecznych żywiołów kultury chrześcijańskiej, bo w Rosyi ma nastąpić ostateczne ich zespolenie, szarmonizowanie za sprawą jakiegoś geniusza religijnego przyszłości.

Nieprzesądzając o znaczeniu i wartości tej przepowiedni, spróbujmy oświetlić zajmujący nas tu problemat z zajętego w niniejszej pracy punktu widzenia.

W głębi jestestwa rosyjskiego stwierdziliśmy za przykładem Mickiewicza olbrzymią potęgę świeżej żywiołowej energii psychicznej, dotąd kulturalnie nieużytkowanej. W „wielkim pisarzu ziemi rosyjskiej“—w jego bezpośrednim talencie epickim, w jego samorodnym stylu i cyklopowej postaci—sposzrzegliśmy wyborne upostaciowanie, przedziwny wyraz artystyczny tej rodzimej żywiołowości.

Uprzytomnijmy sobie teraz stanowisko takiej natury twórczej wobec otaczającego świata. Oto bezprzykładny pono wśród nowożytnej sztuki i kultury typ pierwotnego epika. Z duszą nawiśnie wrażliwą na wszelkie wpływy i oddziaływania zjawisk zewnętrznych musiał on odtwarzać to, co mu najbliższe, z czem się w życiu wprost stykał. Gauthier mówił o sobie, że należy do szczupłej liczby ludzi, dla których świat zewnętrzny istnieje. W sferze wysoce kulturalnej mniej jest jeszcze pono ludzi, dla

których istnieje to, co li-tylko istnieje, ludzi, zdolnych odczuć całą pełnię oddziaływania rzeczy najbliższych, najpowszedniejszych, bez względu na ich znaczenie utylitarne, symboliczne lub filozoficzne. Trzeba na to bardzo świeżej, bardzo bezpośredniej natury twórczej.

Tołstoj taką jest naturą, podniesioną do potęgi geniuszu. W powieściach jego odżywa wszystko, co żyło w nim i dokoła niego. Nic tam nie traci na wartości ni na znaczeniu. Jak w przyrodzie rzecz każda ma tam swe prawo bytu odpowiednie rodzajowi swemu. Zanieczyszczone pieluszki dzieci Natasy Bezuchowej, wspomniane przy końcu „Wojny i pokoju,“ niemniej poważnie powiewają, jak sztandary napoleońskie pod Austerlitz. Nie oddala się on nigdy od ludzi i rzeczy współczesnych. Owszem, zbliża nawet do nich przedmioty oddalone w czasie. Historyczność powieści „Wojna i pokój“ pozorna jest tylko. Niema w tej powieści ani trochę kolorytu, tła, charakteru epoki napoleońskiej. Postaci czysto historyczne zupełnie w niej są nieudane—postać Napoleona sfalszowana do niemożliwości. Podobnie starodawni epicy, całkowicie pogrążeni w stosunkach i dążeniach swego czasu, w odpowiednim mu duchu przeinaczali charaktery osobistości historycznych.

I Tołstoj, jako poeta-artysta, oddycha zawsze atmosferą swej epoki, zajęty jest wyłącznie tem, co się w niej dzieje, opowiada wciąż o jej ludziach i stosunkach. Ale wśród tych ludzi on sam pod postaciami rozlicznych swych bohaterów, widziany z różnych stron swej duszy, naczelne zajmuje miejsce, a w dziejach spraw ludzkich, które nam opowiada, nieprzerwanem, choć czasem ledwie dostrzegalnem pasem snuje się własna jego historia psychiczna.

Jakież więc to epik? A gdzież przedmiotowość epicka?—zapyta kto może.

Porozumiejmy się bliżej. Jeżeli przedmiotowym zwiemy poetę wiernie odtwarzającego świat zewnętrzny, to Tołstojowi w najpełniejszej mierze to miano przystoi. Jeśli wszakże rozumiemy przez nie mniej lub więcej zupełną harmonię pomiędzy poetą i rzeczywistością życiową, będącą przedmiotem jego utworu, to do Tołstoja nie może ono być stosowane.

Są epoki, w których to, co zamiera w życiu, odżywa i trwa w pieśni, w których ta sama dusza ludu działa w realnych czynach bohatera, przemawia w pieśni, w słowie poety. Są wszakże inne epoki, kiedy żywa dusza ludu kryje się gdzieś w tajnych głębinach bytu realnego, a na jego powierzchni widzialnej rozpo-



ścierają się przemożnie bezduszne zjawy i kształty przeżytej, zwyczajnej, zmartwiałej wewnętrznie cywilizacji.

Taką jest epoka obecna wszędzie w świecie cywilizowanym, a osobliwie w Rosyi. Narodowi rosyjskiemu obca była kultura europejska w swym żywotnym wzroście i rozkwicie. Poznał ją bądź w narzuconych mu przemocą martwych formułach urzędowych, bądź w przejętych drogą naśladownictwa gotowych, stężonych kształtach. Co za dziw, że tak samorodnie i bezpośrednio z gleby rodzinnej wyrosła indywidualność psychiczna Tołstoja, nie mogła się zżyć z kulturą europejską, że tak silnie odczuła jej niezwykłość, bezduszność, martwość wewnętrzną?

Epik rosyjski, dzięki wrodzonym właściwościom swego daru twórczego, mógł i musiał odtwarzać z niezrównaną prawdą otaczające go życie. Im bardziej jednak wyobraźnia jego wypełniła się przedziwnie wyrazistymi obrazami zjawisk i kształtów życiowych, tem silniej od ich zawistej, sztucznej, w znacznej części bezdusznej osnowy odbijała jego dusza prosta, żywiotowa, naturalna, pełna świeżej energii żywotnej. Takim sposobem z głębi przedmiotowej wizyi świata zewnętrznego wyłaniała się stopniowo podmiotowa wizya wewnętrznego świata duszy w potępionym jego rozwoju czysto ludzkim, moralnym i religijnym. Obraz życia stawał się stopniowo spowiedzią z pragnień i dążeń, mających za punkt wyjścia najprostsze, najbardziej bezpośrednie wrażenie życiowe za kres i cel najwyższy ideał chrześcijańskiej — słuszniej może powiedzieć — budyjskiej doskonałości.

Między tymi krańcami, po przez szereg dłuższych i krótszych opowieści, szkiców, rozpraw i studyów, rozwija się wielka epopeja duszy, niby jakiś heros mytyczny, w nadludzkiej walce zmagającej się z potęgami otaczającego świata. Są to potęgi współczesnego życia kulturalnego, którym poeta rosyjski wprost odmawia prawa do bytu, uznając je za sprzeczne bezwzględnie z zasadniczymi warunkami rozwoju własnej swej duszy, będącego dlań niejako symbolem rozwoju duszy wszechludzkiej. A jednak potęgi owe opanowują nieraz jego życie zewnętrzne, wciskają się nawet do wewnętrznego jego życia, mącą w nim upragnioną harmonię samorodnej prostoty życiowej i nadżyciowego ideału. Chcąc niechcąc, poeta musi żyć i rozwijać się w obrębie współczesnego świata kulturalnego, wśród różnorodnych jego warunków materialnych i duchowych.

W dodatku traf urodzenia umieścił tego jasnowidza najpierwotniejszych elementów życia w sferze społecznej, jakby zupełnie im obcej, zdającej się pochłaniać je i zaprzepaszczać w steku

swych konwencyonalnych form i stosunków. Dopatrzyło ich jednak jasnowidzące oko poety, a geniusz jego twórczy, nie poprzestając na ich realizacyi w słowie, zapragnął zrealizować je w czynie, w życiu, we własnym swym życiu, a następnie i w życiu całego człowieczeństwa. I oto jął się zмагаć ze wszystkim, co go oddziało i oddalało od tej umiłowanej, pierwotnej żywiołowości bytu ludzkiego, naprzód z konwencyonalizmem towarzyskim i obyczajowym, a następnie z konwencyonalizmem społecznym, kulturalnym, etycznym, religijnym. Posługując się terminologią Jana Jakóba Rousseau, można powiedzieć, że Tolstoj zrywał kolejno wszelkie węzły „umowy społecznej,“ widząc w niej tylko przeszkodę i skrepowanie natury ludzkiej w dążeniu do spełnienia istotnych jej zadań przez ideał ewangeliczny wskazanych.

Filozof genewski swemi doktrynami podrywał wiarę w wartość i trwałość kultury, li-tylko jakoby na „umowie“ opartej, poeta jasno-polański swą twórczością i życiem swem całym usiłował wykazać zupełną bezwartościowość wszelkich warunków kulturalnych naszego bytu.

Jakże dobitnie zaznaczają się w tej różnicy odmienne wpływy miejsca, czasu, rasy! Syn kulturalnego Zachodu w imię praw „natury i serca“ zwalczał sztuczność i oschły racjonalizm otaczającej go cywilizacyi, wierząc z ogółem współczesnych w przyszłe jej odrodzenie na gruncie czystego humanitaryzmu. Syn Wschodu, rozwijającego się wiekami poza obrębem wpływów zachodniej kultury, radby je odtrącić od siebie, od swego społeczeństwa, od całej ludzkości, nie wierzy ani w jej żywotność teraźniejszą, ani w przyszłe jej odrodzenie.

Zapewne kulturalny Europejczyk w Rosyi, czy poza Rosyą, nie może się nie oburzać na ten nihilistyczny sceptycyzm barbarzyńcy. Całym swym jestestwem zrosły z kulturą zachodnią, instynktownie niejako musi protestować przeciw temu bezwzględnemu zaprzeczaniu jej przez dokładnie obznajmionego z nią a jednak jakby obcego jej poetę, obcego nietylko swą dążnością i doktryną, lecz także swym usposobieniem, nastrojem, rodzajem swej twórczości, nawet swą twarzą i postacią zewnętrzną. Ale czy kulturalny Europejczyk w dziełach tego wrogiemu kulturze i europeizmowi poety nie znajdzie głębokiej prawdy życia, unaocznionej z artystycznym, tem większym, tem potężniej działającym, iż tak niezrównanie jest prosty, samorodnie żywiołowy, jakby z doskonałego zlania się sztuki z naturą zrodzony? Odpowiedź twierdząca na to pytanie oddawna wyrażona została w otaczającej sędziwego poetę intuicyjnej czci całego cywilizowanego świata. Posta-

rajmy się sprawdzić ten sąd intuicji przez krytyczny rzut oka na twórczość poety w jej stosunku do przekonań i dążeń moralisty. Może uda nam się pochwycić konsekwencję psychologiczną, łączącą te dwie strony jego działalności pisarskiej i życiowej.

## V.

Obraz świata zewnętrznego, rozwinięty w powieściach Tołstoja, pomimo jawnie opozycyjnego stanowiska poety wobec wszelkich nieomal istniejących stosunków życiowych, niema wcale charakteru satyrycznego.

Satyra za źródło, za punkt wyjścia ma zasadnicze przeciwieństwo pomiędzy twórcą i odtwarzanym przedmiotem. Satyryk dla tego właśnie dany przedmiot odtwarza, iż ten mniej lub więcej silnie uderzył go swą sprzecznością z nastrojem czy kierunkiem jego uczuć, myśli, dążeń. Jasną jest rzeczą, że nie takie jest źródło twórczości tołstojowskiej, nawskroś epickiej, pobudzonej owszem przez upodobanie w świecie zewnętrznym, żadnej przedstawiać, odzwierciedlać wszystko, co się w nim znajduje, od najistotniejszych jego objawów, aż do najpospolitszych szczegółów i drobiazgów. A raczej odwrotnie: szczegóły i drobiazgi zdają się naprzód występować, głównie zajmować uwagę poety. Żadnym z nich nie gardzi, nawet najmniej znaczącym, najtrywialniejszym, a w każdym umie dopatrzeć się i uwydatnić jakąś zasadniczą, wewnętrzną treść życia, ukrytą przed zwykłym okiem ludzkim.

W utworach Tołstoja, jak w przyrodzie, jak w życiu, z drobnych szczegółów powstaje szeroki ogół istnienia, z rzeczy niezmiernie małych powstają rzeczy wielkie i największe. Właśnie z tego daru wglądania w realną zawartość zjawisk istnień, połączonego z wygórowanym idealizmem w pojmowaniu istotnych ich przeznaczeń, wyniknęło stopniowo opozycyjne stanowisko poety względem otaczającego świata. Tam, gdzie inni, obdarzeni mniej bystrym wzrokiem duszy, oraz mniej skłonni do wpatrywania się w szczegóły i drobiazgi, widzieli tylko piękną postać zewnętrzną, zajmujący całokształt zjawiska życiowego—tam on z tem swoim przenikliwym spojrzeniem, z tem swoim epickim upodobaniem do widzenia i odtwarzania wszystkiego, co mu się nawinie pod oko, dostrzegł, pochwycił, uwydatnił mnóstwo rysów szpetnych, mnóstwo szczegółów pospolitych, trywialnych. I odwrotnie: w wielu zjawiskach, ukrytych na najniższych poziomach społecznych

w szarym prochu powszedniości życiowej, ten przedziwny jasnowidz elementów życia zdołał dojrzeć i innym ukazać te, co najistotniejsze w nim mają znaczenie.

Wynikło stąd pewnego rodzaju przeszacowanie wartości, jakby się wyraził Nietzsche, jeśli nie wszystkich, to w każdym razie pewnych zasadniczych, a przeciwstawnych sobie wartości życiowych: życia bogatych, uprzywilejowanych klas społecznych, opływających bez pracy w dobrobyt i zbytek—i życia ciężko pracujących, a zmuszonych nieraz znosić niedostatek i nędzę warstw ludowych.

Objaśnimy to najlepiej na przykładzie.

Książę Niechludow, bohater „Zmartwychwstania,” ostatniej, wielkiej powieści Tołstoja, jedna z tych jego kreacyj, w których pisarz zwykł wcielać najistotniejsze swe dążenia życiowe, — okupuje ciężki grzech młodości przez zupełną przemianę sposobu życia, przez porzucenie bytu próżniaczego i zbytowego w swej rodzinnej sferze arystokratycznej i całkowite oddanie się sprawom ludzi znędzniałych w pracy i niedostatku, zgnębionych przez ciężką niedolę. Widzimy go, jadącego koleją na Sybir wślad za oddziałem skazańców, wśród których znajduje się nieszczęśliwa uwiedziona niegdyś przez niego, a wskutek tego moralnie upadła dziewczyna.

Na samym wstępie podróży, na jednej ze stacyj, widzi blisko sobie znajomą i powinowatą arystokratyczną wysoce rodzinę książęcą, wysiadającą tam właśnie z wielką paradą wśród ukłonów służby i urzędników stacyjnych. Niechludow, niechcąc się spotykać i żegnać ponownie z dawnymi przyjaciółmi, zatrzymał się z boku, oczekując przejścia uroczystego pochodu.

... „Dolatywały go tylko oderwane frazesy rozmowy francuskiej. Jeden z tych frazesów, wypowiedziany przez starego księcia, jak to czasem bywa, niewiedzieć dla czego utkwił mu w pamięci ze wszystkimi intonacyami i dźwiękami głosu. *Oh! il est du vrai grand monde, du vrai grand monde,* — mówił książę o kimś swym donośnym, pewnym siebie głosem i wraz z towarzyszącą mu synowicą oraz z pełnymi czci konduktorami i tragarzami wszedł we drzwi budynku stacyjnego.

„Równocześnie z za węgła budynku wyszła na platformę gromada chłopów w łapciach i kozuchach z workami na plecach. Zbliżają się do wagonu 3-ej klasy, chcą wsiąść, konduktor ich odpędza, toż samo w drugim wagonie. W trzecim, gdzie miejsca okazało się dosyć, protestują przeciw ich rozmieszczeniu się, niby przeciw osobistej obrazie, jakaś dama z bransoletką i francuz-

czyżną, jakiś pan z eleganckim krawatem. Chłopi — było ich ze dwudziestu — starzy i młodzi, wszyscy o twarzach suchych, opalonych, zmęczonych, zaczepiając workami o ławki, ściany i drzwi, ruszyli natychmiast wzdłuż wagonu, czując się oczywiście winnymi, gotowi iść choćby na koniec świata i sięść, gdzie im każą, choćby na gwoździu.

— Gdzie leżecie, siadajcie tutaj! — zakrzyczał na nich wchodzący konduktor...

„Chłopi odczuwając widocznie radość i uspokojenie ludzi, co uniknęli wielkiego niebezpieczeństwa, zatrzymali się i jęli rozkładać swe manatki, zrzucając ruchem ramion ciężkie swe worki i wsuwając je pod ławki.

... „Niechludow wdaje się z nimi w rozmowę, dowiaduje się o ich sprawach różnych, o niedoli ich bytu, o ich troskach rozlicznych i pracy ciężkiej. Nowy zupełnie, inny, nowy świat — myślał, patrząc na te suche, muskularne ręce, na grubą, samodziałową odzież, na zmęczone, dobrotliwe twarze i czując się otoczonym ze wszech stron zupełnie innymi ludźmi z ich poważnemi sprawami, radościami i cierpieniami prawdziwego, pracowitego życia ludzkiego.

„Oto: *le vrai grand monde*, myślał Niechludow, wspomniawszy frazes wypowiedziany przez księcia Korczagina i cały ten próżniaczy, zbytkujący i używający świat Korczaginów z ich marnemi, błahemi sprawami. I doznał uciechy podróżnika, odkrywającego nowy, nieznany, piękny świat.“

Streściłem cały ten dość długi ustęp, wydaje mi się bowiem tak w treści swej, jak i w formie niezmiernie charakterystycznym dla twórczości Tołstoja. W rysach możliwie najprostszych i najrealniejszych określa tu poeta dobitnie na samym schyłku swego zawodu twórczego znamionującą go stale dążność, powyżej określoną, jako przeschacowanie wartości życiowych, dążność do wydatnienia wśród nich prawdziwie wielkiego świata pracy i trudu w przeciwstawieniu do samozwańczo wielkiego świata zabawy, zbytku, używania. Ten ostatni przedstawiał się zrazu poecie pod postacią bliższej mu sfery towarzysko-arystokratycznej; stopniowo jednak pojęcie świata użycia i zbytku rozciągnął na wszystkie sfery społeczne, używające dobrodziejstw kultury nowożytniej bez troski o ciężką dolę ludu pracującego, któremu ono wśród jego trudów i mozołów całkiem prawie pozostały obce. Unaocznic ludziodom zupełną bezwartościowość tych rzekomych dobrodziejstw, przekonać ich słowem i czynem, że istotna wartość ludzkiego bytu polega nie na zdobywaniu i używaniu dóbr kulturalnych, będą-

ych udziałem niewielu, lecz na przysparzaniu dóbr ogólno-życiowych, dostępnych wszystkim — oto zadanie, określające najzupełniej twórczość artystyczną i twórczość życiową Tolstoja.

Było to dlań zadanie nie teoretyczne, lecz czysto praktyczne; rozwinęło się stopniowo z realnych wrażeń, stanów i przeżyć bytu osobistego, jako nieustannie tocząca się w nim walka samorodnych żywiołowych skłonności i usposobień duszy poetyckiej z otaczającym, a poniekąd i przenikającym ją konwencyonalizmem życia towarzyskiego, społecznego i wogóle kulturalnego. Walka owa w swej treści życiowej przedstawia się nam, jak wyżej rzekliśmy, niby wielka epopea duszy, ożywionej heroiczną energią wyższych dążeń; ale ze stanowiska swego znaczenia etycznego może się też wydać tragedją duszy, dążącej do celów nieziszczalnych, tragedją sumienia, stawiającą je, jako istotne zadania życia.

## VI.

Zrazu w młodzieńczej twórczości poety cele owe i zadania bądź wcale się nie ujawniają, bądź zaznaczone są niezbyt wyraźnie i pomieszczone w sferze moralnej, nie sięgającej poza istniejącą często nawet poza najbliższą rzeczywistość życiową. Ta zdaje się pochłaniać całkowicie uwagę młodego poety i stanowi wyłączny przedmiot jego twórczości. Różnorodne następczące mu się objawy jej w świecie zewnętrznym chwywane są i odtwarzane z nieporównaną prostotą, w rysach pewnych, jasnych, wyrazistych. Wszystko widnieje, wszystko żyje przed oczami czytelnika, a najwyraźniej żyje sam autor, który mniej lub więcej bezpośrednio naczelne w utworach swych zajmuje miejsce, mówi nam o swych uczuciach, ideach, dążnościach, zarysowuje się mniej lub więcej wyraźnie w swym stosunku do otaczających ludzi i zjawisk.

Nie jest to wcale stosunek przeciwieństwa, prędkiej harmonii, odpowiedniości. Indywidualność psychiczna, która w następstwie miała się zaznaczyć tak odrębnym charakterem wobec całego otaczającego ją świata, nieodrazu doszła do uświadomienia lub odczucia swej istoty wewnętrznej. Czynniki samorodnej żywiołowości ludowej, stanowiące istotną treść duszy tego potomka arystokratycznego rodu, nieodrazu na jaw wystąpiły; początkowo główną rolę zdawały się grać w jego życiu cechy dość powierzchowne, ściśle przystosowane do konwencyonalizmu danej sfery społecznej i towarzyskiej.

Tak się nam przedstawia w pierwszym swym utworze, stanowiącym niejako wstęp do wielkiej epopei życia współczesnego, roztaczającej się szeroko i wielostromnie w całej późniejszej jego twórczości. Jest to powieść-pamiętnik p. t. „Historia czterech epok.“ Autor zamierzał tu rozwinąć całokształt życia ludzkiego w czterech głównych jego epokach; ale zrazu dał tylko trzy pierwsze epoki: dzieciństwo, pachołectwo, młodość; tę ostatnią nieskończoną, zarysowującą się zaledwie w początkowym swym okresie. Historia czwartej epoki, wieku męskiego, zapełnia wszystkie późniejsze dzieła Tołstoja, ukazujące własną jego indywidualność w stosunku do świata zewnętrznego, oraz świat zewnętrzny, widziany w rozlicznych objawach z różnych stanowisk indywidualnych poety.

W następnej powieści autobiograficznej zajmuje on stanowisko ciekawego, baczego widza, patrzącego na świat szeroko otwartemu a nieskończenie bystremu oczami dziecka, pachołęcia, młodzieńca. Pod postacią młodego Irteniewa, opisuje tu sposobem pamiętnikowym własne życie, a właściwie początek swego życia, uzupełniając rzeczywistość twórczością poetycką o tyle tylko, o ile było to konieczne dla nadania jej bardziej typowego i całokształtnego charakteru. Życie realne człowieka, jako kryształ w przyrodzie, przedstawia się zawsze w formie niepełnej z podtrącanymi przez wpływy zewnętrzne charakterystycznymi bokami i kątami. Z tą samą pewnością i ścisłością, z jaką matematyk przywraca kryształowi właściwą mu postać typową, poeta rosyjski przez nieznaczne uzupełnienia zewnętrzne czyni otaczający go w latach dziecińczych i młodzieńczych obraz życiowy typowym odbiciem danej sfery społecznej.

Forma pamiętnikowa rozwijającej się na tle tego obrazu historii duszy jest nie tylko środkiem literackim, lecz i psychologiczną koniecznością nieodzownym objawem owej duszy indywidualnej, uwydatniającej się stopniowo w swym odrębnym od otoczenia charakterze. Zrazu odzwierciedla ona tylko świat otaczający, z przedziwną dokładnością chwytając najwydatniejsze, najbardziej znamienne jego rysy. Pozatem niczem szczególnem nie zdaje się wyróżniać od dusz zwykłych, arcypospolitych.

Mikołaj Irteniew, poetycki sobowtór młodego Tołstoja, zrazu zda się zupełnie podobnym do ogółu młodzieży swej towarzyskiej sfery średnio-arystokratycznej: posiada wszystkie charakteryzujące ją cechy, właściwości, upodobania, popędy i słabostki. Jeśli się czem wyróżnia, to nie na swoją korzyść, raczej brakiem, aniżeli nadmiarem przymiotów zewnętrznych, jakoto: urodziwej powierz-

chowności, wdzięku towarzyskiego, swobody światowej. Są to braki zabójcze w danej sferze społecznej. Odczuwa to boleśnie młody arystokrata, cierpi nad tem dotkliwie, nieszczędzi starań i wysiłków, aby jakimkolwiek sposobem przystosować, nagiąć swą niesforną naturę do typu wytwornego światowca. Niestety, wszystko napróżno. Z przykrością wielką stwierdza wygląd swej postaci i twarzy raczej chłopski, niżli arystokratyczny. A wspominając, z właściwą sobie naiwną szczerością, o arcyniemądrym ideale młodzieńca *comme il faut*, jaki w swej osobie daremnie pragnął zrealizować—„to dziwne, dodaje, że ja, posiadający pozytywną właściwość nie być *comme il faut*, taki sobie wytworzyłem ideał.“

Dziwniejsza jest jeszcze, że ten niefortunny kandydat na snoba światowego, był już prawdziwym poetą, zdolnym odczuwać w otaczających go powszednich zjawiskach najistotniejszą prawdę życia i przyrody. Pamiętnik Irteniewa pełen jest dowodów takiego odczucia, pełen odtwarzających je świetnie zarysów i obrazów. Oto mała próbka.

Młody chłopiec wraz z rodziną odbywa daleką podróż do stolicy. W drodze nastęrcza mu się tysiące wrażeń i spostrzeżeń. Główne z nich, przejście krótkiej burzy wiosennej, odświeżającej całą naturę:

„Z jednej strony drogi, jak okiem sięgnąć, aż do skraju wiodnokregu, niby dywan ciemno-zielony, rozciąga się równina pokryta zasiewami jesiennymi, tu i owdzie poprzerzynana nie głębokimi parowami. Z drugiej strony gaje wiśniowe, nasycone odświeżonem powietrzem, okapujące ciężkimi kroplami ze swych liści wymytych i błyszczących, na zeschłe liście z roku zeszłego. Ponad zasianem polem, wśród gałęzi drzew, wszędzie rozlega się żywy, wesoły śpiew skowronków. Pomiędzy mokrymi liśćmi ptaki uwijają się i trzepocą. W głębi gaju dźwięczy jasny, wyraźny głos kukułki. W powietrzu świeży zapach drzew, wyziewy wiosenne, podnoszące się po burzy. Pachną dęby, dzikie wiśnie. Czuję woń fiołków, pierwiosnków, zeschłych liści, których z powozu dojrzeć nie mogę. Wyskakuję z powozu, biegnę do poblizkich zarośli. Zrywam mokrą gałąź dzikiej wiśni, odrapuję sobie twarz, ale wchłanianiam zapach rozkoszny. Nie zważam, że buty moje pokrywają się błotem, pończochy całe mokre. Pędzę po zinoconej ziemi i już jestem przy drzwiczkach karety. Luboczka, Katieńka—wołam, podając im kilka mokrych gałązek—patrzcie, jak to piękne, jak pachnie! Dziewczęta wykrzykują cienkimi głosikami. Mimi woła, żebym sobie poszedł, bo mnie przejadą. Ja



na nic nie zważam — pędzę przy karecie i wołam: patrzcie, jak piękne, jak pachnie!”

Cały przyszedł Tolstoj streszcza się już w tym opisie, w tem zespoleniu realnie wiernych, przedmiotowo wyrazistych szczegółów obrazu, z przenikającym go na wskroś podmiotowym samorzutnym porywem ku przyrodzie, ku życiu, ku żywiącej duszy zjawisk. W przyszłości na drodze tego porywu stanie cały świat form i stosunków, dla ogółu ludzi—objawów wyższej kultury, dla epika rosyjskiego — kłamliwych lub ułudnych jej pozorów, zasłaniających istotną prawdę życia ludzkiego.

Na razie jednak w młodzieńczych latach i on, jak widzieliśmy, wierzył szczerze w wyższą wartość tego świata form kulturalnych i to w najbłahszej, najbardziej ułudnej, a najmniej żywotnej jego postaci. Poeta wzrastał i rozwijał się w bezpośrednim zetknięciu z próżniaczą przeważnie na pozorach lub zgoła na fałszach życiowych opartą kulturą świata arystokratycznego. I ściśle biorąc nigdy całkowicie i na stałe niewyszedł poza obręb tego świata. Odgraniczał się wprawdzie od niego coraz wyraźniej i coraz staranniej obyczajami i sposobem życia: kożuchem chłopskim, dratwą szewcką, prostaczem jadem i prostaczem zajęciem, ale ostatecznie pozostał zawsze w obrębie „naszej sfery,” jak się sam nieraz wyraża, „średnio-wyższej sfery próżniaczego barstwa,” jak ją dosadnie nazwał Dostojewskij. Nigdy przynajmniej nie zetknął się bezpośrednio, trwale i realnie z jakąś inną żywotniejszą dziedziną bytu ludzkiego. Nie można chyba uważać za takie zetknięcie wspólnej z chłopami pracy w polu czy w lesie, będącej, wraz z krokietem i lawntenisem, raczej pańską gimnastyką, aniżeli prawdziwie chłopską robotą.

Jak dalece poeta żył i tworzył w ściślejszej łączności z otaczającą go „średnio-wyższą“ sferą społeczną, dowodem wszystkie większe jego utwory: „Wojna i pokój,” „Anna Karenina,” „Zmarłychwstanie”— z tej sfery przeważnie wysnute. Czyż jego pojmowanie kultury, jako pustej, nieużytecznej zabawki ludzkości, nie wytworzyło się w znacznej części pod wrażeniem kulturalnego dyletantyzmu czy konwencyonalizmu, z jakim najczęściej spotykał się w swem otoczeniu arystokratycznym, jakim sam przeniknięty był w młodzieńczych swych latach? Co więcej, znany krytyk, Michajłowski, nie bez słuszności pono przypisuje antykulturalne zapędy poety bezwiednie działającym w jego jestestwie dziedzicznym tradycjom starej „barszczyzny“ moskiewskiej. Z tego samego źródła pochodzi też może jego lubowanie się prostackim życiem ludu wiejskiego w przeciwieństwie do życia cywilizowanego miesz-

czaństwa. Arystokratyzm, skoro z jakichkolwiek powodów zmuszony jest występować poza granicę swej sfery wyłącznej, zwraca się zawsze raczej do dziedziny wiejsko-ludowej, aniżeli do mieszczańskiej, jako że ta im bliższą mu jest, tembardziej staje się dlań niebezpieczną. Zygmunt Krasiński głosił: „z szlachtą polską polski lud,“ ale nie zgodziłby się, aby z nią razem iść mieli „kupy i Żydowie, ani mieszczan też synowie.“

Cokolwiek jednak powiedzielibyśmy o dziedzicznym czy atawistycznym arystokratyzmie tołstojowskim, to pewna, że nie on jest głównem źródłem rozmiłowania się poety w prostocie bytu ludowego oraz złączonych z tem antykulturalnych jego idei. Tołstoj zwracał się do ludu nie w celach społecznych czy narodowych, jak Krasiński, lecz z pobudek psychologicznych, czy to osobistych, wypisanych, jak widzieliśmy, na jego twarzy i postaci, ujawniających się w rodzaju i kierunku jego natchnień twórczych, w naiwno-epickim talencie naratora. Być może, iż nie obyło się tu bez wpływu dziedzicznej „barszczyzny“ staromoskiewskiej, ale pamiętajmy, że ta w swej wewnętrznej, niekulturalnej istocie tak blizka była ogółowi ludowemu, a w swem stanowisku społecznem i politycznem zupełnie z nim zrównana przed groźnym majestatem carskim.

Tak czy owak pewną jest rzeczą, iż cały dalszy rozwój poety, czyniący go w końcu zaklętym wrogiem wszelkiej kultury i wszelkiej cywilizacji, był wynikiem jakiejś wewnętrznej konieczności psychologicznej, stanowiącej istotę jego geniuszu twórczego, zniewalającej go do ujawniania stopniowego w słowie i w czynie, w poezyi i w życiu jakiegoś odrębnego typu natury ludzkiej, typu człowieka tołstojowskiego, przeciwstawiającego się z dziwnie naiwną pewnością siebie całej współczesnej cywilizowanej ludzkości.

## VII.

Widzieliśmy, jak ów wewnętrzny człowiek poety, ukryty w swej młodzięcej nieświadomości, bezskutecznie usiłował zrazu przystosować się do najbardziej zewnętrznych, konwencyjonalnych znamion, stanowiących całą prawie istotę napotykanego w najbliższem otoczeniu społecznem i towarzyskiem typu natury ludzkiej. Skoro w następstwie uświadomił sobie swoją zupełną odrębność od tego typu, utkanego z błahości i próżnostek światowych, począł dążyć do wszechstronnego rozwinięcia swej wewnętrznej

istoty ludzkiej, do realizacji ideału człowieczeństwa, jaki z niej wypływać zapragnął.

Zadaniu temu poświęcone jest całe dalsze życie poety. Ale życie poety, o takiej mocy władającego nim geniuszu, to jego twórczość, czasem świadoma, czasem i bezwiedna twórczość. Pierwszej literatura powszechna zawdzięcza kilka arcydzieł, drugiej świat współczesny zawdzięcza bardzo osobliwą indywidualność psychiczną, poczytywaną przez jednych za natchnionego proroka czy reformatora ludzkości, przez innych za genialnego dziwaka, potrosze może komedyanta, a będącą w istocie rzeczy niczem innym, tylko przeniesieniem w życie poety ideału moralnego jego twórczości, ideału, wyrażającego w sobie surowe *memento* dla sumienia współczesnej ludzkości.

Jak dalece u Tołstoja poezja zlewa, miesza się z życiem, świadczy wspomniany pierwszy jego utwór, więcej niż przez pół pamiętnikowy. W tym pączku młodzieńczym zawierają się wszystkie główne elementy mającej się z niego rozwinąć wspaniałej rośliny życia poetyckiego czy też poezji życiowej.

Roślina staje się drzewem o wielu bujnych gałęziach, rozchodzących się ze wspólnego pnia, wyobrażającego potężną indywidualność poety. Rozdziela się ona, różniczkuje w późniejszych jego utworach, rozliczne przybiera postacie i miana, ale kto bacznie śledzi jej rozwój, ten ją zawsze spostrzeże wśród różnorodnych rozgałęzień wielkiego drzewa twórczości tołstojowskiej.

Już pod koniec „Historii trzech epok,“ czyli pamiętników młodzieńczego poety, widzimy takie poetyckie rozdzielenie się jego indywidualności. Obok wyobrażającego ją głównie w jej ogólnem dążeniu rozwojowem młodego Irteniewa, mamy tam w jego przyjacielu, Niechludowie, upostaciowanie czysto moralnych jej dążeń. Ten, przy całej swej dobroci, zimny, surowy, pedantyczny moralista (jak go określa sam autor „Pamiętnika“) dwukrotnie jeszcze z tym samym zasadniczym charakterem występuje w twórczości Tołstoja: przy jej początku w napisanej bezpośrednio po „Pamiętniku“ Irteniewa krótkiej opowieści p. t. „Ranek obywatela“ i przy jej schyłku w „Zmartwychwstaniu.“

Pierwszy z tych utworów, pod postacią, Niechludowa przedstawia samego autora w zaczątkach jego dążeń moralnych w młodzieńczym jego porywie do pracy dla ludu, do niesienia ulgi twardej doli chłopskiej, do wyrównania choć w drobnej części niesprawiedliwości społecznej, w rozkładzie dóbr i ciężarów życia. Temi ożywiony uczuciami i dążeniami młody dziedzic obszernych włości prosto z uniwersytetu przybywa do swego majątku i zaraz

energicznie bierze się do dzieła. Pewnego poranku niedzielnego obchodzi chaty swych włościan poddanych (rzecz dzieje się około r. 1850 przed zniesieniem poddaństwa), aby osobiście poznać ich potrzeby i tem skuteczniejszą nieść im pomoc. Srogiego jednak doznaje zawodu. Wszędzie spotyka się z nieufnością, niezrozumieniem własnego interesu, ślepe przywiązaniem do odwiecznej rutyny; jego dobrodziejstwa, zamiast pożytku, szkodę tylko przynoszą: nie przyczyniają się do polepszenia doli chłopów, zamęt jeno w ich głowach i w ich stosunkach sprawiają.

Jakże charakterystyczny jest dla Tołstoja ten sposób przedstawienia rzeczy. Wyżej zaznaczyłem, że obdarzony szczególną zdolnością widzenia realnej prawdy życia we wszystkich jej szczegółach i drobiazgach, choćby chciał niemógł jej idealizować ani w swej poezyi, ani w swych czynach. Czyż ta wizya rzeczywistości powszedniej, rozwijająca się od najmłodszych lat z przeżajającą jasnością w twórczej wyobraźni wielkiego idealisty nie musiała go doprowadzić do sceptycznego, negacyjnego, a w końcu do nihilistycznego względem życia stanowiska?

Na razie jednak, w dwudziestym roku swego żywota, daleki był jeszcze od tego rezultatu. Jak sam o sobie mówi: „zbyt silnie odczuwał w sobie obecność wszechmogącego boga młodości, odczuwał dar zamieniania się w jedno pragnienie, w myśl jedną, dar chcenia i działania.“

Jakoż bez liku myśli i chęci, pragnień i porywów przesunęło się przez głowę i serce młodego poety. Zrazu marzyła mu się sława wojenna, która, jak wszystko, u tego wizyonera rzeczywistości konkretną też musiała przybrać postać krzyża georgiewskiego lub stopnia fligieli-adjutanta. Jest to epoka służby wojennej na Kaukazie i w oblężonym przez armię sprzymierzoną Sewastopolu. Nie przyniosła mu ona pożądanego stopnia i odznaczeń militarnych, ale przysporzyła mu niemało chwały literackiej. Wtedy powstały znamienite powieści kaukaskie i sewastopolskie, jak wszystko, co Tołstoj napisał, wysnute wprost z bytu realnego, z przeżytych w nim wrażeń i doświadczeń, a przytem tak niezrównanie głębokie w ujęciu motywów życiowych, sięgającym do samego ich dna, do kosmicznej i metafizycznej ich istoty.

Pod względem psychologicznym najważniejszą jest powieść „Kozacy,“ przedziwne upostaciowanie stosunku poety do natury i do ludzi natury. „Trzeba raz poznać życie w całej jego przyrodzonej piękności,“ pisze w liście współczesnym... „Szczęście to być z przyrodą, widzieć ją, mówić z nią.“ Jakoż żyje z nią, rozmawia z nią, zlewa się nieomal z nią w panteistycznym uniesieniu.

Bohater powieści, Olenin, nowy sobowtór literacki samego poety wśród bujnej roślinności lasu dziewiczego, płonącej jakimś nadmiarem życia, pod gorącym tchnieniem upadu letniego, traci niemal poczucie swej osobowości; w mistycznej ekstazie czuje się jakby zjednoczony z otaczającymi tworamii przyrodzonymi, przeniknięty tajemniczym tchnieniem wszechbytu.

„Miał jasną świadomość, iż przestał być szlachecciem rosyjskim, członkiem towarzystwa moskiewskiego, spokrewnionym z takimi to a takimi osobami, a stał się komarem, jeleniem, bażantem dzikim, jednym z tych stworzeń, które żyją i uwijają się dokoła niego. Jak one, myślał, jak stary Jeroszka żyje, umrę; nieco trawy wyrosnie na mogile—i to będzie wszystko.“

Ów stary Jeroszka, to jedna z najgłębszych kreacyj tołstojowskich. Jest to wierny portret starego kozaka-myśliwca, ulubionego towarzysza łowów i wypraw leśnych poety, a jednocześnie postać niemal symboliczna, niby jakiegoś satyra czy fauna kaukaskiego, żyjącego najpierwotniejszym życiem przyrody, świadomego najskrytszych jej tajników. Tołstoj posiada, właściwy bardzo niewielu tylko twórcom, dar wydobywania z żywego, realnego człowieka ukrytej w nim głęboko najidealniejszej treści jego życia. Nieuosabia on idei, raczej uidealnia osoby ludzkie w całej pełni rzeczywistego ich bytu.

Podobnie siłą swego talentu umie on wyczarować treść ideową z najbardziej nawet realistycznie kreślonych obrazów życia i przyrody. Kaukaz, ta ulubiona sceneria romantyzmu rosyjskiego, w powieściach tołstojowskich niema ani cienia romantycznych zabarwień, a jednak wzniosła piękność jego górskiej przyrody nigdzie z większą siłą nie została uwydatniona. Opowiadania z dziejów heroicznej obrony Sewastopola nie zawierają ani śladu buńczucznej, nie znającej strachu, rycerskości. Owszem, strach często tam jest wspomniany, jako naturalne uczucie, ogarniające najdzielniejszych, nawet w obliczu śmierci; ale zaiste w całej literaturze wszechświatowej niewieleby można znaleźć z równą, jak tam, mocą i prawdą kreślonych obrazów bohaterskiego męstwa bez pozy i bohaterskiej śmierci bez frazesu.

Tak w kaukaskich, jak i w sewastopolskich powieściach życie ludzkie przedstawione jest w stosunku do jakiejś ogarniającej i pochłaniającej je potęgi nadludzkiej. Ukazuje się ona pocie bądź jako wszechbytowy bezmiar tworców przyrodzonych, bądź jako groza fatalistycznych wydarzeń dziejowych. Czem wobec jednych i drugich człowiek, marna, znikoma jednostka życiowa? czem jego pragnienia, dążności, ambicje osobiste? A nie brakło

ich naówczas młodemu pocie. Wiemy, iż marzył o sławie, o karierze wojskowej, o krzyżu georgiewskim, flieger-adjutantwie. Wszystkie te marzenia rozwiane zostały przez świeże powiewy, wiejące od szczytów górskich, od ostępów leśnych Kaukazu, przez groźny wicher śmierci, tysiącami gaszący istnienia ludzkie na murach i bastyonach Sewastopola. Talent Tołstoja, z taką niezachwianą pewnością chwytający zjawiska życiowe w ich związkach wzajemnych i stosunku do najwyższych mocy istnienia, już w tych młodzieńczych wizjach poetyckich odczuł i uwydatnił niezmierną małość bytu indywidualnego wobec bezmiarów ogólnego wszechbytu. Przejęty tem odczuciem poeta radby pograżyć swą znikomą osobowość w toczących się wiecznie falach bezosobistego życia, tak bujnie wrzącego dokoła w dzikiej przyrodzie i półdzikich ludziach Kaukazu, radby ją zatopić w niezgłębionych toniach bezosobistej niemal śmierci, jaką w oczach jego umierają bohaterscy obrońcy Sewastopola.

Daremne chęci!

Ani mu żyć życiem komara, jelenia lub leśnego fauna Jeroszki, ani mu umierać śmiercią bezimiennego żołnierza-bohatera. Życie osobiste, indywidualne, życie osobistych pragnień i dążeń szeroko stoi przed nim otworem, do czynu, do pracy wzywa, jakoś cele wysokie, zadania wielkie w niezmiernej ukazuje mu dali.

Jakież jednak mają być te normy i drogowskazy, gdy znikły z jego widnokręgów majaczące na nich chwilowo mirażę osobistych ambicji?

Ideał moralny, zarysowujący się już poprzednio w myśli wychodzącego zaledwie z pacholectwa poety, wyraźniej mu się uprzytomnia w pełnym rozkwicie jego młodości. Żyć z przyrodą, woła w uniesieniu panteistycznego zachwyty. Żyć dla drugich, woła w nim głos sumienia, uświadamiającego sobie istotne zadanie szczeroludzkiego bytu. Olenin marzy zrazu o szczęśliwem położeniu z piękną dziewczyną kozacką w ustroni górskiej Kaukazu, zdala od świata kłamliwych konwenansów; niebawem wszakże uświadamia sobie niemożliwość takiego prostaczego szczęścia, żegną ukochaną Maryankę; z tego świata natury i pierwotności, wśród którego z nią przebywał, wywozi tylko głuche poczucie jakiejś nieodzownej etycznie redukcji wybujałych samolubnie pragnień i potrzeb człowieka kulturalnego, redukcji do poziomu milionów ludzi, żyjących w prawdzie natury, nie w kłamstwie fałszywej cywilizacji. Uczestnik bojów sewastopolskich, widzący w nich zrazu drogę do sławy i zaszczytów, stopniowo wyzbywa się tych pożądań próżności, widzi tylko dokoła siebie bezmiar

cierpień ludzkich, zrządzonych przez wojnę i przedstawia je z niewzruszoną a wstrząsającą do głębi duszy prawdą realizmu artystycznego.

Uczucia, myśli i idee, wysnute z tych pierwotnych, potężnych wrażeń młodego poety, nieprzerwanym prawie wątkiem rozwijają się w całej dalszej jego twórczości, przystosowane do kreślonych zawsze z niezrównaną prawdą scen i obrazów życia realnego, odniesione do nadzyciowej zasady religijnej, jako najwyższego, idealnego celu i kresu wszelkich dążeń ludzkich.

### VIII.

Pełne dążeń owych rozwinięcie w podwójnem ustosunkowaniu do rzeczywistości i do ideału życia ludzkiego ukazuje nam najpotężniejsze dzieło Tolstoja: „Wojna i pokój.“ Nie bez słuszności nazywano nieraz tę słynną powieść *Iliadą* rosyjską. Podobnie, jak ów znamienity arcytwór epiki greckiej, zawiera ona obraz bytu narodu w przełomowym, bohaterskim momencie jego dziejów, w momencie najwyższej wyteżonej walki o ziemię ojczyzną, o rodzinne ogniska, o świętości narodowe. I tak samo, jak *Iliada*, przedstawia tę walkę w świetle idei religijnej, w odniesieniu do nadziemskich mocy, ogarniających ze wszelkich stron sprawy ludzkie swemi wszechmocnemi wpływami.

Oczywistem jest wszakże, że u nowożytnego, chrześcijańskiego epika moce owe nie mogą się zjawiać, jak u staropogańskich rapsodów, w grze wyobraźni, „kwieciami barwnych mytów“ potrząsającej niwy rzeczywistości życiowej. Rosyjski poeta-realista, wizjoner-odtwórca realnej prawdy życia, jak od zarazy odżegnywa się od wszelkiego udziału wyobraźni w idealnej dziedzinie swych wierzeń i dążeń religijnych. Nie chce on nic wiedzieć, ani słyszeć o jakimkolwiek uprzedmiotowianiu ich, choćby w postaci najbardziej oderwanych symbolów i dogmatów. Religia to dla niego wiara w jakąś wszechogarniającą nas Wszystkość, to kult jakowejś nadświatowej Wszechmocy, której ani pojąć, ani uprzytomnić sobie nie możemy, o której wiemy tylko, że istnieje, że władcze nami, że stanowi istotę naszego własnego bytu. W chrześcijaństwie przemawia ona do nas jedynie jako najwyższa zasada moralna, w Chrystusie zjawia się nam nie jako wcielone Słowo Boże, lecz jako uświadomiona w pełni uuczelną prawdą życia.

Ta swoista religijność Tolstoja, zarysowująca się już w młodzińcych jego utworach, unosi się ponad rozległym obrazem ży-

ciowym eposie „Wojny i pokoju“ i przenika całą dalszą twórczość, całe życie poety, wciela się w kreacye jego wyobraźni, pobudza dążenia jego serca, kieruje biegiem i rozwojem jego myśli. W istotnej swej treści jest ona niczem innym, tylko chrześcijaństwem, ukształtowanym w duchu nowożytnego racjonalizmu, skojarzonego z rodzinnym rosyjskim kultem zbiorowej siły narodu, wcielonej w naczelnej władzy państwowej.

Dostojewskij przez usta jednego z bohaterów swej powieści, „Biny,“ mówi, że każdy wielki, potężny naród musi mieć własnego swego Boga... Myśl ta zawiera w sobie pewne jądro prawdy. Nietylko ludy pogańskie, którym obca była idea braterstwa rodzaju ludzkiego, lecz i chrześcijańskie, nawet przy uznaniu Ojcostwa Bożego, w obrębie określających je tych samych dogmatów, różnie pojmują, odczuwają, wyobrażają sobie istotę Boga, zależnie od swej odrębnej indywidualności narodowej. Indywidualność ludu rosyjskiego objawia się w doskonałym skupieniu zbiorowej jego siły, pochłaniającej jednostkę. Nie dziw, że odczucie tej zachłanności występuje też mniej lub więcej wyraźnie we właściwym mu pojmowaniu idei Boga i władzy jego nad światem; pojmowaniu, pełnem biernego poddania i fatalistycznej iście rezygnacyi.

Tołstoj, jakkolwiek obcy, a później nawet wrogi prawowiernej religijności swego ludu, jej dogmatom i praktykom kultu, był i pozostał zawsze wierny przewodniej jej idei, Bogu rosyjskiemu, uprzytomniającemu się w świadomości i w odczuciu całego ludu, jako Wszehmoc despotycznie władająca duszami, chłonna w sobie wszelką indywidualną ich siłę. Tylko, że poeta w swym racjonalistycznym agnostycyzmie religijnym odrzuca wszelkie dogmatyczne czy mistyczne upostaciowanie Boga—Bóg, to dlań tylko bóstwo. Mniej, niż nieokreślony *On*, bo bezosobiste *Ono*, siła fatalna wszechpotężnie władająca losami świata.

Atoli realne istnienie, żywe działanie tej siły bożej, odczute i unaocznione nam zostało przez poetę rosyjskiego z wielką wyrazistością i mocą. „Wojna i pokój,“ to opowieść o czynach ludzi, jako narzędzi wykonawczych woli bóstwa, narzędzi tem doskonałszych, im zupełnie bezwłasnowolnych i bezwiednych, tem mniej doskonałych, im więcej powodowanych własną wolą i świadomością.

Z tego stanowiska, które możnaby nazwać stanowiskiem wiary we wszechpochłaniającego Boga rosyjskiego, przedstawia nam autor „Wojny i pokoju“ działalność własnego narodu i zwalczanego przezon wroga—Napoleona. Wyżej już zaznaczyłem zupełną niehistoryczność roztoczonego w powieści obrazu epickiego.



Istotnie, niema w nim ani kolorytu epoki, ani charakterów dziejowych, ale są ludzie przedstawieni z dużą mocą i prawdą z punktu widzenia religijnej idei poety.

Jakże w jej świetle przedstawia się „ów mąż, bóg wojny,“ największy indywidualista świata zachodniego, najbardziej krańcowe przeciwieństwo wschodniej, stadowej zachłanności?

Główny bohater powieści wielbiciel i naśladowca Napoleona, książę Andrzej Bołkoński, leży ciężko ranny i bliski śmierci na polu bitwy austerlickiej. „Nad nim nie było nic, krom nieba—wysokiego nieba, niejasnego, a jednak bezmiernie wysokiego, z płynącymi po niem cicho szarymi obłokami.“ „Jak cicho, spokojnie, uroczyście, nie tak, jak ja uchodziłem, myślał książę Andrzej, nie tak, jak my uchodziliśmy, krzyczeli, walczyli, zupełnie nie tak płyną obłoki po tem wysokiem, bezmiernem niebie. Jakże mogłem niewiedzieć wprzód tego wysokiego nieba? Jakżem szczęśliw, że nareszcie je poznaję. Tak, wszystko próżność, ułuda, okrom tego bezmiernego nieba. Niczego, oprócz niego, niema. Lecz i jego niema, okrom ciszy, spokoju. Bogu niech będzie chwała.“ „Oto piękna śmierć,“ mówił Napoleon, patrząc na Bołkońskiego. Książę Andrzej zrozumiał, że o nim to powiedziano, że mówił to Napoleon. Ale słyszał te słowa, jak słyszał brzęczenie muchy. Wiedział, że był to Napoleon—jego bohater; ale w tej chwili Napoleon wydał mu się tak maleńkim, marnym człowieczkiem w porównaniu z tem, co zachodziło pomiędzy nim a owem wysokiem, bezmiernem niebem. Tak marnemi zdały mu się w tej chwili wszystkie sprawy, zajmujące Napoleona, tak małym wydał mu się sam ów bohater jego z tą nędzną ambycją i radością zwycięstwa w porównaniu z tem wysokiem, sprawiedliwym i dobrem niebem, które widział i pojął.“

Oto jedno z charakterystycznych określeń idei religijnej Tołstoja w jej stosunku do człowieka. Wszystkość, będąca zarazem niczem — cisza, spokój, ukojenie, coś niby budyjska nirwana, niby panteistyczny świat-absolut, pochłaniający w sobie jestestwo ludzkie.

Nie miejsce tu rozwodzić się nad tą ideą poety w jej pełnem metafizycznym znaczeniu. Obecnie chodzi nam tylko o dwie istotne jej cechy: o górującą jej ponad wszystkim w życiu doniosłość i o przeciwstawną jej stosunek do indywidualnych sił życiowych. Niewielu jest w całym naszym świecie nowożytnym ludzi owładniętych w tym stopniu, co Tołstoj ideą religijną, ideą wszechogarniającej nas wszystkości i wszechmocy nadludzkiego bytu, a nikt z taką, jak on, siłą i bezwzględnością nie wyraził zaprze-

czenia indywidualnego bytu ludzkiego, indywidualnych „praw człowieka,” postawionych przez wielką rewolucję, jako najwyższa świętość na ołtarzu nowożytniej ludzkości.

Co za dziw, że słowa Napoleona, oświeconego słońcem austerlickiem, wydają mu się brzęczeniem muchy, sama postać wielkiego cesarza zda mu się tak małą, jego sprawy tak marnemi. Podobnie przedstawiony jest Napoleon w całej osnowie powieści. Został on tam już nie pomniejszony, lecz unicestwiony. Ukazuje się nam małym, najmniejszą jaka jest małością pospolitego flistra. „Petit, petit, powiedziałby Ernest Hello, mais non pas comme un insecte, petit comme un Monsieur.“ Istotnie z genialnego wodza i władcy o marmurowej twarzy i duszy pozostał u Tołstoja taki sobie podżyły pan w mundurze, „którego cała krótkka, pogrubiała figurka z szerokimi, tłustemi ramionami, mimowoli wystawionym naprzód brzuchem i piersią, miała ten okazały, reprezentacyjny wygląd, jaki miewają opływający w dostatki ludzie czterdziestoletni.“

Co znaczy ta karykatura tak sprzeczna z rzeczywistością u poety-realisty, niezłomnie jej zazwyczaj wiernego?

Zaznaczyć przedewszystkiem należy, że jest pewna strona w owym Napoleonie tołstojowskim przedstawiona istotnie z niewzruszoną prawdą realistyczną. Jest to strona czysto fizyczna, anatomiczna nawet: budowa cielesna, cechy zewnętrzne, wpadające w oko, zmysłowe. Tołstoj właściwą sobie metodą gromadzi, skupia różne rysy drobne, ledwie pochwytne i tworzy z nich cielesną postać Napoleona, bardzo żywą, realną, plastyczną. Ale co czyni z jego duszą?

Ta zuchwała, świat cały do walki wyzywająca, dusza Tytana nowożytnego, w porównaniu z „wysokiem, bezmiernem niebem,” z ogarniającą nas wszechbytową wszystkością, wydaje się poecie tak małą i nędzną, że jej niedostrzega wcale. Przytomna zawsze w jego myśli i sercu zachłanna Wszystkość Boża nie pozwala mu uznać samodzielnego wznoszenia się dusz indywidualnych. Im doskonalsza dusza ludzka, tem zupełniej zlewa się z wszechbytem. Wielkość samoistna dusz genialnych, to fałsz, ułuda. Człowiek sam w sobie, czy to będzie cesarz Napoleon, czy chytry dięszczyk Ławruszka, jest tylko (jak się w innem miejscu wyraża poeta) dwunożnym ustrojem, przerabiającym z zewnątrz przyjmowany pokarm na wyładowującą się na zewnątrz energią czynów i działań.“

Jeden z takich ustrojów ukazuje nam Tołstoj w swym Napoleonie. Patrzcie, oto wasz geniusz-bohater, ów starzejący się

jegomość o tłustych ramionach i okrągłym brzuszku. A jego wielkość rzekoma, jego podziwiane przez was czyny wielkie, to tylko niepojęta gra sił, wprawianych w ruch przez dłoń nadludzkiej Wszehmocy za pomocą ludzkiego, aż nadto ludzkiego narzędzia, zwanego Napoleonem, które tem mniejszem się okaże, im większem będzie się chciało wydać w pozornej samoistności swych działań i dążeń.

Tak to zaborczy Bóg rosyjski, wszechpochłaniająca zbiorowa Wszystkość, odbita w świadomości religijnej rosyjskiego epika, unicestwienia w osobie największego indywidualisty, Napoleona, całą moc indywidualnego rozwoju duszy zachodniej. Usiłująca kroczyć po tejże drodze rozwojowej, wzorująca się na bohaterze Zachodu, rosyjska dusza ks. Andrzeja Bołkońskiego najzupełniejszej doznaje porażki. Marzył o sławie, potędze, wielkości, chciał być drugim Bonapartem i oto ginie marnie u samego wstępu swych dążeń, a przed śmiercią uznać musi małość swego bohatera, znikomość jego wielkości, nicość wzorowanych na nim własnych swych pragnień, nicość wszystkiego wobec tego „wielkiego, niezmiernego nieba,“ które teraz dopiero poznał, zrozumiał, jako jedyną prawdę bytu, prawdę wiekuiстей ciszy, wiekuiستego spokoju.

„Wojna i pokój,“ jak wszystkie utwory Tołstoja, to jeden moment w jego rozwoju duchowym, jeden fragment tej spowiedzi powszechnej, którą przed nami w swej twórczości roztacza. Tylko, że dusza poety nie wciela się tu w jedną główną postać, lecz rozdziela się na kilka, czy kilkanaście postaci, a nawet, można powiedzieć, pogrąża się, zatapia w zbiorowej, wielomilionowej duszy całego narodu. Książę Andrzej wyobraża w ich przesileniu i ostatecznym upadku znane nam już ambitne porywy poety w zakresie sławy i władzy wojennej, jako najwyższego objawu czynnej energii człowieka. Ta ostatnia w swem indywidualnem wyodrębnieniu (jak nam się przedstawia szczególnie w osobie Napoleona) okazuje się złudą, fałszem. Jedyną prawdą życia władnącą nami, ogarniająca nas wszechmoc bożej Wszystkości.

Książę Andrzej poznaje ją dopiero w chwili zgonu, gdy poniewolnie w niej się rozplywa. Drugi główny bohater, Piotr Bezuchow, uosobienie występujących coraz bardziej w tej epice na pierwszy plan moralnych dążeń autora, dochodzi do poznania tej prawdy życiowej na drodze stopniowego rozwoju, znajduje ją całą i zupełną w prostaczey, naiwnej duszy ludowej. Tołstoj obdarzył Piotra (dla tem większej wyrazistości w odpowiedniem spotęgowaniu artystycznym) wrodzoną swęj własnej naturze cyklopową ociężałością i przez to zbliżył go tembardziej do przy-

ziemnych całą olbrzymią wagą swej pierwotnej żywiołowości na ziemi osiadłych mas ludowych, w których uznawał podstawę i punkt ciężkości życia ludzkiego. Przedstawicielem siły duchowej, ożywiającej te masy, uosobieniem duszy ludu, pojętej przez poetę, jako bezpośrednia emanacja duszy świata, jest prosty żołnierz, Płaton Karatajew.

„Płaton Karatajew dla wszystkich był najzwyczajniejszym żołnierzem—Piotrowi zdał się niedościgłym, okrągłym i wiecznym uosobieniem ducha prostoty i prawdy, uosobieniem wszystkiego, co ruskie, dobre, okrągłe... Każde słowo, każde działanie Karatajewa było objawem nieświadomej mu czynności, stanowiącej jego życie. Ale życie jego, jak sam na nie się zapatrywał, nie miało sensu, jako życie oddzielne. Miało sens tylko jako cząsteczka całości, którą w sobie wciąż odczuwał. Słowa i czyny jego wylewały się tak równomiernie, nieodzownie, bezpośrednio, jak wóń wydziela się z kwiatu. Nie mógł on pojąć ani wartości, ani znaczenia oddzielnie wziętego słowa lub czynu.“

Czem Karatajew na powszednich nizinach życia, tem w powieści tołstojowskiej na dziejowych jego szczytach naczelny wódz działającej przeciw Napoleonowi armii rosyjskiej, stary Kutuzow: bezpośrednim objawem wyższej, nadludzkiej siły, powodującej ludzką myślą i wolą, „jednym z tych rzadkich, zawsze samotnych ludzi, którzy, poznając wolę Opatrzności, poddają jej własną wolę.“

„Kutuzow słuchał raportu dyżurnego generała, ale słuchał tylko dlatego, że miał uszy, które nie mogły nie słyszeć. Wszystko, co dyżurny generał mówił, rozumne było i słuszne, ale Kutuzow widocznie gardził i wiedzą i rozumem, a wiedział coś innego, co miało rzecz całą rozstrzygnąć, coś innego, niezależnego od wiedzy i rozumu... Im więcej książę Andrzej widział brak wszystkiego, co osobiste w tym starcu, w którym zamiast rozumu (grupującego zdarzenia i wyciągającego wnioski) pozostała li tylko zdolność spokojnej obserwacji biegu zdarzeń, tem spokojniejszy był o to, że wszystko tak się stanie, jak się stać powinno... Nic w nim niema własnego. Niczego nie obmyśli, nie nie przedsięweźmie, ale wszystko wysłucha, wszystko zapamięta, wszystko postawi na właściwem miejscu, niczemu pożytecznemu nie przeszkodzi, niczego szkodliwego nie dopuści. Wie on, że jest coś silniejszego i donioślejszego od jego woli—nieodzowny bieg zdarzeń. Umie je widzieć, umie zrozumieć ich znaczenie i wobec tego znaczenia umie wyrzec się wszelkiego uczestnictwa w owych zdarzeniach, wyrzec się swej woli osobistej... On Rosyjanin.“

Oczywistą jest rzeczą, że ta charakterystyka Kutuzowa, podobnie jak i charakterystyka Napoleona, nie może być poczytana za zgodną z historią. Ale bo też co ma wspólnego z historią cała epopea „Wojny i pokoju”? Jest w niej wyższa od prawdy czasowej, historycznej, wiekuista prawda życia narodowego w jego religijnem samopoczuciu, oraz wynikającym stąd uświadomieniu etycznym. Jak bogowie olimpijscy w Iliadzie, nadludzkie moce bożego wszechbytu w powieści Tołstoja powodują sprawami ludzkiemi, wyznaczają ich drogi i kierunki. Ludzie, chcąc nie chcąc, kroczyć muszą po tych opatrnościowych drogach życia i tem lepiej spełniają na nich swe zadania, im zupełniej poddają się bożemu kierownictwu.

Że ten pochód życiowy przedstawiony został przez poetę rosyjskiego w przepysznym, bezprzykładnie wyrazistym i pełnym obrazowaniu artystycznym—jest to znana, wielokrotnie stwierdzoną rzeczą. Nie będziemy się dłużej rozwodzili nad tą jego stronę. Nam chodzi tu o jego stronę ideową, o moralne i religijne jego znaczenie. Czy może ono trafiać nam do przekonania? Czy możemy się zgodzić na zawartą w niem bierność fatalistyczną i bezwzględna negacyę indywidualności ludzkiej?

Sądzę, że każdemu człowiekowi, przenikniętemu duchem kultury zachodniej, nie tylko obcemi, lecz wprost niepojętemi wydać się muszą podobne idee etyczne i religijne. Zgroza nas ogarnia wobec tej zachłanności Boga rosyjskiego, którego wyznawcą głosi się autor „Wojny i pokoju.” Owa podawana przezeń za dobro absolutna karatajewska okrągłość, bezwłasnowolnie tocząca się po drogach przeznaczenia lub kutuzowska pogarda dla wszelkiego samoistnego czynu, jakże daleką jest od tego, co poczytujemy za najlepsze, najdoskonalsze w życiu.

A jednak czy w owych ideach tołstojowskich niema pewnej strony głęboko prawdziwej, zdolnej uderzyć swą prawdą nas szczególnie Polaków wobec wprost przeciwnych idei zachodnio-europejskich?

Wspomnijmy słynną powieść z napoleońskich również pochodzącą czasów, przez napoleońskiego nawet napisaną żołnierza, *Rouge et noir* Stendhala. Tam indywidualność ludzka w całej pełni się objawia, poza brzegi się przelewa, samoistnym czynem po własnych drogach, do własnych dąży celów. Niema tam ani mowy o jakiejś wyższej sile, władnącej przemożnie losami człowieka. Tam człowiek sam jest sprawcą swych losów. Nie zostaje pochłonięty przez jakąś wszechbytową Wszystkość, lecz sam

wszystko, co może, pochłania nienasycone żarłoczną gardzielią swego indywidualnego egoizmu.

Oto typowy, posiadający mnóstwo analogij w życiu i w literaturze — przykład nowożytnego człowieczeństwa europejskiego, wyzwalającego się rzekomo w swem samoistnem rozwoju z pod władzy wszelkich wyższych sił nadprzyrodzonych, chcącego własnymi tylko siłami, przyrodzoną logiką życia wyznaczać bieg zdarzeń, określać wyroki przeznaczenia.

Jakże odmiennie, przed Tołstojem jeszcze, pojmował i przedstawiał sprawy ludzkie Mickiewicz w świetle swego, na wskroś religijnego światopoglądu.

„Istotna siła leży w prawdzie bożej, w idei chrześcijańskiej. Prawda ta używa czasem za narzędzie namiętności ludzkich, ale zawsze prawie tak, że ludzie sami o tem nie wiedzą. Stąd wynika, że najczęściej siła prawdziwa, rzeczywista, płodna zbija interesy i siły ziemskie, pozorne... Żadna przezorność nie jest zdolna przewidzieć pochodów zdarzeń, czyli pochodów prawdy. Wygrana bitwa nie zależy od talentu wodza, ani od waleczności żołnierzy. Wypadek płodny wielkiej jakiej sprawy wynika z tajemnego źródła, t. j. z moralności tej sprawy.“

Te myśli wysnute przez Mickiewicza w wykładach literatury słowiańskiej z idei Długosza, czyż nie przypominają przytoczonych wyżej poglądów tołstojowskich na działalność Kutuzowa? Tylko, że u poety rosyjskiego wiara w opatrnościowy rozwój spraw ludzkich ma ciemne zabarwienie fatalizmu wschodniego i nie jest też wolna od wpływu racjonalistycznego determinizmu naszych czasów, a wobec ogarniających ją zewsząd we współczesnym świecie kulturalnym fal sceptycznej negacyi, w niekulturalnych sferach ludowych szuka swego wzmocnienia. W ten czy ów sposób pewną jest rzeczą, że Tołstoj z siłą przekonania, jakiej nie znajdujemy u żadnego z wielkich pisarzy naszej epoki, na religii oparł cały swój światopogląd, z niej wysnuł etykę czynów i dążeń ludzkich, w niej szukał drogowskazów dla moralnego rozwoju własnej swej duszy.

W. GOSTOMSKI.

# ŁUNA.

## XV.

Od drzwi, które zatrzęsnęły się za Śniałowskim, Paweł wrócił do gabinetu i zabrał się do dziennika. Z częstemi przestankami, podczas których szukał zapewne słów, zapisywał w nim nowe, niezaaklimatyzowane, świeżo przesadzone z grzedy filozoficznej myśli swoje, szczerze spowiadał się sobie samemu. Potem przesiadł się na otomanę i pogrążył się w zadumie. Panna Malinowska nie przeszkadzała mu. Umiała być cierpliwa, giętką i cichą w potrzebie, nauczyła się czekać. Chodziła na palcach, wysuwała się z pokoju, wracała, zaglądała mu troskliwie w oczy.

— Pawle! nie myśl tak wiele!—szepotała czasami—postarzejesz... Postarzejemy się oboje: ty od myślenia, ja od tego, że parzę na ciebie...

I próbowała, jak dawniej, rozruszać go, rozweselić, rozbawić... Ale on nie zwracał na nią uwagi i, zagłębiając się w zadumie, wpatrywał się w jeden punkt, w jakiś sztych na ścianie, i mogło się zdawać, że bez końca podziwiał i zachwycał się pięknem rzadkiej ryciny. Wówczas przytuliła się do niego i, trzymając mu rękę, mówiła, jak wczoraj cicho, poufnie. Wyznawała znowu grzechy swoje i swoje przywiązanie, skarżyła się, opowiadała, wspominała...

— Krzycz na mnie, wyganiaj mnie—powtarzała—a ja zostanę z tobą... Niema dla mnie miejsca... chyba z mostu do rzeki, albo wyjść na ulicę i z pierwszym lepszym... Ale ja zmachałam się i chcę odpocząć... Był ogień i wypalił się, była młodość i przeszła... Och, życie, życie... Jak co komu wypadnie... Mogłabym sobie być, jak inne: miałabym małżonka i kupę dzieci, roztyłabym w spokoju i enocie... Od dzieciństwa gnębiła mnie nuda, uciekłam,

rzuciłam się w wir, byłam na samym dnie, objechałam wokół jak w karuzelu, plunęłam światu w oczy, dałam cnoście w pysk... I nie żałuję... Zaznałam, zakosztowałam, wypróbowałam wszystkiego—i wiem... Jestem taką, jaką jestem, co wewnątrz, to i na zewnątrz... Nie udawałam, nie kłamałam, nie stroiłam się w żadne pióra... I śmiało patrzę ludziom w twarz, nie potrzebuję wstydić się... Niech oburzają się, niech gorszą się obłudnice—ja nie dbam... Te twoje panie ze świata, które widziałam wczoraj, napewno nie lepsze ode mnie, chociaż robią miny święte... Znam się trochę, poznałam życie... Im kto głośniej krzyczy o cnoście, tem większy z niego paskudnik, i ta ostatnia z ulicy więcej warta od hrabiny w sobolach, która nie opuszcza mszy... Gdybym spotkała choć jednego człowieka porządnego całą gębą, możebym i sama starała się być lepszą... A tak nie warto, doprawdy nie warto... Żyjemy, jak komu wygodniej... Ty, Pawle, ze wszystkich najbardziej doskonały, i dlatego chcę przy tobie ustatkować się—gadała z poufałą swadą.

— Ile masz lat? — niespodzianie spytał Paweł.

— Ile mam lat? tyle ile przeżyłam... nie liczę wiosen—odparła trochę zdumiona.

— Szybko mijają lata, ani się obejrzyysz, i starość za progiem. Posiwieją włosy, zwiędnie piękno, umrzesz—mówił dziwnie. I przeniósł na nią badawcze, taksujące spojrzenie.

— Umrzesz—powtórzył dobitnie—i złożą twoje ciało do trumny, zaniosą, zakopią. Myślałaś kiedy?..

Przypomniało się jej, że ona tak samo lubiła straszyć bankiera i wzięła to za żart.

— Umrzesz—przedrzeźniała go—i złożą ciało twoje do trumny, zaniosą, zakopią.

— Wiem o tem—poważnie rzekł Paweł.

Zamyślił się i znowu zapomniał o jej istnieniu, stracił ją z oczu, z uwagi. Panna Malinowska przemawiała do niego dalej, niezrażona, potem zaczęła go nudzić, by zaprowadził ją na obiad.

— Chodźmy—nalegała niecierpliwie, tarmosząc mu rękaw—głodna jestem, może gdzieś coś się znajdzie... w domu wszystko zjedzone.

W pewnej chwili podniósł na nią obojętne spojrzenie i rzekł:

— Słuchaj... Mówiłem już wczoraj, że nie będzie już nic, że skończone... Wziąłem ciebie dla piękna, dla rozkoszy—tłumaczył potem wolno—chciałem mieć szczęście, chciałem upić się rozkoszą... zdawało mi się—a przekonałem się...



Przyglądał się jej badawczo niby jakiemuś sprzętowi, który wystawiony jest na sprzedaż, który, widziany zbliska, przestał podobać się... Wyniosła obojętność i znudzenie były w jego oczach...

— Nie możesz mi dać takiego szczęścia, żebym zapomniał... Nie potrafiłaś zapełnić moich dni, nie potrafiłaś zgasić moich myśli... Znowu szukam i żądam... I szkoda mi tych miesięcy... Oszukał mnie pozór — urwał.

Panna Malinowska rozważała coś przez chwilę. Zrozumiała z głosu, którym przemawiał, ze spojrzeń, z grymasu znudzenia, że wszystko jest stracone.

— Chcesz tak... dobrze... — odparła równie spokojnie.

I wstała. Postąpiwszy parę kroków, odwróciła się i, wzięwszy się pod boki, patrzyła się w niego:

— A wiesz, ty — syknęła — że czasy są dla was, dla takich jak ty, dla bogatych niedobre... Niedobre dla hrabiczów, dla krzywdzicieli, dla zdzierców... Trochę ty za bogaty, trochę ty masz za wiele... Zawiśniesz na latareńce, mój jasny panie, zakołysziesz się kochanku...

Przeistoczyła się. Była złowrogą, była taką jak dawniej, gdy pastwiła się nad bankierem Żynirskim.

— Pójdę. Ale my zobaczymy się jeszcze, może i tu, w tych pięknych pokojach, gdzie jasnie pan hrabia spędza czas na rozmyślaniach... zjawi się wesoła kompanijka, zabawimy się...

— Idź że już — sarknął Paweł.

— I pożałujesz... Będziesz ty mnie prosił o litość, do mojej łaski będziesz się zalecał... Przekonasz się, kto dziś ma siłę. Nauczę cię, że, chociaż ty bogaty, z kobietą nie wolno jak z gałganem, że i ja człowiek, że są mściciele... Niema ze mną żartów...

Groziła mu jeszcze, mimo, że on nie słuchał, nie dbał o nią i strachu nie okazywał... Wreszcie poszła...

A Paweł, któremu dokuczyła jej ordynarna mowa, przekreślił klucz w zamku, żeby nie mogła powrócić... Chciał być sam, miał bowiem niełatwe zadanie do odrobienia, miał osobistą sprawę do załatwienia, musiał rozmówić się z sobą, przetrząsnąć niezwykły oddawna dom wewnętrzny. I przedstawiała mu się pewna trudność...

Gdy po skończonej eksportacji, chcąc pozbyć się panny Malinowskiej, udał się do kościoła i usiadł w ławie nieopodal katefalku, stało się z nim coś dziwnego. W świątyni gaszono światła; przez chwilę rozlegało się grubiańskie echo stapań służby, potem ucichło wszystko. Uczynił się mrok w pustych nawach. Tylko gdzieś przed bocznym ołtarzem paliła się lampa, niecąc

słaby blask, który był niby wyraz, powtarzany szeptem, wyraz niedomówiony... I przyszedł na Pawła jakoby sen... Nawiedziło go uczucie niewysłowione, złożone ze zgrozy i ze zdumienia, uczucie, które może jest stanem duszy, opuszczającej ciało. Jak gdyby wichur zdmuchnął naraz wygodny, własny dom, do którego przywykł, w którym przebywał—i oto otoczyły go noc i pustka... Stał na jakiejś drodze, która biegła w dal nieskończoną, szedł, oddalając się od czegoś, czego było mu żal... samotność, bezkres pustki wije się przed oczami owa droga, jak wyrok... posuwa się pielgrzym, straszną jest samotność... To znowu zdało mu się, że trzyma w ręku bryłę, że bryła pęcznieje, nabrzmięwa, rozrasta się, staje się ogromną i tłoczy go i chciałby odrzucić ją precz i nie może... I zdawało mu się, że zawisł nad przepaścią, uczepiony do wahadła, że kołysze się wahadło i wymyka mu się z rąk za każdym rozmachem coraz bardziej, coraz bardziej... Widział skałę niezmierną, a w skale szczelinę, z której sączyły się krople i spływały po ścianie granitu, lśniły chwilę, spadały kędyś... Dotknął palcem rzeczy jakiejś, jakiegoś szczególnie dobrze znanego mu przedmiotu, i rozsypał się ów przedmiot w próchno, i ogarnęło go przerażenie, bo tym przedmiotem było życie jego... I zdało mu się, że on już przestał żyć tantem, wiadomem mu, bezpiecznem, ujętem w wyraźne formy życiem, że to jest bytowanie duszy, która radaby wrócić do dawnego ciała, między ludzi, do dawnych myśli i dawnej niewiedzy, do przerwanego snu, że za grubymi murami kościoła żywi ludzie chodzą, jeżdżą, krzątają się wesoło kończąc ten dzień, a on zostanie tu w mroku z duszą swoją, z ciałem, które złożono do trumny...

Jak obłąkany trwogą rzucił się do drzwi, które były zamknięte, kołatał napróżno, wołał, przebiegał nawy...

Potem, wydostawszy się przez zakrystyę, długo chodził po mieście. Cieszył go widok domów, drzew, chmury, światła w oknach, żołnierzy, ale w uczuciu radości mieścił się jak gdyby zawód. Tak człowiek nieraz wyciąga rękę po ulubioną potrawę, a zakosztowawszy, przekonywa się, iż przestała mu smakować...

Nie śpieszył do domu. Przed godziną z okropnego obrazu śmierci, w rozkładających się zwłokach żony wyczytał był szczęśliwy, wypływający z przeciwstawienia pownik, że on żyje, że może wrócić do swego mieszkania, do swojej lampy i książki, że zbudzi się jutro, pojutrze, że kupi sobie bilet, gdy ruszą pociągi, i pojedzie, kędy zechce — to żywe szczęście zwiędło... Przez duszę płynął mu chłodny powiew, jak gdyby otwarły się w niej drzwi, któremi ktoś miał wejść, a nie ukazywał się dotąd. W pa-

mięci zostało przerażenie owego przebywania w pustej świątyni i snu, w którym obcował ze śmiercią, w którym palcem niby Tomasz przekonał się o niechybnej prawdzie... Czemże była radość powrotu do życia, jeżeli kiedyś, za rok, za parę lat — szybko po ścianie granitu ściekają krople — i on, i jego także zabierze trumna, jakiś wóz, jakiś dół... Chwieje się nad otchłanią wahadło i wymyka mu się z rąk za każdym rozmachem coraz bardziej, coraz bardziej... Wyśliźnie się wreszcie — a wówczas...

Na gładkiej drodze, po której toczyło się życie jego, utworzyła się przepastna wyrwa — i życie musiało zatrzymać się. A on chciałby puścić je w zwykły ruch, tylko że dawny klucz nie pasował. Oglądał się tedy za nowym, za odpowiednim... Próbował wyrwę zasypać piaskiem myśli, które dawniej nazywał doniosłościami, próbował dom, który wyrócił mu wicher, zbudować na nowo, żeby mógł mieszkać jak wszyscy. Noc zeszła na pracy, a klucza nie znalazł i w ścianie domostwa, skleconej na prędcie, w tak zwanej ścianie kapitałnej, zostawał otwór, luka. Postanowił zasięgnąć rady u innych, zadawał Śniałowskiemu pytania, te same pytania stawiał sobie w dzienniku... Poczynił mnóstwo odkryć, wydobył wiele nowych wniosków, nabierał dowodów, brakowało jedynie krótkiej, dokładnej odpowiedzi, najważniejszego słowa. A przypuszczał, że skoro istnieje śmierć, istnieje i jakieś słowo zaklęcia, jakiś talizman, dzięki któremu ludzie przemogli grozę, rozumiał, że ludzie, którzy szli za trumną, których spotykał wczoraj, którzy obudzili się dziś rano i snują się po mieście, że wszyscy ci weseli, spokojni, pewni siebie ludzie oddawna rozwiązali przerażającą zagadkę, nad którą on łamie sobie głowę, oddawna posiadli wiedzę, którą on napróżno usiłuje uchwycić. I dziwił się sobie, że nie potknął się wcześniej o kamień obrazu, że pomijał, nie dostrzegał najbardziej realnego zjawiska, że nie utworzyli mu oczu inni. Dokładny, logiczny i prosty jego umysł nie godził się z domniemaniem, żeby życie i śmierć stanowiły dwie wrogie i przeczące sobie siły, żeby między życiem a śmiercią nie było mostu połączenia, związku i harmonii, bez czego bezmyślnem i beznadziejnem stawało się istnienie, nie uznawał mroku tajemnicy, odrzucał sprzeczności. Dlatego strach śmierci ustąpił w nim miejsce żądzы dowiedzenia się, poznania, zbadania, i był spokojny jak człowiek w podróży, który nie zna miejscowości ale pewny jest, iż droga prowadzi do celu. Z poglądu na świat, naiwnego a może głębokiego, wypływało to pocieszające przeświadczenie... Przez długie lata chodził po ziemi, nie myśląc o śmierci, jak gdyby jej nie było, ale skoro raz zajrzał w jej okropne oblicze, gdy uka-

zała mu się straszliwa prawda, iż pewnego dnia, o pewnej godzinie on, Paweł Naborowski stanie się rzeczą cuchnącą, którą ludzie złożą na jakimś wzniesieniu, otoczonem świecami i zielenią, zamkną w trumnie, zawiozą do kościoła na długą, czarną, przeraźliwą noc, zsuną do jamy i zakopią—nie mógł już tego odkrycia niedbale czy lekkomyślnie wypuścić z rąk, nie mógł zapomnieć, zbyć byle czem... Ponieważ ogromną, okrutną i złowrogą jest prawda śmierci, musi kędyś być — rozumował—jakaś moc, równa tamtej, moc zwycięska, niepożyta i niepochybna, która albo wyrasta ze śmiercią, albo trwa niezależnie i staje do walki, kruszy, unicestwia wrogą siłę. Narody, stromnictwa, ciała zbiorowe nie umierają, uniera jednostka, więc i moc ona, wyższa nad śmierć mieszka w człowieku, w Pawle Naborowskim, w Malinowskiej, w grabarzu, który, grzebiąc innych, wie i przewiduje, że i on spocznie kiedyś w ziemi.

— Wyobraźmy sobie—myślał dalej i pisał w dzienniku—niezmierną przepaść, nad którą czyjaś wola przerzuciła cienki pomost. Przeprowadzam się w tłumie. Wątle deski trzeszczą i uginają się pod stopami, i coraz to któryś z towarzyszków podróży zapada się w otchłań. Nie podlega wątpliwości, iż wszystkich czeka ten sam los. Mimo to ludzie nie przestają płaszać, weselić się albo spierać się o to, na jaki kolor mają być pomalowane deski pomostu. Należy przypuścić, że czarna głębia nie jest przepaścią i że upadek nie jest strasznym...

Wyobraźmy sobie — powtarzał bezwiednie porównanie wielkiego myśliciela—garstkę ludzi, zakutyh w kajdany i skazanych na śmierć, z których codziennie kilku oprawca morduje w obecności pozostałych, ażeby ci poznali przeznaczenie swoje...

Wyobraźmy sobie wyspę wśród morza, do której każdego dnia przybija łódź, by zabierać po kolei mieszkańców wyspy i odpływać z niemi w dal...

A mimo to na owej wyspie, wśród skazanych, wśród świadomych nieuniknionego, rychłego odjazdu toczy się radosne i pracowite życie. Powstają miasta, roją się ulice, wre roboty, rozkwita miłość, tworzą się partye, wychodzą gazety, zapełnione opisem jakichś zdarzeń, szeleszczą stronicę czytanych książek, wybuchają walki, są króle i dostojnicy, jest jakaś sława, są wielcy i mali, jest jakieś szczęście, błyszczy góry złota, które nazwano skarbem, które jedni wydzierają drugim... Jak gdyby śmierci nie było! Nigdzie wzmianki o niej, nigdzie bojaźni! Jest mnóstwo nauk, i każde zjawisko ma swoje miejsce w nauce, tylko o śmierci nie mówią książki, partye, rozprawy. Za wspólną zgodą weszło w siłę

prawo tego dziwnego milczenia... Utała się nawet gawęda o wiecznym życiu i wiekuistym pięknie życia, o potędze człowieka, rozpowszechniło się twierdzenie, przy każdej okazji do znudzenia powtarzane w gazetach, że nieśmiertelną jest ludzkość, nieśmiertelnym—naród, nieśmiertelnymi—postęp, idea, dobro, prawda, piękno... Gdzież potęga człowieka, który umiera, gdzie i w czym ona wieczność życia, które w jakąś środę, w październiku czy listopadzie urywa się na zawsze, jaka dla Pawła, który gnije w ziemi, wynika pociecha stąd, że narody rozwijają się, że postęp rozszerza się, że dobro i prawda trwają?... — pytał.

I odrzucając przypuszczenie, które wydawało mu się zbyt niedorzecznym, przypuszczenie, by ludzie, ogół ludzi od początku czasów lekkomyślnie pomijał zagadnienie śmierci i mógł obywać się bez odpowiedzi i bezmyślnie z wesołym sercem pędził znikomy żywot, dochodził z niezachwianą pewnością do słusznego wniosku, że odpowiedź istnieje niezawodnie, że każdy ją zna i że dlatego niema jej w książkach i na ustach u wszystkich, iż tajemnicze słowo zbyt dobrze jest wiadomem, zbyt jest łatwem i dostępnem... A w takim razie dlaczego on jeden wyłączony jest z grona wiedzących, czemu on jeden znaleźć nie może klucza, który chodzi z rąk do rąk, który leży zapewne na dnie każdej kieszeni?... — pytał z niepokojem.

Depcąc wolnymi krokami suty dywan, którym wysłany był gabinet, wspominał koleje myśli swojej, różnorodne fazy, okresy, przemiany, przez które przechodził. Był postępowcem z wojenniczego pułku tak zwanych pozytywistów, popasywał w obozie zachowawczym, przeniósł się na mieszkanie do partji skrajnej... W każdej epoce życia wyznawał jakiś program, a z programem w rękę, na podstawie programu rozwiązywał wszelkie kwestye. Nie znał wątplenia, chwiejności, zawiłych a bezskutecznych dociekań. Niby korespondencya w biurze, wybornie obsłużonem, wszystkie sprawy leżały w głowie jego załatwione: sprawy społeczne i narodowe, nędza ludu wiejskiego, emigracya do Ameryki, prostytutcyca, reforma wyborcza, podatek dochodowy... Jak doświadczony doktor miał na każde niedomaganie odpowiedni środek leczniczy i nawet lubił oddawać się doniosłemu zajęciu, które polega na pisaniu recept dla narodu, dla społeczeństwa, dla rządu, dla ludzkości... Pogardzał ludźmi o umysłach sceptycznych, którzy uśmiechają się z niedowierzaniem, a także temi, którzy komplikują, dramatyzują życie i, tworząc trudności, załamują w rozpacz ręce. Widział wszędzie drogi proste, równe i wyraźne, szedł drogą prostą, równą i wyraźną, a gdy na drodze stanęła

przed nim śmierć, której nie dostrzegał przedtem, zaczął domagać się prostej i wyraźnej odpowiedzi... Jeśli załatwione były wszystkie kwestye, dlaczegóżby ta jedna, najważniejsza, wobec której tamte zakrawały na igraszkę, zwaną pospolicie przelewaniem z pustego w próżne, miałyby daremnie nękać mu duszę? — zapytywał siebie znowu.

Ale odpowiedzi nie było. Mijały godziny, mijały myśli, które krążyły wciąż dokoła jednego punktu, dokoła wyrwy, dokoła otworu w kapitalnej ścianie, ogarniało go zmęczenie... Usiadł, wpatrywał się uporczywie w sztychy jak wówczas, gdy trzepała mu nad uchem panna Malinowska, zwrócił się ku przeszłości, znużony zanurzył się w jej spokojną bo martwą toń. Nasunęło się wspomnienie przełomowego dnia i przełomowej rozmowy, która toczyła się w tym pokoju o Bogu, o dogmacie szczęścia i radośnem objawieniu ludzi silnych, wspomnienie sporu ze Śniałowskim, odległe wspomnienie krótkiego obcowania z hrabią Tobiaszem... Nauczali go ci ludzie, każdy inaczej, on zgadzał się albo zaprzeczał...

Przeciwko Bogu, którego niema, padały słowa tego, który śpiewał pieśń chwały życiu, szczęściu, mocy człowieczej... Gdzież one, chwała życia, szczęście, moc człowieka?

O Bogu, o ziarnie pszenicznem, które obumiera, mówił tamten. I szczęście ziemskie deptał w namiętnym sporze trzeci... Któryż z nich ma słuszość, w czyichże ręku jest klucz?

Dreszcz trwogi przenikał go, gdy zuchwały wódz twierdził, że Boga niema, i szukał znaku na niebie, dowodu, jawnego zaprzeczenia... Nie znalazł. I żył, gospodarując w domostwie życia swego jak syn, który pewny jest, że ojciec nie żyje... A każdej chwili może zjawić się ktoś, może wysłany od ojca, i wyrzucić go z domu życia... Powiadają, że śmierć zabiera, że ludzie idą do Boga, który jest panem życia... Tymczasem Boga niema...

Snuty się leniwe myśli, które znużone niby ptaki od długiego lotu nad morzem nie mogły wzbic się na odpowiednią tematowi wysokość. Ustała trzeźwa, dokładna i celowa praca wewnętrzna. Wspominając, biernie powtarzał cudze zdania, obojętnie stwierdzał ich sprzeczność i rozbieżność, obojętnie przyglądał się rozmaitym wierzeniom. I radby był móżdż na razie zapomnieć, zamknąć oczy, odsunąć grozę... Nie było to łatwem. Sprawy życia, rewolucya, wystąpienia partyi, zachowanie się rządu, „intrygi narodowców“ przestały go zajmować, z tej prostej przyczyny, iż on w danej chwili stracił wszelki dla siebie samego interes. Ambicyą nazywał się ów klucz, którym nakręcał mechanizm swego

życia, i klucz ambicyi nie działał.. Nie obchodziły go już powodzenie albo niepowodzenie, opinie o nim przywódców, rola, którą grał, przyszłość... Wycofał się nagle z obiegu, stanął na uboczu, zdjęty gminnie przezwaną, gminną ale ważniejszą niż wszelkie idee i abstrakcyje troską o własną skórę... Przywykł był pisać i mówić, mówił wielu ludziom, w rozmaitych okolicznościach o swojej niestrudzonej służbie ideałom, o mocniejszym nadewszystko ukochaniu wielkich hasel świata — mógłby go ktoś zapytać teraz, gdzie się podziały i owa służba i ukochanie?... Przewrót, który dokonywał się w nim, uczynił go chłodnym i jakby samolubnie zamkniętym w sobie, głuchym na dźwięk drogich mu dawniej słów, i, wyleczywszy z miłości własnej (być może na krótko), uczynił także prostym w stosunku do ludzi. Zjawiska i ludzie ukazali mu się w innem oświeceniu, w rzeczywistych rozmiarach i przeprowadził linię odgraniczającą między tem, co było naprawdę ważnem, a tem co stało na dalszym planie. Do pierwszej kategorii zaliczył jednostkę, to jest siebie, Pawła Naborowskiego, własne życie i śmierć, do drugiej—resztę, martwe abstrakcyje, martwe idee, a zrobiwszy podział, zaplątał się jeszcze bardziej... Bo jeśli ważnem było istnienie Pawła Naborowskiego, dlaczego stracił dla siebie wszelki interes? I dlaczego mimo śmierci, może z powodu śmierci, realnej wartości nabierało tylko życie jednostki?

Błądził wciąż poomacku, potykał się o przeszkody, wikłał się w gęstwie i nie widział wyjścia. Przychodziło mu na myśl, żeby udać się do kogoś, wyznać wątplenie, bojaźń, udręczenie, zapożyczyć wiedzy, spróbować cudzego klucza... Śniałowski zawiódł go, Śniałowski zbywał go ogólnikami, ale może są tacy, którzy posiadają pewność... Z prostotą zwróci się do każdego, który zechce odstąpić mu tajemnicę—wyzbył się wstydu i pychy... zaczepi na ulicy pierwszego przechodnia, zapyta księdza, który codziennie od roku dzwoniłami wysokich, posępnych wież powtarza mu jakieś doniosłe słowo... Zatrzymał uwagę kolejno na rozmaitych znajomych swoich i wstał, żeby pójść do hrabiego Tobiasza... Ale w tej chwili lokaj zameldował mu Obrońskiego. Należało przyjąć rzadkiego gościa.

— Nie spodziewałem się zastać pana!—przywitał go Obroński.

— Dlaczego?

— Myślałem, że pan wciąż działa, że pan na ulicy. Są to przecież dnie żniwa dla pana...

— Hm—mruknął Paweł, nie bardzo rozumiejąc o co chodzi.

I popadł w zamyślenie. Usiadł przy biurku, przewracał karty dziennika, szukał czegoś, jak gdyby był sam.

— Przypomina pan sobie—rzekł, ożywiając się nagle—w tym samym pokoju przed rokiem mieliśmy przeprawę z powodu żony mojej.

To wspomnienie było albo niestychanie cyniczne albo naiwne. Obroński drgnął.

— A dziś niema jej! — dokończył Paweł.

Obaj mimowoli spojrzeli ku fotografii zmarłej. Uśmiechnięta twarz, balowa szata stanowiły dziwny komentarz do żałobnej wzmianki męża. Obroński z odrazą odtrącił bezwstydnego wspomnienia, które wynurzyły się w nim na widok tych ramion obnażonych, spuścił oczy, podniósł wzrok ku sztychom, które podziwiał, które zamierzał kupić...

— Jak długo to potrwa? — spytał potem.

— Co, proszę pana?

— No, panie, to, co jest... wszechwładztwo ludu, wyzwolenie, narodziny wolności, czerwona jutrznia, zamęt, bezmyślność, utopia...

— Nie wiem—obojętnie odparł Paweł, i znowu pochylił się nad dziennikiem, znowu szukał...

Obroński patrzył w niego uważnie.

— Pan konspiracyjnie milczy... chwali się to panu... chcieliście wmówić w nas, że wy jesteście panami położenia, że stoicie u steru, że za naciśnięciem sprężyny wstrzymujecie albo dajecie hasło... Uchylam przed wami czoła... Rozumny, celowy, mądrze pokierowany przewrót, władza oddana w żelazne ręce genialnej jednostki—owszem, zgoda. Ale tak nie jest, nie wierzę...

Znowu patrzył w Pawła.

— Nastaje powódź — wolno mówił dalej — pies zerwał się z łańcucha, rozpętaliście groźną siłę, rzuciliście iskrę do lochu z prochem, jesteście naiwni albo obłudni—padały urągliwe słowa.

Deklamują tu teraz powszechnie dytyramby na cześć ludu, który stał się przez jedną noc i świętym i męczeńskim i czystym, i mądrym i wielkim... Tłum ma tu rządzić, czyli lud, czyli cham... Cham wywyższony, namaszczony na bohatera... Pokaże wam ten cham swoją świętość, zakpi z was w żywe oczy...

Jesteście bezgranicznie naiwni albo bezgranicznie obłudni—powtórzył z naciskiem, dziwiąc się spokojowi Pawła. Wierzano w dziejach w rozmaite głupstwa. Wiek XVIII, najgłupszy, najbardziej płytki i gminny ze stuleci, plótł o pierwotnej dobroci człowieka, o powrocie do natury, o doskonałości rozumu; teraz



wy stworzyliście sobie bożka z ludu. Ponieważ tłum „skompromitował się“ zanadto, puściliście w obieg inną, bardziej szlachetną nazwę... Wygląda na to, żeście zaczadzili wszyscy w zaduchu izby, w której mieszka ten wasz lud, jeśli tu niema przewrotności... Wszystkie rewolucye wynikają z głupoty i przewrotności...

Niech pan im powie — podniósł głos — temu ludowi i obłudnikom, którzy mu kadzą, że my nie myślimy składać broni. Do ostatka walczyć będziemy o prawdę, o ideały... Pan zaśmieje się ze mnie. Ale tak jest. My, burżuje, wsteczniczy, zjadacze chleba, cieniecy, my stajemy na straży ideałów, my nie dopuścimy, żeby dostały się w ręce chamstwa, hołoty, gawiedzi...

Paweł zwiesił głowę i apatycznie słuchał namiętnej mowy, która wydawała mu się próżną i sztuczną.

— Czemu pan milczy? — z rozdrażnieniem zaczął go Obroński — niech pan odpiera, niech pan zbija...

— Nie myślałem nad tem — spokojnie odparł Paweł.

— Pan nie myślał, właśnie tylko nad tem — podchwycił Obroński. — Zresztą wszystko jest przesądzone i ułożone. I podział dóbr i federacya i czteroprzymiotnikowe, czyli czterowadliwe głosowanie i obieralność prezydenta, co trzy lata za pomocą plebiscytu i wolna gmina. Drewniany koń teoryi kuty jest na cztery nogi, baczcie tylko, by z niego, nie wyskoczyła apokaliptyczna bestya...

— Panie, ja nie wiem nic i to wszystko nie obchodzi mnie zupełnie — dobrodusznie przerwał Paweł.

Obroński umilkł, zdumiony niegrzecznem, lekceważącym, co najmniej dziwnem zachowaniem się gospodarza, którego on zamierzał traktować z lekceważeniem, jak warchoła. Zapalił papierosa i palił, rzucając od czasu do czasu spojrzenie w stronę Pawła.

— Przebakują na mieście, że strajk zwycięża — odezwał się — że mają zająć poważne zmiany... Nie pojmuję, jak może ustąpić rząd... Ja bym odpowiedział armatami...

— Tak — mruknął Paweł.

— Nie poznaję pana... pan działał, a teraz...

— Wytłómaczę to panu...

I począł szykować myśli, żeby przedstawić Obrońskiemu całą rzeczywistość. Ale Obroński zabrał głos znowu:

— Co prawda, to i ja nie przyszedłem do pana dla rozpraw politycznych, ale z interesem...

Zatrzymał się na chwilę, jakgdyby ociągał się, i mówił dalej, powoli, z przestankami, niechętnie, rzekłbyś zmuszony, z pewnym zmieszaniem:

— Pana może zdziwi, że poruszę delikatną materję. Nie jest moim zwyczajem wtrącać się w cudze sprawy. Występuję tu niekoniecznie w swoim imieniu, spełniam polecenie...

Jakie są stosunki pana z rodziną żony? — spytał.

— Moje stosunki?... Dalekie, prawie zerwane...

— Właśnie przypuszczałem, że tak jest. Pan nie wie zapewne, że interesa tej rodziny są w obecnej chwili złe, możliwie najgorsze. Kamieniecki stracił dużo na Żymirskim, teraz strajki dobiły go. Podobno w lecie spalono mu majątek...

Nad Hilarym Kamienieckim nie wylewałbym może łez, chociaż nie podzielam opinii o nim wrogów jego, którzy go oczernili, ale matki jest szkoda, teściowej pana, panny Maryńci.

— Maryńcię lubię bardzo — przerwał Paweł.

— I należy coś obmyślić. Nie wiem dokładnie, sędzę jednak, że z całej masy dałyby się zapewne uratować Kamieńczyce, w których te panie znalazłyby przytułek... Potrzebne są ofiary...

— Ja osobiście — ciszej, patrząc w ziemię dodał Obroński — gotów jestem służyć pewną sumą, pan zapewne także nie odmówi, może i inni... Trzeba działać za plecami Kamienieckiego, który jest aferzystą i łudzi się, księżna wtajemniczy te panie...

— Załatwimy wszystko — zauważył Paweł takim tonem, jakgdyby chciał postawić kropkę.

— Więc pan bierze to na siebie? — z niedowierzaniem spytał tamten.

— Tak...

Obroński spojrział na zegarek.

— Księżna przyjmuje jeszcze... Moznaby zaraz...

Chwilę patrzył na Pawła badawczo, jak gdyby nie ufał.

— Zaznaczę tylko, że ja nie gram i nie chcę tu grać żadnej roli... Pan weźmie całą sprawę na siebie, a udział mój, moja pomoc zostanie między mną a panem — rzekł, dobitnie podkreślając wyrazy.

— Żeby prawica nie wiedziała...

— Może... Ale to nie należy do rzeczy — mruknął opryskliwie.

I wstał, chcąc pożegnać Pawła, który go znudził. Kupno sztuchów odkładał do innej okazji...

— Proszę pana — zatrzymał Paweł — pomówmy jeszcze... Mam zapytanie... Pan interesuje się polityką, rewolucją, partya-mi, pan wygłaszał te energiczne poglądy... Usunął pan tedy śmierć...

W chłodnych oczach Obrońskiego odbił się uśmiech.

— Nie rozumiem pana—powiedział głosem, którym się przemawia do człowieka, który plecie głupstwa.

— Zapytuję, czy pan uwzględnił śmierć, czy pan bierze ją w rachubę, czy pan nie pomija jej... Bo ludzie mówią zwykle o życiu, o potędze ludzkiej, o postępie, jakgdyby śmierci nie było — starał się jasno wytłómaczyć swoją myśl Paweł.

— Pan zna słynny sylogizm: ludzie są śmiertelni, Kajus jest człowiekiem, Kajus jest śmiertelny.

— Niech pan zamiast Kajus, powie: Obroński, Gustaw Obroński.

— Ewentualnie: Paweł Naborowski, właściciel przepięknych sztychów — żartował wciąż Obroński

— Tak, o Pawła Naborowskiego, o Obrońskiego, o jednostkę mi chodzi... Narody, stronnictwa, idee, nauki, postęp, może i trwają wiecznie, ale człowiek umiera napewno... Przychodzi godzina, która jest ostatnią... Człowieka, który żył, był, działał, w którego wmawiano potęgę, zasypuje grabarz piaskiem — i powrotu niema... Za kilkadziesiąt lat nie będzie ani pana, ani mnie, umrzemy obaj, panie...

— Wiedziałem oddawna...

— Pan bagatelizuje—bez gniewu wtrącił Paweł— a ja bym chciał właśnie poważnie... Dziwi mnie, że ludzie zbywają zwykle śmierć byle czem, pierwszym lepszym dowcipem, a życie traktują solennie... Powinnoby chyba być odwrotnie, bo życie tak się ma do śmierci, jak chwila do stulecia... Życiem zajmują się nauki, gazety, partye, o życiu mówią wszyscy, powstały całe poematy, są wesołe teorie... O śmierci zaś nie wolno wspominać... I z tego, który odezwie się, śmieją się, tak, jak pan ze mnie w tej chwili.

— Nie śmieję się, panie...

Obroński spoważniał. Rozmowa zaczynała go zaciekawiać. W słowach Pawła, które plątały się i nie docierały do jądra kwestyi zdarzały się akcenta niewymownej i naiwnej szczerości.

— Niech pan mi wytłómaczy, dlaczego tak jest, niech pan to wyjaśni... Ja sam przez długie lata miałem jakgdyby opaskę na oczach i płótnem o nieśmiertelnym człowieku zbiorowym, o postępie, o nieśmiertelności w czynach, o wiekuistych ideach. Obracałem się w kole martwych abstrakcyj, żyłem życiem sztucznym, mieszkalem nie we własnym domu, ale w społecznym hotelu... Dopiero trumna przekonała mnie, że rzeczywistość jest gdzieś indziej, że należało zacząć od czego innego... Nie odrzucam po-

stępu i wielkich hasła, które brzmią na wszystkich ulicach, ale ostatecznie, jeśli śmierć ma kończyć wszystko...

Skierował na Obrońskiego wzrok, którym zapytywał, którym sondował.

— Nie myślę wszakże, żeby tak było — mówił dalej — i nie strach śmierci przemawia ze mnie... Przyglądałem się wczoraj po pogrzebie i dziś od rana życiu... Mam w oczach dokładny obraz życia. Ludzie budują, trują się, tworzą, dociekają, dążą, kochają, walczą, mordują, ludzie kochają życie, ludzie weseli są, spokojni, niefrasobliwi, a przecież każdy wie, że śmierć czyha... Wiedzą o tem wszyscy i przechodzą do porządku, do swoich zajęć, do swoich sporów, do swoich myśli... Jan wraca z cmentarza, gdzie pochował Kazimierza, i zabiera się do książki, zamyka się w redakcyi, przyjmuje chorych, udaje się na schadzka... Podśluchałem rozmowę dwu pań, idących za konduktem, rozmowę o pobycie na Riwierze... Zauważyłem, że ksiądz, który odmawiał modlitwę nad zwłokami, tłumił poziewanie... Śmierć nie przeraża i nie dziwi nikogo... Nasuwa mi się wniosek, że załatwiono w jakiś sposób tę sprawę niezwykłą i bądź co bądź przerażającą, że rozwiązano doniosłe zagadnienie, że istnieje odpowiedź, wiadoma wszystkim, prócz mnie... I pan żartował, gdym zaczął, i pan wie... Otóż ja, nie wstydząc się niewiedzy, zapytuję pana...

I czekał na odpowiedź.

— Rozumiem, a jednocześnie nie zupełnie rozumiem pana — zaczął Obroński. — Ogromna, chociaż, że tak powiem, naiwna prawda zawiera się w słowach pana, ale ja nie mogę zdać sobie sprawy, o co panu mianowicie chodzi. Pan potępia i moralizuje, jak ktoś, który posiada dogmat, i okazuje pan zarazem wątpliwość... Domaga się pan odpowiedzi, przesądzając z góry, że taka odpowiedź istnieje... *petitio principii*.

— Wnioskuje logicznie.

— Być może, ale życie ludzkie niekoniecznie jest logiczne. Ludzie są lekkomyślni, ludzie są bezmyślni, siedem ósmych świata... Nie potrzebuję chyba dowodzić... Dla przeważnej przeto części mieszkańców ziemi śmierć jest nudnym dopiskiem, podrzędnym odsyłaczem w zajmującej książce życia... Któż z nas, panie, skrupulatnie wertuje stronicę... Przebiega się wiersze oczami... A reszta, bardzo nieliczna, zdobywa się na jaką taką filozofię. Są marzący panteiści, są hedoniści, utylitaryści, pozytywiści, stoicy, są różne gatunki, różne potrawy, przyprawy, sosy... Nie będę wyliczał pedantycznie, pan obznajomiony jest, pan wy-

drwił abstrakcyę... Snują się ludziska dokoła wieży Babel życia, każdy tłómaczy po swojemu, zaduszają się bliźni nasi, jedni nauką, inni sztuką, inni rozkoszą, zagłuszają wrodzoną sercu człowieczemu trwogę śmierci gorączką czynów, sporami, hucznemi słowy o ludzie, o narodzie, o tradycjach, brzękiem złota, pieśnią miłości... Jak kto może i umie... I dlatego, proszę pana, ludzie nie mówią o śmierci, że boją się jej bardzo, boją się całym jestestwem... Nie przyszła panu do głowy ta zwyczajna uwaga... A zadusza się i pan, zaduszamy się obaj... Niema innej rady... Perspektywa trumny, grobu, nocy, nie należy do najmilszych... Starajmy się zapomnieć... — żartobliwie wykiadał Obroński.

— Pan nie daje odpowiedzi na moje pytanie — z pewnem rozdrażnieniem wtrącił Paweł.

Obroński uśmiechnął się.

— Nie wiem, czego pan żąda—odparł w tym samym powierchownym tonie. — Nie mogęż ja, panie, człowiek taki sam, jak pan, zniszczyć śmierci... Gdybym twierdził, że jej niema, pan nie uwierzyłby... Umrzemy kiedyś obaj, tymczasem, dopóki można, żyjmy. Pan ma ładne mieszkanie, dużo pieniędzy, względną młodość, zajęcie, partycę, w której pana cenią zapewne, rewolucyę, która bawi pana...

— Nie żartowałem, gdym mówił—pośepnie zauważył Paweł.

— Nie żartuję przecież... Zresztą, ponieważ pan domaga się odpowiedzi, odpowiedź prosta i wyraźna, bardzo dokładna zawiera się w katechizmie.

— W katechizmie — niechętnie powtórzył Paweł.

— Tak. Pan czytał i pamięta... Że Bóg jest sędzią, że dusza jest nieśmiertelną, że druga osoba Trójcy świętej... To jest jedyne rozwiązanie sprawy, która pana zajmuje... Katechizm twierdzi z pewnością, katechizm naucza i wie... Po za tem, my ludzie... Niech pan nie pyta nas...

Paweł podniósł spojrzenie i badał Obrońskiego, nie mogąc z głosu wyrozumieć, czy on szydzi w dalszym ciągu. I twarz nie dawała żadnego świadectwa.

— A pan sam czy wierzy w to wszystko? — spytał.

Jakiś cień przemknął przez oblicze Obrońskiego. Wahał się chwilę, spuścił oczy.

— Wierzę — odparł stanowczo.

— Że jest Bóg, że my idziemy do Boga, że dusza nasza... — pytał Paweł.

Obroński milczał. Zdjął z biurka szkaradny secesyjny lich-tarz, i przyglądał się uśmiechniętej głowie o rozwianych włosach.

— W gabinecie obok cudnego dywana, obok tych sztychów... takie ohydly! — rzekł banalnie, jak gdyby przed chwilą nie padły mu z ust doniosłe słowa.

Była chwila ciszy. Paweł zgłębiał zdobyte na gościu wyznanie.

— Pan twierdzi — odezwał się — choć zaprzeczają... W tym samym pokoju ktoś deptał i szydził... Szukałem dowodu...

— Proszę pana — przerwał mu Obroński — my tu filozofujemy w najlepsze, a za godzinę przyjaciele pana wezmą nas na stryczek... Przekonamy się, dowiemy się wówczas... Chodźmy teraz do księżnej.

I energicznie wyciągnął Pawła z gabinetu.

— Udaję się do protekcyi pana — żartował w przedpokoju, gdy ubierali się — pan ma dobrą markę u chamstwa, a ja — najgorszą. Jeśli napadną na nas, pan zaśpiewa im Sztandar...

Postawił między sobą a Pawłem zapórę żartu, zamknął drzwi, których uchylił na mgnienie, skrył się za maską światową.

## XVI.

W salonie księżnej szpakowaty pan z podstrzyżonemi wąsami, popularny radca Tomicki, wykladał obu paniom, matce i córce, swoje poglądy polityczne. Urwał na widok gości, przyjaźnie przywitał się z Obrońskim, podejrzliwie obejrzał Pawła i mówił dalej:

— Doczekaliśmy się, dożyliśmy, dobrnęliśmy, stanęliśmy nad przepaścią... Niema tu złudzeń. Nastąpiła chwila przełomowa... być albo nie być... Każdy dzień, to krok ku zgubie... patrzeć, jak naród stacza się i nie móźz wstrzymać... Jest od czego dostać obłądu!

— Radzę zachorować na influenzę i położyć się do łóżka. Prędej i przyjemniej minie panu czas — zadrwił Obroński.

Księżniczka parsknęła śmiechem, zmieszała się i natychmiast przybrała wyraz uroczystej powagi.

— To jeden z tych, co to chodzą po wizytach, żeby biadać — szepnął, nachylając się ku niej, Obroński — żeby straszyć i prorokować... Niech mu pani powie, żeby sobie poszedł gadać o dwa domy dalej.

— Rozumiem tych, co wymyślili tę hecę — zrzędził Tomicki — dążą do swoich celów, do przewrotu, do rzezi, do władzy, rozumiem, że tłum ruszył z nimi, ale tertius gaudens, który zaciera ręce...

— Kogo to radca ma na myśli?—spytał Obroński.

— Nie mnie i nie pana, rzecz prosta. Panbyś ustawił we trzy szeregi szubienice, jabym także sobie jakoś z tą rewolucją poradził. Są wszakże tacy, którzy sami w niej udziału nie biorą, a tylko cieszą się z daleka, spodziewając się zbawienia... cały legion podochoconych gadułów...

Obroński nieraz wypowiadał podobne zdanie, ale nie chciało mu się przyznać do pokrewieństwa z radcą Tomickim.

— Każdemu wolno, proszę pana—mruknął.

— Ja nie uprawiam polityki—prawił dalej radca—i gdyby tu chodziło o program, o spory partyjne, o mandat, o ugodę, jak za dawnych dobrych czasów, milczalbym najgrzeczniej... Idę nawet dalej. Gotów jestem w każdej chwili uznać władzę Jana Żabskiego, socyal-demokracji czy pepeesów, pierwszy wzniosę okrzyk i pierwszy złożę przysięgę, byleby była jakakolwiek władza, byleby zagwarantowano spokój, porządek, bezpieczeństwo, byleby skończyło już raz... Tymczasem z jednej strony—armaty i bagnety, z drugiej—ten jakiś niewidzialny komitet, a my pośredku...

Przecież nam, moi państwo—zawołał, zrywając się nagle, jakgdyby go coś podrzuciło do góry—grozi śmierć głodowa. Dopytuję się codziennie i wiem z najlepszych źródeł, że zapasy są na wyczerpaniu. Przejdzie jeszcze dni parę i nie zostanie nic... ani funta chleba. A wówczas głodny motłoch rzuci się na nas... włosy powstają na głowie...

Obroński nastroszył sobie włosy tragicznie i patrzył w uśmiechnięte, wesołe oczy księżniczki.

— Słusznie powiedział ktoś, że żywi umarłym zazdrościć będą. Spaliśmy dziesiątki lat na wulkanie, a i dziś nie wszyscy jeszcze zdają sobie sprawę. Trzeba coś przedsięwziąć, zdobyć się na krok stanowczy—gorączkowo tłómaczył radca.—Byłem u Jana Żabskiego i namawiałem go, by stanął jawnie na czele, by porozumiał się z socyalistami... Nie pora tu bawić się w „kontrwersye“ partyjne. Jeśli socjaliści są panami położenia, poddajmy się, traktujmy z nimi, póki czas... Niech się odbędzie ten przewrót bez rozlewu krwi, spokojnie, na drodze wzajemnych ustępstw... tymczasem my zawsze niepoprawni... Narodowcy sobie, socjaliści sobie, ugodowcy także. Nikt nie chce ustąpić...

— Widzę, że pan, panie radco, pogodził się już z republiką demokratyczną, z wszechwładztwem ludu—przerwał Obroński.

— A pan nie! Dobrze, niechże pan ich złamie, niech pan zaprowadzi ład... pójdę za panem...

Bo dłużej nie wytrzymam — skoczył znowu Tomicki. — Nie sypiam, nie jem, choruję... Potrzeba mi do życia jednej rzeczy: gwizdu pociągu... Włóczę się od rana ulicami, dowiaduję się, nasłuchuję... Wydało mi się raz wczoraj, że już, że zagadała lokomotywa... Myślałem, że zwaryuję z radości — pobiegłem na dworzec... I nic, nic... Sen, martwota, śmierć... Drzemią na szynach wagony... Jak w suszę człowiek, przeklinając jasne niebo i słońce, które piecze, wygląda chunury, tak ja tego gwizdnięcia...

Paweł siedział obok księżniczki. Chwilami spoglądał ku niej, a podczas krótkiego mgnienia, w którym obejmował ją wzrokiem, czyniła się w nim jasność, jakgdyby promień nadziei przebił posępną powłokę zadumy, jakgdyby na niebie duszy rozsunięły się ciężkie jesienne obłoki i ukazywała się wśród nich daleka lazurowa dolina radości, dolina marzenia i wspomnień młodości i snów o szczęściu. I czyniła się w nim pogoda, pogoda świątecznego poranku, gdy w dniu zwiastowania w błękitach biją dzwony... Ale w następnej chwili znowu pochylał głowę i dumał, bo zmierzch był przednocny...

Księżniczka Marylka miała wczorajszą czarną suknię, ten sam skórzany pasek, który tak cudnie obcisnął kibić, mankiety i męski podwójny kołnierzyk z krawatem. Jej wysmukłe palce bawiły się cienkim złotym łańcuchem. W oczach, mimo przeraźliwych wróżb radcy, swawoliły figiarnie błyski, a im bardziej chciałyby śmiać się i weselić, tem poważniej zaciskała wargi i marszczyła czoło. Walczył, niby podczas nudnej i długiej lekcji na pensyi, śmiech oczu ze sztucznie uroczystem skupieniem oblicza. Zawadziła parę razy spojrzeniem o Pawła, pragnąc zabrać go z sobą na wesóły szlak, ale on nie poddawał się, odwracał surową twarz, spuszczał wzrok, żeby nie widzieć... Więc zaniechała go... A wówczas utkwiał w niej nieruchome żalodne źrenice. Zdawało mu się, że rozplacze się. Gniotło go niewymowne uczucie. Było mu żal księżniczki, która nie wie, nie zgaduje, nie przeczuwa, jej przecednej młodości i siebie. W duszy rozszlochały się struny jakoweś, niby owa harfa, na której gra wiatr, i szlochała tęsknota, tęsknota za szczęściem, które przepadło na zawsze... Kiedy i gdzie było to szczęście? Może wczoraj, może nie było nigdy, a mogłoby być... Marzył niegdyś, marzyło mu się, jak we śnie... gdybyż, gdybyż! Ale rozwiała się mgła człowieczego złudzenia i ukazała się prawda złowroga... Gdzież szczęście, jakież może być szczęście w życiu znikomem... Rodzą się, umierają ludzie, i niemasz radości tam, gdzie nic nie trwa... Paweł Na-



borowski siedzi w tym salonie, słucha rozmowy, podziwia księżniczkę, a jutro odejdzie tam, kędy poszła Aga... Szpetne, stare, złe usta szepcą mu nad uchem, że wszystko przemija, że za lat niewiele i ona, jak wszyscy... Cóż za pociecha! zaćmi się piękno, zwiędnie młodość, wypali się życie... prześliczne oczy zgasną, najcudniejsze ręce, które skubią złoty łańcuch, zasną snem wiecznym, martwemi staną się te włosy żywe, które kapryśnie wymykają się z pod grzebienia i wicherzą się nad czołem i każdego rana czesane, odczuwają szczęście dotknięcia drogich palców... I gdzieś, w jakichś księgach, zapisany jest dzień, miesiąc, rok, gdy śmierć przyjdzie po swoją własność, po swoją rzecz—i zabierze... Bo człowiek należy do śmierci tak, jak rzeka należy do morza, w które wpada... Dumął—i od czasu do czasu żałośnie kurczyły mu się wargi... W upartej głowie krążyła wciąż ta sama uporczywa myśl, zagradzała drogę do serca, które zrywało się, pragnęło, wzdrygało się buntowniczo, nękała duszę i pchała ją w posępne podziemie, z którego nie było wyjścia... Nie mógł oderwać oczu od księżniczki, a gdy spoglądał, zdawało mu się, że nie wytrzyma i wybuchnie płaczem... I nie pojmował, dlaczego tak było, dlaczego właśnie z za krzesła księżniczki obrzydliwie uśmiechała się do niego śmierć... W pewnej chwili wstał i ku zdziwieniu księżnej, zaczął przechadzać się po pokoju. Zatrzymywał się pod obrazami. W złotych ramach jakiś brodaty pustelnik modlił się nad olbrzymią księgą, w pieczarze, pod krzyżem, u którego stóp na kamieniu leżała trupia czaszka; gdzieindziej na morzu, w świetnym blasku Turnerowskiego pędzla, płonał okręt, gdzieindziej wśród łąki pasło się bydło... Nudziły go obce zjawiska cudzego życia... Postąpił ku oknu i przywitał ustronie ogrodu, niby znajomy, odwiedzany często a drogi zakątek... Poznał ścieżkę i ławę kamienną, powiódł oczami po smutnych drzewach. Chwiały się pod niebem jesiennem gałęzie... I Paweł, spostrzegając chłodny dreszcz konarów, pomyślał, iż zawita tu kiedyś do tego miłego zacisza wiosna, że w dniu wiosny zakwitną zielenią drzewa, że ostatni zczerniały, zsiadły śnieg będzie topnieć tam pod murem, że błękitnym gościńcem powędrują ku słońcu kwietniowe, białe, uśmiechnięte obłoki, że on przyjdzie tu wówczas, usiądzie na ławie, popieści ręką dziecięce trawy, spojrzy w te okna i będzie czekał... Zatrząsnął do owej chwili w nieświadomem przeczuciu, w bezwiednej nadziei, że gdy umają się drzewa i jemu zakwitnie...

— Pan jakiś zgaszony dziś—odezwała się za nim księżniczka, przysłana przez matkę dla zabawienia gościa, który zachowywał się niezwykle—nie chce pan z nami rozmawiać...

— Myślałem o wiosnie, księżniczko—odparł cicho, spoglądając ciągle przez okno.

— O wiosnie — powtórzyła i przebiegła spojrzeniem przez smutną nagość ogrodu—jeszcze daleko, panie...

— Pani przychodzi tu w kwietniu, pani lubi tantą ławę kamienną, połupaną i zmurszałą, w której szczelinach puszcza się mech... zgaduję?... pani pochyla się i głaszcze trawnik, pierwsze niemowlęce, złąknione dźbelka...

— Pan poeta, pan poeta—szepnęła żartobliwie.

A on mówił dalej, wciąż patrząc w ogród:

— Chciałbym spotkać tu panią w słońcu kwietniowym... Dziś jesień jest i pora umierania... A ty, księżniczko, jak promień nadziei, jak poranek wiosny, jak pieśń zwiastowania... O radości mówą nadziei mówią oczy pani... o życiu... o szczęściu, które mogłoby być, które bywa między ludźmi...

Dziwny był kontrast tych słów i głosu, który brzmiał pośepnie i jednostajnie. Zdawało się, że on powtarza z obowiązku cudze myśli, że recytuje na lekcji wyuczony urywek. Księżniczce od tłumionego śmiechu zadrgały nozdrza, wśród rozchylonych warg błysnęły zęby. Opanowała wybuch wesołości, spuściła zarumienioną, śliczną w obłoku różowym dziewiczego zmieszania, twarz...

— Ale czy bywa to szczęście—spytał ponuro—czy bywa, księżniczko, między ludźmi szczęście?... Zastanawiałem się nad tem dawno temu, zastanawiam się od wczoraj... Widzę wesołych ludzi, a sam nie umiem... Życie przechodzi, przemija, umykają dnie... Przyglądałem się pustelnikowi, który klęczy pod krzyżem nad ogromną księgą i trupią czaszką, i wpadło mi w uszy cykanie tego pięknego zegara—wskazał palcem róg salonu—pomyślałem, że każda minuta ucieka i nie wraca, że szybko biją godziny, że niecierpliwimy się często, czekając, i nudzimy się, a przecież ten czas—to życie nasze...

Księżniczce wymknął się, niby spazm, krótki śmiech pusto-ty, ale Paweł nie zauważył jej wesołości.

— Zmarnowałem niemało już lat—opowiadał dalej—i wydawało mi się, że życie to łatwa i zwyczajna rzecz, że człowiek kładzie się spać i wstaje, spycha jakieś zajęcie, je obiad, odwiedza znajomych, że wystarcza oddawać z siebie jakiś tam odsetek społeczeństwu a resztę zabierać dla siebie w postaci szczęścia. Myliłem się grubo... Bo szczęścia nie znalazłem, chociaż szukałem, a śmierć kładzie wszystkiemu kres...

Podniósł teraz wzrok na księżniczkę i na mgnienie, jakgdyby w lustrze, odbił się mu w oczach uśmiech, cudny jej uśmiech.

— Gdyby życie trwało wiecznie—rzekł znowu—możnaby było spędzać dnie łatwo, zwyczajnie, ale wobec śmierci... Poszukajmy, księżniczko, czegoś, co nie przemija... A może, księżniczko, istnieje takie szczęście, które pozwala zapomnieć...

I oczy jego, wpatrzone w nią, mówiły bezwiednie, że takie szczęście jest i znajduje się blisko, że pragnie... A ona zmieszała się znowu, zmieszana spojrzeniem, zdziwiona niezwykłą treścią słów, i nie mając co rzec, rysowała coś na szybcie.

— To pan boi się śmierci?—szepnęła.

— Przekonałem się wczoraj o jej potęgę. Nie mogę pogodzić się... Nie obchodzi mnie, że umierają ludzie... Mogą sobie umrzeć wszyscy i radca Tomicki i Obroński i Jan Żabski, mądry przewodca i moja teściowa, Kamieniecka, ale że ja, Paweł Nabrowski, przestanę istnieć, że pani także, że pani—dodał ciszej.

— A nasze nieśmiertelne dusze, panie?—zdziwiła się.

— Nieśmiertelne dusze—powtórzył—gdzie one są?

— W nas... I pójdą kiedyś do Boga...

— Pani podług katechizmu... Może ta dusza idzie kędyś... Ale człowiek umiera...

— Panby chciał—zażartowała—przenieść się na tamten świat w surducie, z krawatem, z zegarkiem, tak jak pan stoi... i prenumerować w niebie gazety, chodzić na fix-y, oklaskiwać w operze śpiewaczki... Nie, panie, tam będzie pokuta...

Znudzona poważną rozmową, skorzystała z pozoru i zaśmiała się. Śmiały się swawolnie oczy, śmiały figlarne zmarszczki dokoła oczu, śmiały się rzęsy, rozchylone wargi, białe zęby. I na twarzy Pawła, ponurej i znużonej, odbił się mimowoli jej skrzydlaty uśmiech. Ale natychmiast spoważniał.

— Więc nie istnieje szczęście, księżniczko—rzekł—więc nie ma dla mnie szczęścia... przeżyłem tyle lat, było mi źle, byłem sam, szare i nudne płynęły dnie...

Mówił z prostotą i tak szczerze, że uczyniło się jej żal. Z gąsnącą smugą radości na twarzy powiedziała serdecznie:

— Teraz panu ciężko... pan poniósł stratę—urwała, przypomniawszy sobie gawędy o złem pożyciu Pawła z żoną, zarumieniała się po uszy.

— O jakiej pani mówi stracie?— spytał i także najbardziej nie w porę przypomniała mu się żona.

Zmarszczył się, wbił oczy w ziemię i tak stali w milczeniu, oboje strapieni. Z oblicza księżniczki, niby zorza z niebios, powoli schodził rumieniec.

— Odejdę stąd z niczem — cicho odezwał się Paweł — wrócę do pustego życia, do szarych dni...

Potem, zwróciwszy wzrok ku oknu, dodał:

— Cóż stąd, że do ogrodu tego zawita wiosna, że drzewa zapłoną zielenią i ziemia ustroi się majowym kobiercem, że pani przyjdzie tu do swojej ławy i usiądzie, żeby patrzeć, jak płyną, mijają, rozkwitają w białych niebiosach obłoki...

A koniec tej myśli, żalosne dokończenie o tem, że nie dla niego ta wiosna i nie dla niego ona, promień nadziei, zostało niedopowiedziane w sercu... I znowu milczeli oboje. Księżniczce było niezmiernie żal Pawła i chciałyby go pocieszyć i nie wiedziała, jakim słowem, jaką obietnicą. Z litości w dziewczęcym sercu zrodziło się dobre, pełne tkliwości uczucie i polubiła Pawła bardzo w tej chwili. Pociągnął ją ku niemu urok głębokiego cierpienia, które wyznał, którego treść i przyczyna zostały w tajemnicy, podobało się jej, że on, mąż dojrzały i poważny, działacz rewolucyjny, rozinawia z nią, jak z równą, spowiada się jej z myśli swoich i uczuć, widziała w spojrzeniach jego nieśmiałe hołdy zachwyty.

— Niech pan odwiedzi nas — poprosiła miękko — gdy ukażą się na niebie obłoki, o których pan mówi, gdy drzewa staną się, jak zapalone pochodnie zieleni, gdy zapachnie nam ziemia wiosenną radością trawy... Zaprowadzę pana do ogrodu...

— Pan Naborowski maluje duszę pani na kolor czerwony — zabrzmiał koło nich niespodzianie chłodny głos Obrońskiego, który zbliżył się, z pewnego powodu zniecierpliwiony długiem odosobnieniem tych dwojga.

Księżniczka przywykła śmiać się, gdy mówił swoje cięte dowcipy słynny w świecie ze złośliwości Obroński, ale tym razem zmarszczyły się lekko jej brwi.

— Wolę barwę czerwoną od tej, której pan hołduje... Na jaki kolor, proszę pana, malują u nas szubienice? — odcięła się bez wesołości.

— Na kolor rozumu...

— Z uznania dla tych, których się wiesza...

— Państwo podczas tego tête à tête zabrnęli aż tak daleko...

Obroński zmierzył oboje drwiącym spojrzeniem, zatrzymał wzrok na księżniczce. A gdy najcudniejsze zapłonienie zarumieniło jej oblicze, w jego chłodnych źrenicach uragliwa przenikliwość stopiła się w łagodnem ciepłe serdeczności, tryskającej z głębin... Pieścił ją pieszczołą miłujących oczu przez krótkie mgnienie, w którym ona, ukryta za zasłoną rzęs, spostrzedz tego nie mogła.

I prowadził dalej swoim zwyczajem uszczypliwą i z lekka pogardliwą rozmowę, niby z dzieckiem, któremu się okazuje pobłażliwą wyższość. Zabawiał się kosztem Pawła, wydrwiwał skrajne głupstwa, rewolucyjne wybryki, wolnościową modę, hołdy składane przez tchórzów „majestatowi“ ludu. Słowa zwrócone były do Pawła, który nie słuchał, spojrzeniem przemawiał do niej. Księżniczka odcinała się od czasu do czasu i śmiała się nieszczerze, coraz sztuczniej. Niecierpliwiła ją ta szydercza napaść na bezbronnego Pawła, to „ubliżanie czyimś przekonaniom,“ niecierpliwiły ton i traktowanie z góry. Tem serdeczniej żałowała Pawła, tem żywiej współczuła jego cierpieniu, zasmucającemu twarz, gdy stał z bezradnie spuszczoną głową, a Obroński, którego zamiarów domyślała się, o którym ciotki szeptały, jako o najpierwszej party, z którym dawniej lubiła śmiać się, wydał się jej człowiekiem niedelikatnym i niedobrym... Obroński zauważył zmianę, zrozumiał przyczynę i rozdrażniony, brnął dalej po fałszywie obranej drodze, szkodził sobie samemu.

— Gdyby zbawienie ojczyzny miało od tego zależeć—natrząsał się—nie zgodziłaby się przecież pani ubrać się w niemodną suknię... prawda pani? Więc i ja, niemodny, nie mam żadnej łaski... Pan Naborowski, co innego... on co parę miesięcy zmienia krój i barwę swoich szat, on gotów i pani dostarczyć najświeższych nowości z kramiku rewolucyjnego, z socjalistycznych straganów. Nasze panie lubią zmianę... I pani dziś...

— Ja nie od dziś...

— Więc wczoraj, onegdaj... to wszystko jedno... Ale uprzedzam panią, że i ta moda nie potrwa... Wróćcie jeszcze państwo do ancien regime... Do jakiego obozu przeniesie się pan za miesiąc?—zapytał Pawła.—Pan wciąż wędruje...

— Pan Naborowski—za Pawła odpowiedziała księżniczka—nie zejdzie z posterunku i zostanie z tymi, którzy walczą o lepszą przyszłość dla ojczyzny.

W słowach, w głosie, w spojrzeniu, gdy mówiła, był zapal.

— Pani jest tego zupełnie pewną?

— Tak...

Starli się spojrzeniem. Księżniczka zawstydzila się swego uniesienia, spuściła wzrok...

— Pani rozdaje wieńce męczeńskie—odezwał się Obroński—stwarza pani bohaterów... Widzę, że nietrudno jest zdobyć i jedno, i drugie w oczach pani...

Wytworny szermierz stawał się nie w miarę zjadliwym i coraz bardziej niezgrabnym. Zdradzały go akcenty rozdrażnienia.

Podnosząc od czasu do czasu oczy na księżniczkę, widział w jej obliczu niechęć, urazę i gniew, ale nie umiał nad sobą zapanować. Lekka, światowa na pozór rozmowa nabrała cech walki i uczyniła się przykrą dla obojga. Przerwał ją radca Tomieki, który przyszedł ich pożegnać. Wówczas wszyscy troje wrócili do księżnej i usiedli dokoła stołu. Chwilę było milczenie.

— Pamięta pan, przed rokiem — zaczęła Pawła księżna — spieraliśmy się tu o przyszłość kraju. Wygląda dziś na to, że pan zwyciężył, ale ja nie chcę uznać siebie za pokonaną .. Przeminie ta fala.

— To ja jestem pokonany—odparł Paweł.

Nastała cisza. Oczekiwano, że on powie więcej, że rozwinie i wytlómaczy swoją myśl, że złoży wyznanie. W oczach księżniczki odbiło się zdumienie. Ale Paweł milczał.

— Powrócił pan do ojczyzny i do kościoła—szepnęła księżna—przewidywałam, że to nastąpi...

I pochylając się ku Pawłowi, dodała zupełnie cicho tak, żeby on tylko słyszał:

— Myślałam często o panu i modliłam się... Wydał mi się pan wówczas takim nieszczęśliwym, mimo pychy... Pan przyjdzie tu kiedyś i opowie mi...

Było znowu milczenie. Nagle zabrzmiał zimny głos Obrońskiego:

— Ogłoszę w gazetach, że hrabia Paweł Naborowski wyparł się publicznie szatana socjalizmu i spraw jego.

Szyderstwo wydało się paniom niewczesnem i niezręcznem, ale Paweł odparł bez gniewu:

— Pan wciąż dworuje ze mnie. Może i zasłużyłem na to, bom błędził... Ja przyznaję się zawsze do omyłek. A gdy zajdzie potrzeba, powiem im sam...

— I powiesz panu...

— Pan wszędzie stawia i wszędzie widzi szubienice—z nieśmiałością, ale złośliwie wmieszała się księżniczka.

Obroński dość już miał szermierki i nie odpowiedział nic. Chciało mu się śmiać, gdy pomyślał, iż znalazł rywala, że tym niebezpiecznym rywalem, pasowanym na bohatera, jest Paweł, którym pogardzał. Paweł—kiepski nudziarz, kulawy działacz, niefortunny niegdyś mąż pięknej Agi... Chciało mu się śmiać z księżniczki i prosić ją, żeby zakończyła tę nieco przydługą i niewłaściwą komedię, bo role są źle rozdane, bo on nie przywykł i nie spodziewał się, i nie zgodzi się... Ogarniało go rozdrażnienie i drżały mu ręce, i była chwila, że walczył z gwałtownem pra-

gnieniem wyrzucenia Pawła za drzwi... Potem miał zamiar uczynić to z sobą samym... Wystarczało powiedzieć jedno jeszcze niegrzeczne słowo... Ale stłumił gniewne uczucia i wyszydził siebie za nie i upokorzony był, jak człowiek, który we własnych oczach okryje się śmiesznością, i wstydził się, i zły był na siebie o to, że gniewał się na nią, że zżymał się na Pawła... Fałszywe uczucie walczyło z rzetelnem, z zatajonem i głębokiem—zwyciężyło pierwsze, przemogła poza... Przesunęły mu się zjadliwe myśli o niewzajemnem kochaniu, o cierpieniach serca i kopnął nogą całą tę „lirykę“, z którą, zdawało mu się, nie było do twarzy jemu, hołdującemu rozumowi, woli i mocy. Zresztą „liryka“ nie znaczyła tu nic. Rzecz była ułożona i przygotowana oddawna przez ciotki, przez życzliwe panie. On, Obroński, stanowi najpierwszą partję, księżniczka, najstarsza śród ośmiorga rodzeństwa, ani po ojcu-utracyuszu, ani po wuju-dziwaku nie dostanie posagu, on reprezentuje pieniądze, ona—ród i alianse... Świat mógł tylko przyklasnąć takiemu małżeństwu, księżna nie posiada się zapewne ze szczęścia i nie pozwoli córce, która jest niedoświadczoną w tych sprawach, kaprysić... To wszystko nie podlega wątpliwości... Sięgnąć ręką i wziąć... Księżniczka podobała mu się oddawna, ale zwlekał, odkładał, wahał się, w tym roku, zważywszy rozsądnie, zrobił wybór i łaskawie oznajmił o nim przez trzecią osobę matce. Dano mu odpowiedź, jak zwykle, wymijającą... Zaczął bywać, a w domu czynił przygotowania do ślubu, który wyznaczył na 10-ty stycznia. Żartował pobłaźliwie z księżniczką, zabawiał się nią, jak dzieckiem, i tylko ukradkiem, ukradkiem przed nią i przed sobą samym, pieścił oczami, które stawały się nagle pełnemi ciepłego blasku, tę najcudniejszą i najdroższą, młodziutką, ruchliwą, wiecznie mieniącą się, wesołą o nieregularnych rysach głowę. I wmawiał w siebie w dalszym ciągu, że on ulega tylko rozumowi, że wybór jest rozsądny i dokonany został na podstawie rozważnych obliczeń, że bierze, bo chce i postanowił, bo uznał, iż tak potrzeba...

Gdzieś w głębi zatrzepotał się, jak motyl w rękę fornała, niepokój, do którego nie pozwalał sercu przyznawać się, gdzieś w głębi szarpnął nim żal, ale on zwrócił się do księżnej ze spokojną mową o interesie, dla którego przyprowadził tu Pawła, o Kamienieckich. I wszczęła się ożywiona między niemi rozprawa. Księżna, która miała gorące serce i doskonałą głowę do interesów, zaczęła raz po raz Pawła, pytając go o cyfry, o nazwy majątków litewskich i przedsiębiorstwa — odpowiadał jej lakońicznie i niechętnie, jakgdyby budził się z dalekiego zadumania.

W końcu oświadczył, że gotów jest pomódz, że służy pożyczką, ale że nie chce tej sprawy brać na siebie... I znowu, spuściwszy głowę, popadł w swoją zadumę.

— Kiedy pan już obiecał!—sarknął Obroński.—Pan mógłby najłatwiej...

— Pan naprawi złe, które pan im wyrządził—szepnęła księżna, nachylając się ku niemu.

Upierał się, nie chciał, milcząc odmawiał. Księżniczka Marylka milczała także. Byli blisko siebie, i Paweł słyszał cichy szelest jedwabiu, gdy ruszała się na krzesło. W mroku, który uczynił się w pokoju, zatarły się rysy jej twarzy, nie znać było, kędy spoglądają oczy, trudno było odgadnąć, jakie dumania płyną przez zamysłoną toń jej czoła.

— Czemu pan odmawia?—spytała szeptem.

— Bo trudno księżniczko, bo z sobą mam wiele roboty.

Potem milczeli.

— Czy pani wychodzi za mąż?

— Ja... nie, panie... nie wiem—usłyszał niepewne słowa.

Obroński i księżna układali tymczasem plan akcji ratunkowej.

— Nie widziałam pana od roku... pan zmienił przekonania i sam pan zmienił się... Nosi pan z sobą jakiś smutek—nieśmiało dotknęła mu duszę księżniczka. — Dawniej z zapałem mówił pan o pracy świadomych, o walce, o losach kraju, jak działacz, który ma miecz wydobyty. Ja nieraz bałam się, że pana już uwięzili, wywieźli... I przyszedł pan inny... Wuj Tobiasz także złamał... Może i pan zwątpił?

Paweł nie skorzystał ze sposobności i nie zechciał, czy nie potrafił przybrać poetycznej pozy cierpienia i bohaterstwa. Odparł z prostotą:

— Nie wiem... Ja nie wiem, księżniczko, co uczynić z sobą, z życiem swoim, z tym szeregiem lat... Zmarnowałem kawał czasu, przekonałem się, że była próżność...

— Próżność i utrapienie ducha — odpowiedziała jakgdyby półzartem.

— Próżność i utrapienie ducha... Tak było i będzie... Nie znalazłem szczęścia i dlatego nie wiem... Może ono należy się ludziom, może pani będzie je miała... Upłynęło już tyle z mego życia...

Urwał i szukał w zmroku spojrzenia jej oczu... Odpowiedziała mu słowami:

— A łatwo jest, panie... Małe, proste, zwyczajne szczęście każdy może osiągnąć. I życie nasze to prosta, mała, zwyczajna



rzecz... Nie trzeba tylko wyolbrzymiać siebie, życia, roli swojej... My wszyscy poddani, podwładni...

Teraz ona urwała, zawstydzona moralizatorstwem, bojąc się, że inni usłyszą.

— Niech pani mówi—poprosił z cicha.

Wydało mu się, że pasmo światła przenika do jego duszy, że uczyniło się tam widniej i wyraźniej, że ogarnia go spokój, że nauki życia należy szukać nie tam, gdzieś w księgach wiedzy, w moralnych sporach, w ludziach osiwiiałych, ale w jej prostych słowach.

— Niech pani mówi — powtórzył, bo milczała — czemu pani nie chce?

Księżniczka uśmiechnęła się, zamiast odpowiedzi. Zresztą nie było już czasu na rozmowę. Księżna znowu zwróciła się do Pawła w sprawie Kamienieckich.

— Pójdę tam, proszę pani—oświadczył Paweł—mogę nawet zaraz...

I wstał. W sercu niespodzianie zagrała mu radość, odezwała się ochocza potrzeba czynu, spełnienia czegoś dobrego, obdarzenia kogoś radością.

— Trzeba kuć żelazo na gorąco—dodał wesoło, jakgdyby tu chodziło o wzięcie udziału w jakiejś zabawie.

Księżna najuprzejmiej wyraziła mu wdzięczność i pochwałę, serdecznie wyciągnęła do niego rękę. Obroński począł także się żegnać.

— Proszę pana—rzekła księżna, gdy mieli odchodzić—teraz pan wystąpił, ale przez rok należał pan do tych, co wywracają i burzą. Pan musi mieć najlepsze informacje. Niech pan nam powie zupełnie szczerze, jakiego rodzaju niebezpieństwo grozi... — głos księżnej drżał lekko.

W tej chwili zjawił się lokaj. Księżna przeczekwała, aż zapalał lampy i odszedł.

— Bo lepiej jest wiedzieć, lepiej spodziewać się rzeczy najgorszych — kończyła. — Ja sama nie boję się niczego, i mimo wszystko zostanę tu do końca... A ludzie straszą i gnębią jedni drugich swoim przerażeniem... Pan słyszał, co za przepowiednie wysnuwał tu radca Tomicki...

Księżna nie mogła zapanować nad głosem, który drżał.

— Dziwią się, że nie wyjechała, że narażam lekkomyślnie dzieci. Proponują mi samochód...

— My, zostaniemy, mamó—wtrąciła księżniczka.

— Zostaniemy, bo zapewne już nie czas uciekać. Wierzę, że włos nie spadnie nam bez woli Tego, Który rządzi i dopuszcza...

I brat mój jest tutaj... Są wszakże objawy zatrważające. Wczoraj, jak zwykle, odwiedziłam ochronkę... Zaczepiły mnie na korytarzu jakieś kobiety, musiałam wysłuchać grubiańskiego kazania, grubiańskich pogroźek... Zresztą mniejsza o to, bo chodzi nam o to, co pan powie...

Paweł miał jakiś dziwny, prawie wesoły wyraz twarzy.

— Niedobrze jest—odparł krótko—poleje się krew...

I rozpostarł bezradnie ręce, jak lekarz w chwili agonii chorego. Było milczenie.

— To samo twierdzi mój brat, Tobiasz — odezwała się księżna—że rozpala się nad krajem łuna nieszczęść, krwawa łuna wojny bratobójczej, że upadły dusze, że ziemia okaże temu pokoleniu moc zła...

Utkwiła w Pawle mądre oczy i ciszej dodała:

— Ale ja myślę inaczej... Zaleje i zatopi nas może ta fala, runie ustrój, zmienią się porządki, będzie w całym, w ludzkim znaczeniu tego wyrazu przewrót, ale myśl Boża zwycięży... Widać, że On chce, żeby tak było... My ludzie uważamy pewne pojęcia za zasadnicze, przywykliśmy do pewnych form czy ukształtowań społecznych, umocniliśmy życie na podwalinach, które nazwano niezbędnymi i niewzruszonymi... A kto wie, kto wie?... Być może doskonalszem byłoby życie na ziemi bez owej świętej własności, której gotowiśmy bronić, jak źrenicy oka... Ludzie mogą błędzić, a czas wywraca ludzkie budowy... Praw Boskich i rządów Boga nie obalą rewolucye...

— To są teorye brata pani — uszczypliwie zauważył Obroński, który zaliczał hrabiego Tobiasza do półgłówków.

Księżna wiedziała o tej niechęci i chłodno odparła:

— Nie warto chyba wszczynać sporu, panie...

Nastąpiła cisza, przykra dla obu stron. Księżniczka wstała, żeby poprawić ciennik na lampie. Paweł, może bezwiednie, podsunął się ku niej. Ale w tej chwili Obroński złożył milczący ukłon—wyszli razem.

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

# Współczesny dramat angielski.

Do niedawnego bardzo czasu ciążyła nad teatrem angielskim prawdziwa konspiracja milczenia. Nauka, poezya i filozofia Anglii XIX-go wieku święciły wszędzie zasłużone tryumfy, o dorobku jej scenicznym natomiast nie wspomniano zgoła. Międzynarodowa krytyka literacka przyjęła wobec niego bezwzględnie obojętne stanowisko, szczepiąc w umysłach inteligentnego ogółu przeświadczenie, że nie istnieje on właściwie wcale.

Dziwiono się tak szczególnemu zjawisku, nie siląc się go wytłómaczyć. Zadawano sobie co najwyżej pytanie — mówi August Filon w przedmowie do swego dzieła p. t. „Le théâtre anglais <sup>1)</sup> — „jakie racye psychologiczne, społeczne i estetyczne mogły sprawić, iż rasa, która wydała Szekspira wówczas, gdy, mając zaledwie 3 miliony ludności, zamieszkiwała szczupły kąt ziemi, nie jest zdolna obecnie, kiedy stała się 40 razy liczniejszą, wydać nic lepszego ponad kłownów i tancerki.“ Nikt jednak nie starał się sprawdzić, o ile wyrażone w tem zdaniu przypuszczenie odpowiada rzeczywistości.

Dopiero Oskar Wilde i Bernard Shaw przerwali zakłęcie, zawisłe nad produkcją dramatyczną ich ojczyzny. Utwory ich przedostały się na wszystkie niemal sceny europejskie, a gatunek paradoksów Shaw'a i jego nie szczędzącej nikogo ironii, zrobił zeń nawet w dobie obecnej najwięcej oklaskiwanego z pisarzy dramatycznych obu półkuli. Ale zapoznanie się z jego twórczością nie wywołało bynajmniej szczerego zainteresowania współczesną sceną angielską, ani też pobudziło do szukania przyczyn jej przypuszczalnej dekadencji w poprzednim okresie. Tymczasem dzi-

<sup>1)</sup> 1896 rok.

siejszy stan kwestyi teatralnej w Anglii, uwarunkowany *parowiełkową przeszłością*, jest niezmiernie nauczający z całego szeregu względów. Sztuka dramatyczna przeżyła tam rzeczywiście niepokojąco długą dobę marazmu, którego skutki trwają nadal, pomimo występujących w ciągu ostatnich lat trzydziestu objawów ewolucyi. Począwszy od ósmego lat dziesiątka ubiegłego stulecia, dość liczny zastęp pisarzy średniej miary zasila teatr utworami, które, pozostając w przeważnej części wypadków konwencyonalnymi w treści, formie i ujęciu, przedstawiają nie mniej jednak znaczny krok naprzód w stosunku do produkcji całych pokoleń ich poprzedników. Znajdujemy w nich bądź co bądź pewną wytworność dyalogu, finezyę i dowcip—przymioty nieznanne przez czas bardzo długi na angielskiej scenie. Po za autorami tymi, o których mówić będę dalej, kilka młodych talentów zaznacza zdecydowaną już zupełnie dążność do zerwania z uciskiem rutyny i stoi wytrwale na wyłomie, walcząc o lepszą przyszłość sztuki. Wiara jednak w zdobycie tej przyszłości jest dość wątła w samychże szeregach szermierzy odrodzenia teatru.

Jakkolwiek bowiem powody, które sprowadziły jego upadek, zostały dziś w pewnej mierze złagodzone i nawet usunięte, siła ich destrukcyjna działa w dalszym ciągu, paraliżując swobodny rozwój sceny i usprawiedliwiając w zupełności obawy o jej przyszłe losy, których echem stają się raz po raz łany najpoczytniejszych dzienników i czasopism. Cały zespół okoliczności, działających w ciągu wieków, złożył się na stworzenie szczególnej sytuacji, której symptomem najwięcej charakterystycznym jest ujawniająca się, z dniem każdym dobitniej, niemożebność utrzymania się w pięciomilionowej stolicy teatru, będącego tym prawdziwym przybytkiem sztuki, w którym znajdowałyby wyłącznie przytułek utwory, odpowiadające najistotniejszemu jej celom, a więc dostarczające szczerych wzruszeń estetycznych.

Istnieją wprawdzie wolne sceny, jak „Stage Society,“ dążące do urzeczywistnienia tego zadania, egzystencja ich jest jednak wysoce niepewna i zakres działania bardzo ograniczony wobec braku własnego domostwa i jakiegokolwiek poparcia ze strony szerszej publiczności. Nie mają one zupełnie trwałej podstawy bytu.

Stoiny wciąż wobec dwóch faktów, pozostających ze sobą w ścisłej łączności logicznej. Są nimi: bardzo uboga treściowo (pomimo zaznaczonej już ewolucji), w stosunku do intelektualnych sił narodu, produkcya dramatyczna i wyraźnie zaznaczone upodobanie tych warstw publiczności, które uczęszczają do teatru,

do sztuk, dostarczających im przedewszystkiem śmiechu, choćby nawet w najpośledniejszym gatunku.

Londyn posiada dziś do trzydziestu teatrów. Przeważna ich większość uprawia melodramat, komifarsę i operetkę. Na sukurs im przychodzą music-halle. Zakłady te, które zajmowały początkowo nadzwyczaj skromne miejsce, walczą obecnie zwycięsko ze sceną, pobudzając ją jeszcze do wprowadzania na scenę utworów, nie mających zgoła nic wspólnego z zadaniami sztuki. W niektórych okresach roku (około Bożego Narodzenia) kilka teatrów wystawia z niesłychanym przepychem kostyumów i dekoracyj pantomimę, osnutą niezmiennie na jednych i tych samych legendach i bajkach czarodziejskich. Bohaterami jej są więc najczęściej: Aladyn i Sindbad, Robinzon Kruzoe i Sinobrody, Kopciuszek i Dick Wittington, historyczna postać wybieranego po trzykroć na swój urząd mera Londynu z czasów Henryka IV. W sztukach tych bierze udział po kilkaset osób, których role nie są bynajmniej mimiczne. Piosnka komiczna, arlekinady i kłownady zajmują tu niepoślednie miejsce. Autorowie pantomin dają folę swej wyobraźni, wprowadzając dowolnie nowe epizody, zapożyczone nieraz z aktualności politycznej i społecznej. Przed paru laty rozlegały się w nich głośne echa walki wolnego handlu z protekcyjnizmem i toczyła prawdziwa kampania za „starym Joe“ (Chamberlain'em) lub przeciw niemu. Obecnie każda z nich pokazuje karykatury „suffragistek“, dobijających się praw wyborczych dla kobiet i rozprawia o zaletach i usterkach nowego Education Bill'u. Te aluzje do wydarzeń dnia nie podnoszą zresztą zupełnie samych utworów do poziomu średnio choćby dowcipnej satyry, występują bowiem w bardzo pierwotnej formie. Mimo to jednak pantomina zajmuje w rządzie przedstawień teatralnych stanowisko tak usankcjonowane olbrzymiem powodzeniem wobec publiczności, że poważne pisma codzienne i peryodyczne nie wahają się poświęcać jej sprawozdań, więcej nieraz wyczerpujących, niż te, z którymi spotykają się dobre i najlepsze produkcje dramatyczne. Mam przed sobą zbiór tygodnika literackiego „The Outlook“ za rok ubiegły. Parę zaledwie sztuk doczekało się tu równie drobiazgowej, a i pochwalnej oceny, jak pantomina „Sindbad“, wystawiona w „Drury Lane“, jakkolwiek samo sprawozdanie ujawnia w niej nagromadzenie najwulgarniejszych efektów. Warunki istnienia sceny pozbawiają, co prawda, angielską krytykę prawa niezależnego sądu, a może też i mać ją jasność. O tem wszelako mówić będę dalej. Obecnie chodzi mi jedynie o zaznaczenie upodobań i wymagań publiczności. Są one wyso-

kie i dokładnie określone jedynie w kierunku urządzenia widowni i inscenizacyi. Bogactwo sali i wspaniałość dekoracyi pociągają nieprzeparcie angielskiego „playgoer'a.“ Poza tem wystarcza mu, w przeważnej ilości wypadków, pospolity i ciężki śmiech farsy.

Teatr stara się uczynić zadość jego potrzebie. Jest on w Angli przedsiębiorstwem czysto kapitalistycznym i, jako takie, dąży do zrealizowania jaknajwiększych zysków, co urzeczywistnia, licząc się ściśle z gustami swego audytorjum. Podaż odpowiada tu dokładnie popytowi, zarówno co do rodzaju dostarczanego produktu, jak co do jego zewnętrznej szaty. Sprytni manager'owie karnią publiczność pożądaną przez nią strawą, dając ją jej w otoczeniu prześcigającym najwybredniejsze wymagania. Teatra ich stają się wytwornymi salonami, w których publiczność ta odnajduje cały komfort swego *home*. Wszystko obmyślone jest przedziwnie ku jej wygodzie i zadowoleniu. Toż samo dzieje się na scenie. Nigdzie bodaj nie posunięto równie daleko, jak w wielkich teatrach angielskich, dbałości o spotęgowanie wrażenia przez odpowiednią inscenizację. Dobięła ona najwyższych stopni mistrzostwa i stała się jednym z czynników wyrażenia myśli autora, którą uzupełnia i podkreśla, wytwarzając dla niej odpowiednią atmosferę.

Ale najdoskonalsza nawet „mise en scène“ nie może zastąpić literackich zalet dzieła. Utwór teatralny nabiera niewątpliwie całkowitego znaczenia dopiero na scenie, uwypuklającej przy pomocy posługujących jej środków jego treść wewnętrzną; piękno jednak musi zawierać się całkowicie w tej treści, która jedynie pozostaje. Tymczasem sam rodzaj sztuk, składających się na repertuar olbrzymiej większości scen angielskich, świadczy już dostatecznie o ich niskiej wartości gatunkowej. Takich jednak utworów domaga się publiczność, gdy zaś uczęszcza na komedię i dramat, to darzy wówczas najszczerzem uznaniem beznadziejnie mdłe i stereotypowe elaboraty ku zbudowaniu dusz niewinnych, w których cnota i moralność muszą tryumfować niezmiennie w ostatnim akcie. Najwięcej może typową produkcją w tym rodzaju jest arcypopularna w anglo-saksońskim świecie obu półkuli sztuka jednego z ulubieńców publiczności, Artura Wing Pinero, p. t. „Sweet Larender,“ w której autor wymierzał wzruszenia i łezki z doskonałym zrozumieniem nieskomplikowanej psychologii słuchaczy. Utwór ten, przeniknięty nawszkroś tkliwym i naiwnym sentymentalizmem, grany był przez dwa lata z rzędu w „Terry's Theatre“ londyńskim, którego trupa objechała z nim następnie Stany Zjednoczone i kolonie. Po długiej i płodnej ka-

ryerze w New-Yorku, Captown'ie, Québec'u, Melbourne'ie, Montréal'u i t. d. — we wszystkich jednym słowem teatrach języka angielskiego, powrócił znów na scenę swych pierwszych powodzeń, gdzie przez trzy jeszcze lata audytoryum przyjmowało go z nie słabnącym entuzjazmem. Sztuka nie zeszała zresztą po dziś dzień z repertuaru i nie zejdzie zeń może jeszcze przez lat kilkanaście, świadcząc swym długotrwałym żywotem scenicznym równie chyba niepomysłnie o kulturze estetycznej rasy w kierunku teatru, jak rozmiłowanie w pantominie i komifarsie.

Dlaczego jednak pozostała ta kultura na tak zaczątkowym stopniu rozwoju? Czemu na tym właśnie punkcie nastąpiło obniżenie twórczego dorobku i spaczyło się bardzo wyraźnie poczucie artystyczne społeczeństwa, które we wszystkich innych dziedzinach życia duchowego zajmuje stanowisko przodujące? Czy wreszcie to częściowe zwyrodnienie objawia się we wszystkich jego sferach? Stoimy wobec zjawiska, grożącego całej przyszłości angielskiego teatru, nie znając przyczyn, które je wywołały, gdyż tylko wejrzenie w nie dokładne pozwoliłoby nam objąć rozmiary zła i uzyskać możność sformułowania pewnego poglądu na dalsze losy niedomagającej tak ciężko sceny. Te przyczyny właśnie chcę rozpatrzyć tu przedewszystkiem.

\*

\*

\*

Zaznaczono już na wstępie, że sytuację obecną przygotowały i kształtowały stulecia, podczas których scena przechodziła kolejno przez wszystkie fazy dekadencji. Cały splot okoliczności współdziałał ku krępowaniu coraz ściślejszymi więzami swobodnego życia sztuki dramatycznej, nie ulega wszelako wątpliwości, że prażródła jej upadku szukać należy w ucisku purytanizmu, który ciążył nad teatrem w ciągu trzech niemal wieków, a do którego przylączył się w XVIII stuleciu ucisk cenzury. Nektórzy z historyków literatury, Edmund Gosse między innymi, próbują wprawdzie zrzucić z niego część odpowiedzialności, opierając się na fakte, iż przewspaniała poezya dramatyczna epoki Elżbietańskiej poczęła już obniżać się w tonie i tracić blask i siłę, zanim jeszcze purytanizm poraził ostatecznie teatr swemi gromami. Argu-

ment to zgola nie przekonywający. Dramat wyczerpał niezaprzeczenie swe soki po dobie niebywalej bujności, której przyświecał potężny geniusz Szekspira w plejadzie wybitnych talentów. Pewien zastój w produkcyi na tem polu były więc rzeczywiście zupełnie zrozumiały, ale jedynie bezwzględność prześladowań, jakim uległ teatr, wytłómaczyć może nieprawdopodobny wprost upadek sztuki dramatycznej. Na to zgodzić się muszą i zgadzają najpobłażliwsi z obrońców purytanizmu.

Krucyata przeciw teatrowi rozpoczęła się w szeregach purytańskich już w końcu szesnastego stulecia, wzrosła jednak do zatrważających rozmiarów dopiero w następnym wieku. Duch surowego ascetyzmu wzbraniał się uznać prawa istnienia sztuki, żyjącej wyłącznie dla własnych celów i nie oglądającej się na zadania dydaktyczno-moralizatorskie. Lecz zainteresowanie się sceną tkwiło tak głęboko w naturze społeczeństwa, że w ciągu paru lat dziesiątków teatry pozostawały jeszcze szczelnie wypełnione, coraz tylko mniej, niestety, doborową publicznością, pozbawioną wyrefinowania i potrzeb estetycznych. Średnie i wyższe klasy zaciągnęły się już były całkowicie pod sztandar purytanizmu, na którego służbie przetrwały po ostatnią dobę.

Dla oddalenia od teatru warstwy małomieszczańskiej, głuchej na ostrzeżenia rzucane z kazalnicy, uciekły się sfery rządzące do środków radykalnych. W r. 1641 Parlament wydał rozporządzenie, zabraniające wszelkich przedstawień publicznych i wzywające do skrucy i upamiętania tych, którzy zwykli byli uczęszczać na tak bezbożne i niemoralne rozrywki. Edykt ten okazał się wszelako jeszcze niewystarczającym, uzupełnił go przeto w roku 1648 tak zwany „act,“ nakazujący zburzenie wszystkich teatrów i oznajmujący, iż ludzie, którzy pełnią czynności aktorów, skazywani będą na chłostę, a widzowie przedstawień teatralnych na kary. Gdy spróbowano, pomimo tych zakazów, odegrać utwór Fletchera pod tytułem „Bloody Brothers,“ aktorzy dostali się do więzienia. Władze traktowały sprawę bardzo poważnie i nie okazywały skłonności do żadnych ustępstw. Taki stan rzeczy trwał przez czas pewien w całej pełni. Dramat, wegetujący w najściślejszem ukryciu, bez wszelkiego zetknięcia się z publicznością, skazany był z góry na zagładę. „Ludzie, którzy nie widzieli żadnej sztuki na scenie w ciągu lat dwudziestu — mówi Edmund Gosse — zapomnieli zgola, czem powinna być sztuka.“ Nic też dziwnego, że w niespełna pół wieku po śmierci Szekspira dramat nęcił już tylko bezdarne przeciętności i zeszedł w bezdeń mierzoty. Sztuka, która doszła w początku stulecia do szczytów do-



skonałości, przestała istnieć już w jego środku. Fakt to jedyny może w swym rodzaju w dziejach literatury.

Gdy wraz z nastaniem Restauracji powiał prąd swobodniejszy i teatru otworzyły znowu swe podwoje <sup>1)</sup> — zjawiło się wnet kilka rodzajów produkcji scenicznej. Były niemi: dramat heroiczny, komedia i farsa. Dramat, naśladowany z Corneille'a i obcy duchowi rasy, zniknął wkrótce z powierzchni, nie puściwszy płodnych szczepów. Ale komedia okryła się niezwykłym blaskiem; cechuje ją jednak taka rozwiązłość i wyuzdanie, że krytyka dzisiejsza zadaje sobie ze zdumieniem pytanie, wobec jakiej publiczności niektóre z jej utworów mogły być grane na scenie. W dobie obecnej cały ten dorobek Restauracji usunięty jest z ojczyścigo teatru. Nawet komedye Wicherley'a i Congreve'a, pomimo wielkich zalet literackich i nawet scenicznych, zjawiają się w nim jedynie od czasu do czasu w zmodyfikowanej silnie postaci. Lecz to podkaszanie Muzy komicznej owej epoki jest aż nadto zrozumiałe: stanowiło ono naturalną zupełnie reakcyę przeciw odrzucenemu wreszcie bezlitosnemu jarzmu purytanizmu. Najświetniejsze talenty, jak dwaj wymienieni wyżej pisarze, uległy też nieuświadomionej może potrzebie protestu, w którego stosowaniu zatracono na nieszczęście wprędce wszelką miarę. To też nim jeszcze stulecie dobiegło końca, nastąpił nowy zwrot opinii: komedya Restauracji zdołała obruszyć przeciw sobie ogół angielski i oddalić od teatru te jego sfery, które nie uległy były poprzednio tyranii zakazów, rozbrzmiewających z ambony. Rozwiązłość tej sztuki umocniła purytanizm silniej w odzyskanych pozycjach, niż zacięta walka, którą toczył poprzednio. W pierwszych dziesiątkach lat XVIII wieku rozgościły się wszechwładnie w teatrach tolerowane przezeń nauczająco tendencyjne utwory—uroczyste kazania raczej, niż sztuki, wiejące śmiertelną nudą, które zdołały zniechęcić do sceny najwytrwalszych jej zwolenników.

Na pomoc purytanizmowi przybyła w owej epoce cenzura. Henryk Fielding, znakomity twórca powieści obyczajowej, próbował początkowo sił swych na polu produkcji scenicznej i wykazał podobno wybitne zdolności w tym kierunku. Gdy jednak w jednej ze swych komedyj ośmielił się schłostać dotkliwą satyrą rządu Jerzego II i gospodarzkę Walpole'a, wszechpotężny minister odpowiedział na jego zuchwałę napaści ustanowieniem cen-

<sup>1)</sup> Niektóre z nich wznowiły już swe przedstawienia w ciągu ostatnich lat Protektoratu, podczas których poczęto tolerować poniekąd teatr.

zury teatralnej. Instytucja ta, zaprowadzona, jak widzimy, z racji politycznych, zmodyfikowała niebawem swój charakter i rozciągnęła równie czujną jak nieinteligentną opiekę nad stroną etyczną poddawanych jej sądowi utworów, w której to roli przetrwała po dzień dzisiejszy. Fielding zaniechał dalszej twórczości scenicznej i zwrócił się całkowicie do powieści, czemu zawdzięczamy może „Josephą Andrews’a,” „Jonathana Wild’a” i „Tom Jones’a.” Ale skojarzone siły purytanizmu i cenzury, stawiające nieprzebyte zapory normalnemu rozwojowi sztuki, odstręczyły od teatru nie jego tylko wyłącznie. Powieść angielska rozkwitła bogato, uprawiana przez cały szereg wybitnych talentów. Teatr pograżył się natomiast w bezprzykładnym upadku. Wiek XVIII jest w dziejach jego okresem całkowitej martwoty. Wiek XIX nie rozpoczął się bynajmniej pod szczęśliwszą gwiazdą. Nieskończenie banalne dramaty pseudoklasyczne trzymały się latami całemi w repertuarze w braku lepszych utworów. Douglas Jerrold zasiliał pomiędzy r. 1830 — 1840 scenę sztukami, które były słabą próbą stworzenia teatru narodowego. „Na nieszczęście — mówi A. Filon — publiczność domagała się w owej epoce ordynarnych fars i przerażających zbrodni. Sztuka, rozpoczęta dobrze, przerażała się w końcu w bezsensowny melodramat.” W szeregach młodej literatury czyniono bezskuteczne również wysiłki dla zapobiegnięcia dalszej dekadencji sceny.

Gusta uczęszczającego do teatru środowiska stawały się rzeczywiście coraz mniej wyszukane. Audytoryum dostarczały przede wszystkim sfery młodej demokracji, które bill o reformach wprowadził w r. 1832 na arenę życia publicznego. Sfery te nie liczyły się wprawdzie z wyrokami i przesądami purytanizmu, ale też stanowiły pierwotną zupełnie publiczność o niewyrobnym smaku. Dążąc do zadowolenia jej, teatr począł karmić się fabrykatami scenicznymi, których bezgranicznej wulgarności nie ratowały, niestety, żadne błyski talentu. Poziom widowisk obniżył się niesłychanie.

Sytuację pogorszyło jeszcze, wraz ze wstąpieniem na tron królowej Wiktorji, wzmoczenie się w społeczeństwie ducha purytanizmu. Powstawały jedno za drugim stowarzyszenia chrześcijańskie, rozwijające energiczną akcję w celu odciągnięcia młodzieży roboczej od teatru i podobnych jemu rozrywek. Sfery wielkomieszczańskie i arystokratyczne, które nie nawiedzały go już, darzyły, za przykładem królowej, swymi względami Operę, dającą w „Covent Garden” przedstawienia w ciągu wiosennych miesięcy i nie pogardzały pantomimą, której panowanie rozpoczynało się

od Nowego Roku i trwało przez część zimy. W teatrach rozgościły się wszechwładnie najnieprawdopodobniejsze melodramaty, farsy i burleski — rodzaj komicznych fantazji muzycznych, z których powstała w następstwie operetka. W połowie ubiegłego stulecia scena staje się widownią takich produkcji, jak hippodramaty — najniższego gatunku parodye sztuki, w których konie grały główne role. Dekadencya jej nie mogła już posunąć się dalej.

Uwidocznili się ona wyraźniej jeszcze, gdy przypomnimy, że nawet te beznadziejnie przygnębiające utwory, jakie grasowały wówczas na scenie, nie były w znacznej części wypadków dziełem wyobraźni miejscowych autorów, lecz jedynie nędznymi nad wyraz przeróbkami sztuk francuskich, które przeradzały się pod piórem nieudolnych plagiatorów, szukających najjaskrawszych efektów, w ohydne jakieś karykatury. W świecie teatralnym krążyła charakterystyczna legenda, opiewająca, iż dyrektor jednej ze scen trzyma w zamknięciu więziennem nieszczęsną ofiarę, na której spoczywa ciężkie zadanie tłumaczenia i parodjowania sztuk francuskich, bez wytchnienia i wypoczynku. Pojęcie własności literackiej istniało w nader nieokreślonej formie. Autor cudzoziemski posiadał ją wobec swego utworu na lat pięć, adaptacja jednak nie była wzbroniona. Korzystając z tego, „dostawcy“ teatrów angielskich poczęli praktykować ją w szerokim zakresie. Dopiero prawo r. 1875, utożsamiające przeróbkę z przekładem, położyło pewną tamę tej rabunkowej gospodarce na gruntach sąsiada, a konwencya berneńska uzupełniła w dwanaście lat później jego dzieło. Dodam, iż skutki tego ograniczenia, nałożonego na korzystanie z produkcji dramatycznej obcokrajowej, miało dla sztuki angielskiej następstwa ze wszech miar dodatnie, pobudzając twórczość miejscowych autorów.

\*

\*

\*

W tej niepomiernej długiej dobie upadku teatru nawet kult Szekspira nie przechował się w ciągłości po przez następujące po sobie pokolenia. Dopiero w ośmnastym stuleciu krytyka poczęła sobie właściwie zdawać sprawę z potęgi jego geniuszu, jednocześnie zaś Garrick wskrzesił go na scenie z całą magią swjej zdumiewającej interpretacyi. Spadkobiercami tradycyi wielkiego aktora

byli Kemble i Mrs. Siddons, po których przychodzą w trzecim dziesiątku lat XIX wieku Kean i Macready, Hazlitt i Coleridge, tymczasem stojący w rzędzie przywódców nowej krytyki literackiej, przedstawiają Szekspira społeczeństwu we właściwym świetle. Gdy jednak Macready usunął się w r. 1851 ze sceny <sup>1)</sup>, nad której podniesieniem moralnym i estetycznym pracował przez całe życie z gorącym oddaniem i niepożytą energią — wielki Will zniknął z teatrów stołecznych, gdzie jedynie siła dwóch wybitnych talentów pozwalała mu walczyć z zatrważającą konkurencją hipodramatów. Pod pieczę Phelpsa, aktora dobrego, który dał nie raz świadectwo szczęśliwej intuicji, lecz nie dorównywał swym świetnym poprzednikom, wyemigrował na dalekie przedmieście, kędy pędził niepewne i zmienne losy aż do chwili, gdy Irving uczynił ze sceny „Lyceum“ wspaniałą przybytek jego chwały.

Nieźródnany artysta podejmował od r. 1874 po sam koniec swej długiej i płodnej kariery wszystkie wielkie role szekspirowskiego repertuaru. Nie we wszystkich zbierał jednakowe laury, lecz w każdej kładł jednaką pracę twórczą i jednaką dbałość o wywołanie przez inteligentnie obmyślaną inscenizację tej atmosfery, która nadaje dziełu sztuki intensywne życie. Szekspir odzyskał w jego wykonaniu swe zapoznane prawa i począł święcić tryumfy, które wywołały w prasie angielskiej słuszną uwagę, iż „z pomiędzy dramaturgów dnia“ genialny Will nietylko „cieszy się największem powodzeniem,“ ale jeszcze „stawszy się sam znowu modnym, wskrzesił modę uczęszczania do teatru.“

Tak działo się rzeczywiście. Szekspir — za sprawą i współdziałaniem Irvinga — dał impuls do głębszego zainteresowania się sceną. Sfery inteligencji purytańskiej, które przez czas tak długie stroniły były od teatru, podążyły tłumnie do „Lyceum,“ dokąd przyciągała je w jednakiej mierze sztuka i jej interpretacja. Nie pospolita indywidualność artysty, która wywierała zarówno w bliższym z nim zetknięciu, jak z desek sceny, działanie wprost magnetyczne, zdołała zwalczyć uprzedzenia najwięcej zdecydowanych przeciwników widowisk teatralnych. W ciągu ostatnich lat dwudziestu ubiegłego stulecia był on w całym tego słowa znaczeniu królem sceny, wyrastającym kulturą umysłu i wysokim wzlotem ideowym nad wszystkie współczesne mu jej sławy. Nadanie mu godności baroneta, będące samo w sobie rzeczą niezmiernie małej wagi, nabiera jednak szczególnej doniosłości, gdy uprzytomnimy

<sup>1)</sup> Kean umarł już był wówczas od lat kilkunastu.

sobie, że podobne odznaczenie spotkało w jego osobie po raz pierwszy w Anglii artystę dramatycznego. Giest królowej, nagradzający zasługi wielkiego odtwórcy Szekspira, powracał teatrowi, będącemu prawdziwym przybytkiem sztuki, to stanowisko, którego teatr ten nie powinien był utracić nigdy w społeczeństwie.

Zaznaczyć tu należy, że dobę „revivalu“ szekspirowskiego poprzedziło już było pewne uszlachetnienie produkcji scenicznej. Ogólny wzrost kultury nie mógł, bądź co bądź, pozostać całkowicie bez wpływu na podniesienie potrzeb estetycznych publiczności. Burleski i farsy poczęły wydawać się niektórym jej warstwom zbyt ordynarną strawą. Jej ideały artystyczne nie sięgały zresztą daleko i wyrażały się wyłącznie w żądaniu od sztuki pewnego uczucia, większej niż dotąd dyskrety i miary, sprawniejszego dyalogu, okraszzonego błyskami dowcipu. Nie przeszkadzała jej też zbyt satura społeczna, o ile tylko nie wypowiadała się w ostrej formie. Wymaganiom tym uczyniły zadość z jednej strony utwory Wiliama Robertson'a, którego repertuar panował niepodzielnie w teatrze „Prince of Wales“ przez długie lata, z drugiej, sztuki Gilberta, pisarza o wręcz odmiennym temperamencie twórczym i wyższej organizacji duchowej, lecz mniej bezpośrednim i szczerym talencie. Komedye Robertsona zapoczątkowały w teatrze nowy okres, który krytyka następnego pokolenia ochrzciła mianem „ery“ Robertsonowskiej. Jest w nich zmysł obserwacyjny, psychologia dość nieskomplikowana, lecz prawdziwa, spora doza realizmu kojarzącego się we właściwy angielskiej rasie sposób z pewną poezją, dużo humoru i fantazyi. Gilbert był przeciwnie dyalektykiem, lubującym się w dość paradoksalnej refleksji filozoficznej, przybranej w wyszukaną formę. W komedjach jego tkwi nieraz głęboka satyra, ironia jej jest jednak często zbyt subtelna dla przeciętnego widza. Uznanie tego ostatniego zdobył sobie pisarz dopiero fantazyami scenicznymi, do których Sullivan dorabiał muzykę. Ze współpracownictwa tych dwojga powstał specjalny rodzaj opery komicznej, która uzyskała w Anglii olbrzymią popularność. Po dziś dzień niektóre ich utwory powracają na scenę, gdzie czynią już jednak tylko wrażenie bladych mar zanikłej przeszłości.

\*

\*

\*

Ewolucya kulturalna społeczeństwa, której pierwszym wyrazem w dziedzinie teatru były dzieła Robertsona i Gilberta, odbić się musiała również na upośledzonej dotąd niezmiernie krytyce dramatycznej. W epoce beznadziejnego upadku sceny krytyka ta wegetowała w równem, jak ona, poniżeniu, usunięta na ostatnią kolumnę dzienników i powierzona niedoświadczonemu pióru młodych dziennikarzy, próbujących dopiero sił swych w zawodzie publicystycznym. Wyrażenie niezależnej opinii, o ile opinia ta nie była bezwzględnie chwalebna, ściągало na nich gromy oburzenia właścicieli utworów i samychże kierowników pism, przepełnionych lękiem wobec perspektywy odpowiedzialności sądowej, grożącej im za zbyt surową ocenę. Nie zapominajmy bowiem, że teatr był i pozostaje nadal w Anglii *przedsiębiorstwem handlowem*, skłonny, jako takie, do oddawania się pod opiekę prawa, ilekroć czuje się pokrzywdzonym w swych interesach z tej czy innej racy. Nie tak dalekimi czasy, gdy niejaki Chatterton, który z wóznego teatralnego wyrósł na właściciela trzech rzekomych przybytków sztuki, odmówił znanemu krytykowi Clementowi Scott'owi wstępu do swych „zakładów,“ czując się dotkniętym jego sprawozdaniami z dawanych przedstawień i domagał się od redaktora *Weekly Dispatch'u* wydalenia go ze swego pisma. Aktorzy pozowali przed trybunały recenzentów, którzy, zdaniem ich, nie obchodzili się z nimi zbyt wyrozumiale. Obyczaje te przetrwały w pewnej mierze aż po dni nasze. Na żądanie Jones'a, który występuje sam, jako reformator i odnowiciel sceny, dyrektor „*Criterion'u*“ zamknął przed krytykiem *Times'a* podwoje swego teatru ze względu na niedość pochwalny charakter sprawozdań wymienionego krytyka. Przytoczę jeszcze jeden przykład. Nie dalej, jak w r. 1903, rozegrał się głośny proces pomiędzy kampanią, do której należy jeden z teatrów operetkowych, a wychodzącym w Plymouth pismem *The Western Morning News* z powodu ostrej recenzji o niepomiernie nędznej sztuce, wystawionej w tym teatrze. W pierwszej instancji jury orzekło, iż gazeta „wmieszała się niesłusznie w sprawy prywatnego przedsiębiorstwa,“ narażając je swą krytyką na materialne straty. Ale pismo podjęło sprawę ponownie, mając za sobą moralne i materialne poparcie całej prasy, pojmującej wreszcie, jak niebezpieczny dla jej niezależności profesjonalnej precedens stworzyłoby przyjęcie bez protestu podobnego wyroku. Tym razem zwycięstwo pozostało po stronie dziennika, sam jednak fakt podobnego procesu świadczy, do jakiego stopnia swoboda sądu w rzeczach teatru skrepowana jest jeszcze w Anglii.

Lubo jednak krytyka liczyć się musi nadal z pretensjami autorów i kompanij teatralnych, stanowisko jej moralne i zakres jej wpływu na społeczeństwo podniosły się znacznie w ciągu ostatnich lat trzydziestu. Kilku pisarzy „ery“ robertsonowskiej, między innymi wymieniony już Clement Scott, rozpoczęło pracę nad urabianiem smaku publiczności, ale dopiero William Archer, najlepszy z przedstawicieli krytyki dramatycznej ostatnich lat dziesiątków, podjął ją z isticie apostołskim zapałem. Pisarz ten, posiadający wysoką kulturę literacką i ogromną erudycję, stał się wobec swych współczesnych prawdziwym inicjatorem, wyjaśniając im cele i zadania sztuki teatralnej i zapoznając ich z jej kierunkami i prądami w terażniejszości i przeszłości. Nikt nie dokonał więcej odeń wyłomów w dziewiczym lesie przesądów, które w kwestjach, dotyczących teatru, zamraczały tak długo mózgi jego współrodaków. Trudno byłoby zgodzić się na wiele z jego nazbyt pobłażliwych sądów o dzisiejszej twórczości dramatycznej angielskiej—ale niepodobna nie uznać ogromnych zasług, jakie położył, kształcąc ogólnie gust publiczności i rozszerzając jej widnokręgi estetyczne.

Wspólnie z Edmundem Gosse zapoznał Archer swą ojczyznę z literaturą dramatyczną Północy, nieskończenie bliższą rasie charakterem i duchem, równie jak metodą artystyczną, stosowaną przez swych najwybitniejszych przedstawicieli, niż sztuka francuska, kopiowana wciąż jeszcze i przeszczepiana uparcie na grunt angielski. Gdy Gosse „odkrył“ pierwszy swemu społeczeństwu pisarzy Północy, a przede wszystkim Ibsena, Archer dokonał całego szeregu doskonałych przekładów z jego utworów i stanął na czele tych, którzy pokazali go angielskiej publiczności z desek sceny, pomimo wszelkich przeszkód, gromadzonych na ich drodze. Wysiłki jego popierał między innymi Bernard Shaw, który w epoce najgorętszej kampanii Ibsenowskiej zasiliał jedno z pism codziennych swemi krytykami, pełnemi potężnej werwy. Nie przeszkodziło mu to, co prawda, skarykaturować w parę lat później Ibsenizm w specyalnej sztuce <sup>1)</sup>.

Dyrektorzy teatrów lękali się oczywiście, jak ognia, autora, „nie robiącego kasy,“ dzięki czemu, dla wystawienia utworów Ibsena, powstała w r. 1889 pod nazwą *New Theatre* pierwsza w Anglii próba wolnej sceny. Nowatorskie dążności teatru nie poszły

---

<sup>1)</sup> „The Philanderes,“ przyswojona naszej scenie p. t. „Klub Ibsena.“

jednak dalej nad „Norę.“ Ze sztuką tą, skróconą i zmodyfikowaną, trupa objechała główne miasta prowincyi; doznawszy wszakże całkowitego niepowodzenia ze strony publiczności, przywykłej do melodramatów, została rozwiązana po bardzo krótkim istnieniu. Ale nadany raz impuls działał w dalszym ciągu. Pionierzy niezależnej sztuki stworzyli nowy jej przybytek „Independent Theatre,“ który wystąpił z „Widmami“ (1892 r.), a niezadługo potem z pierwszą sztuką Bernarda Shaw p. t. „Widowers Houses“ („Domy wdowy“), która wywołała straszliwą burzę w prasie i publiczności. Teatr wegetował bardzo mozolnie, popierany przez szczupłą garstkę zwolenników, walcząc z nieprzychylnem, a w najlepszym razie obojętnem zachowaniem się ogółu.

Ciekawe stanowisko zajęła wobec tej sceny cenzura. „King's Reader,“ który przewodził jej losom w epoce otworzenia pierwszych teatrów niezależnych, żywił niezłomne przeświadczenie, iż Ibsen postawił sobie za wyłączne zadanie znieprawianie umysłów najprzewrotniejszemi teoryjami. Pragnąc tedy uchronić swych współrodaków od tak zgubnych wpływów, dygnitarz ten, przejęty poczuciem ciężającej na nim odpowiedzialności moralnej, złożył w parlamencie petycję z żądaniem, ażeby *Independent Theatre* miał jedynie prawo sprzedawania biletów sezonowych, licząc, że zacieśni w taki sposób sferę destrukcyjnej akcji utworów norweskiego pisarza.

Duch, który ożywiał tego gorliwego stróża obyczajności angielskiej, działa dalej w całej pełni i objawił się w ciągu kilku lat ostatnich w odrzuceniu przez cenzurę utworów Maeterlincka („Monna Vanna“), Briéuxa, Hervieu'go, Bernarda Shaw i innych. Przed sztuką, szukającą nowych formuł artystycznych lub rzucającą rękawicę fałszywej pruderyi Mrs. Grundy, otwarte są dziś, jak kilkanaście lat temu, jedynie wolne sceny, nie posiadające najczęściej nawet własnego domostwa i przenoszące wciąż swe penaty z jednej sali przedstawieniowej do drugiej. Jeśli bowiem nawet dzieła tej kategorii spotykają się z przypadkową względnością cenzora — odrzuci je wówczas napewno dyrektor teatru z racyj dochodowych. Kierownicy scen, umiejący wznieść się czasem nad kwestyę zysków i starający się zwalczać przesady publiczności i kształcić jej smak, zamiast mu schlebiać, stanowili dotąd niezmiernie rzadkie wyjątki.

Managerowie Court-Theatre'u wprowadzili od pewnego czasu na swą scenę repertuar Bernarda Shaw i paru wyróżniających się wyższym gatunkiem produkcji pisarzy, jak John Galsworthy, St. John Hankin i t. d. Do niedawna jednak jeden tylko Beer-



bohm Tree odważał się na wystawianie sztuk, których autorowie liczyli się nie z wymaganiami sali, lecz z własną potrzebą wewnętrzną i własnym ideałem piękna.

\*

\*

\*

Ogół pisarzy dramatycznych angielskich ideału tego stawiać sobie nawet nie próbuje i dostarcza publiczności gatunku i rodzaju „towaru“ teatralnego, odpowiadającego ściśle jej „zapotrzebowaniu.“ W tem przedsięwzięciu handlowem wszystko traktowane jest ze stanowiska interesu. Na straży jego stoją trzy siły: dyrektor, dla którego bilans roczny jest regulatorem kwestyi sztuki, publiczność, której bezpośredni nacisk kieruje krokami tego dyrektora, wreszcie cenzor, przeoczący z niezrównanem krótkowidztwem wszystko, co z tych lub owych powodów dałoby się rzeczywiście podciągnąć pod rubrykę wykroczeń przeciw moralności, by znęcać się nad dziełami o szerszym zakresie ideowym, podejmującami zagadnienia, którym purytanim nie chce spoglądać prosto w oczy. Wobec tak utrudnionych warunków produkcji, niepodobna nawet potępiać bezwzględnie autorów, którzy, ulegając zbyt ponętnej pokusie zarobków i łatwego powodzenia, wyrzekają się wyższych dążeń artystycznych. Pisarze, nie pozbawieni głębszego zmysłu obserwacyjnego i subtelności wyczucia, schodzą tu częściej niż gdziekolwiek, do poziomu rzemiosła, odwracając się od stromych i kamienistych dróg, które prowadzą na wyżyny sztuki.

Najgłośniejszymi autorami dramatycznymi Anglii w ciągu ostatnich lat 25-iu byli Sydney Grundy, Artur Jones i Artur Wing Pinero. Sława Bernarda Shaw jest o wiele późniejsza, a Oskar Wilde nie zdołał dać pełnej miary swego talentu w kierunku twórczości scenicznej. William Archer wyraża dla tej trójcy najgłębsze uznanie, przypisując szczególną doniosłość utworom Jones'a i Artura Pinero, którego sztukę „The Second Mrs. Tanqueray“ (1893 r.) uważa za epokowe wprost zjawisko. „Wraz z ukazaniem się tego dzieła—mówi—współczesny dramat angielski przestał być zwyczajnym produktem ojczyzmy i zajął określone miejsce w dorobku literackim Europy.“ Zarówno w tym wypadku, jak w ogólnej

ocenie produkcji scenicznej owych pierwszych rzekomych pionierów odrodzenia sceny angielskiej, znakomity krytyk uległ zrozumiałemu aż nadto złudzeniu, potomność jednak nie potwierdzi z pewnością jego zdania. Utwory każdego z trzech wymienionych autorów posiadają niezaprzeczenie o wiele wyższą wartość pisarską, niż ogół dzieł, które zasilają scenę w poprzednich okresach, daremnie wszakże doszukiwalibyśmy się w nich tych nowych pierwiastków twórczych, które dopiero nadają dziełom sztuki doniosłość literacką i artystyczną, lub też tego śmiałego zerwania z rutyną i przepisami zdawkowej etyki, które widzi w nich Archer. Wszyscy trzej pracowali dla scen, nawiedzanych przez sfery wysokiej burżuazji („upper middle classes“). Nastrój tych sfer uległ od pewnego czasu dość widocznej zmianie, powodując je do zaniechania bezwzględnej bojkotu teatru. Ale duch, który je ożywiał, nie wygasł w nich jeszcze i nie wygaśnie może nigdy. Zacieśnia on ich horyzonty i nakazuje im odżegnywać się trwożliwie przed całą bogatą dziedziną zagadnień społecznych i objawów życia psychicznego. W teatrze, do którego uczęszczają, pragną znaleźć konkretny wyraz swych sympatyj i dążeń i usprawiedliwienie swych przesądów. Twórczość autorów zależna jest więc od ich światopoglądów. Utwory Grundy'ego, Jones'a, a szczególnie Pinero noszą wyraźną cechę tej zależności i z tego właśnie względu przedstawiają ciekawe i charakterystyczne dokumenty, w których odbija się, świadomie lub nieświadomie dla autorów, ideologia całej klasy społecznej.

Gdy przypatrzymy się dobytkowi pisarskiemu Sydneya Grundy'ego, pierwszego z trzech w porządku chronologicznym, musimy stwierdzić, że składają się nań przeważnie adaptacje sztuk francuskiego repertuaru. Powodzenie jednej skazało go podobno na cały szereg innych. Procederów i techniki rzemiosła scenicznego uczył się od Labiche'a, Scribe'go i Sardou, od nich też zapożyczał tematów, których szukał zresztą również u Dumas'a ojca i Feuillet'a. W rozwijaniu tych tematów okazał wysokie zalety pisarskie, biorąc bowiem ze swych wzorów najczęściej jedynie osnowę, dokonywał w następstwie pracy całkowicie prawie osobistej i bardzo udatnej. Adaptacje jego stoją nieraz wyżej od utworów, w których czerpały swe założenie; cały jednak niezaprzeczoną talent pisarza nie mógł tełnąć prądu życia w sztukę, tak już dziś nam obcą, z jej powierzchownościami, lub zgoła fałszywymi uczuciami i wzruszeniami, z jej uganianiem się za sentymentalną leżką i efektownym zwrotem. Najwięcej odbił się na Grundy'm wpływ Scribe'go, który nałożył piętno nawet na jego

oryginalne utwory. Świadczy to dostatecznie, jak dalecy tu jesteście od „nowego słowa“ w sztuce.

Grundy jednak mógł dać z siebie więcej znacznie. Dowiódł tego w dramacie p. t. *The greatest of these*, gdzie wyzwolił się całkowicie z tyranii naśladownictwa, a jednocześnie podjął śmiało zagadnienie, które nasunęło mu samo życie: odważył się zmierzyć z purytaniem i potępić jego twardą bezwzględność, urabiającą specjalnie dusze i zamykającą serca na głos litości. Mrs. Armitage, bohaterka dramatu, jest żoną typowego purytanina, którego surowa cnota i brak wszelkich porywów uczyniły współżycie jej z nim długą męką. „Nie wiem, Janie—mówi doń, postanowiwszy opuścić ognisko domowe, przy którym nie zaznała nigdy szczęścia — czy popełniłeś kiedykolwiek dobrowolnie zły czyn, lub powiedziałeś przykre słowo; lecz cnota, czysta cnota, która nie umie być niczem innym, może wzbudzić większą nad wszystko nienawiść. Próbowałam ją ukochać, lecz to toż samo, co chceć ukochać posąg. Pocałunek jej mrozi do głębi duszy, a co gorsza, bunt w niej nieci. Twoja cnota, twój honor, twoja prawość, na które patrzyłam tak długo, ścinają mi krew w żyłach. Obecnie, po 22 latach małżeństwa, pewna jestem, Janie, że niema na świecie więcej niebezpiecznego typu maniaka nad tak zwanego uczciwego człowieka, widzącego przed sobą jedynie spełnienie obowiązku. Taki człowiek nie cofnie się przed niczem, zabiłby nawet własne dziecko.“

Wobec zaznaczonych wyżej warunków twórczości, musimy poczytać Grundy'emu za akt prawdziwej zasługi, iż sięgnął tak odważnie samego jądra najdotkliwszej bolączki życia angielskiego, łącząc z swem założeniem kwestyę ogólnej doniosłości: konflikt pomiędzy obowiązkiem i uczuciem. Głos serca zwycięża wkońcu; purytanin wznosi się wobec żony, która opuściła go i zbłądziła, na wyżyny przebaczenia, zrozumiałwszy, iż jest ono z cnót największą. Podobne rozwiązanie nie zgadza się, co prawda, z logiką purytanizmu, broniącego się czujnie od dawania posłuchu niebezpiecznym podszeptom uczucia; odpowiada natomiast objawiającej się w mniejszym lub większym stopniu we wszystkich utworach pisarza potrzebie wyrozumialszej jakiejś moralności, dla której zadośćuczynienie ustalonej zasadzie nie jest jeszcze najwyższą dyrektywą działania. Dążność ta wprowadza w niektóre jego postaci głębsze i zarazem szersze życie, niż to, które pulsuje wogóle w konwencyonalnych maryonetkach teatru Scribe'go, przeniesionych przezeń na angielską scenę. Przez nią jedynie wnosi twórczość Grundy'ego pewną nową nutę. Żalować

w każdym razie należy, że po napisaniu „The greatest of these“ powrócił autor do adaptacji i tak zwanych „lighter works“—sztuk o wspaniałych dekoracjach, nieprawdopodobnych wydarzeniach i stereotypowych postaciach, zapominając dobrowolnie, że może być nie tylko grzecznym pracownikiem, lecz i dobrym pisarzem dramatycznym.

Przyjrzyjmy się teraz produkcji Artura Pinero, który był aż po ostatnią dobę najwięcej faworyzowanym z pomiędzy żyjących autorów dramatycznych angielskich. Archer nie tylko rozpoczął od „Drugiej Mrs. Tanqueray“ nową erę w historii teatru angielskiego, ale odkrył również w utworach pisarza „Golkondę nowych myśli.“ Tymczasem zawiedlibyśmy się, szukając ich nawet w tej niezaprzeczonej najlepszej jego sztuce. Pinero pokazuje w niej eks-kurtyzanę wyższego typu i szlachetniejszego kroju, którą małżeństwo przeniosło na grunt tak zwanej regularnej egzystencji, nie stwarzając jej jednocześnie żadnego środowiska. Sąsiedzi i dawni przyjaciele męża odsuwają się od pary małżeńskiej, skazując ją na całkowite odosobnienie, oddziaływające fatalnie na młodą kobietę, przywykłą do licznego otoczenia i ciągłej zmienności wrażeń i przypominające jej, że przeszłość nie przestanie nigdy ciążyć nad nią swem brzemieniem. Jedyne tkliwe oddanie Aubrey'a Tanqueray dostarcza jej pewnej kompensaty, natomiast córka jego z pierwszego małżeństwa, przepojona zasadami towarzyskiej „respectability“ Ellean czuje w niej instynktownie kobietę z innej gliny moralnej, wnoszącą w poważne ognisko domowe jakąś nieokreśloną, a podejrzaną dla niej atmosferę kaprysu, bezładu i fantazyi i odrzuca z lodowatą obojętnością, a nawet wyraźnym wstrętem, wszelkie objawy jej bezinteresownego zupełnie uczucia.

Sytuacja komplikuje się jeszcze, gdy serce młodej dziewczyny zdobywa człowiek, w którym Mrs. Tanqueray poznaje jednego ze swych dawnych kochanków. Ten ostatni z szeregu faktów, wykazujących jej brutalnie, iż nie rozstanie się nigdy z nieubłaganymi marami dni minionych, które czynią z niej minowolną sprawczynią własnego i cudzego nieszczęścia (małżeństwo młodej pary zostaje zerwane)—przepięła miarę goryczy. Paola Tanqueray świadczy swym tragicznym końcem, iż dla kurtyzany niema miejsca w ucziwem „home,“ lubo autor wzbrania się, by chciał przeprowadzić jakąkolwiek tezę. Myśl, jak widzimy, bynajmniej nie nowa, ani też śmiała i oryginalna. Publiczności angielskiej nie przypadło jednak do gustu rozwiązanie sztuki: publiczność ta nie lubi smutnych zakończeń i żywiła szczery żal do swego ulubieńca za podobne wyłamanie się z pod despotyzmu jej wyma-

gań. Autor zadowolniłby ją dopiero, wprowadzając Paolę na drogę pokuty i skruchy.

Lubo nie przypisujemy temu utworowi przełomowego znaczenia, należy przyznać mu niemniej wysokie zalety sceniczne i literackie; umiejętną fakturę, doskonałe stopniowanie napięcia dramatycznego akcji, żywy i wytworny dyalog. Bohaterka jest istotą z krwi, ciała i nerwów, w której drga intensywne życie. Szkoda, że nie można powiedzieć tegoż o innych postaciach sztuki, skreślonych bezbarwnie i szablonowo. Bałwochwalczy kult dla tytułu i wysokiego stanowiska społecznego, który dzieli z nim zresztą i którego wymaga nawet odeń jego audytoryum, zamracza całkowicie w odmalowywaniu ich jasność obserwacji psychologicznej pisarza.

Ta małomieszczańska słabość dla tak zwanego „świata“ występuje niezmiernie silnie we wszystkich utworach Pinero, przecząc jaknajwymowniej opinii Archera o niezależności jego sądu i oryginalności umysłu. Sztuki, poprzedzające „Mrs. Tanqueray“, jak „The Magistrate“, „The Amazons“, i wspomniana już wyżej „Sweet Lavender“, która stała się dla autora źródłem niewyczerpanych dochodów — przedstawiają wogóle nieskończenie banalne produkcyje ku rozrywce tłumów, lub wywołaniu z pod powieki sentymentalnej łezki. W późniejszych utworach znajdujemy lepsze opanowanie środkami scenicznymi i uwydatnienie przymiotów pisarskich. Ilekroć jednak próbuje Pinero podjąć szersze zagadnienia społeczne, jak np. kwestyę wyzwolenia kobiety i jej protestu przeciw istniejącym warunkom współżycia małżeńskiego, które dostarczają tematu do „The notorious Mrs. Ebbsmith“ (1895 r.) i jednego z ostatnich dzieł jego „His House in Order“, zabarwionego reminiscencyami „Nory“ — wykazuje wnet całą swą niezdolność do głębszego ich przemyślenia i ujęcia i całą uległość „zasadom“ środowiska, dla którego tworzy. Mrs. Ebbsmith np. jest pełną zapału i wiary w swe cele agitatorką, zbuntowaną przeciw wszystkim formom ucisku społecznego i propagującą przykładem swe teoryje wolnego związku z doboru duchowego. I oto wystarcza, że wybrany przez nią człowiek zawodzi jej ideał moralny, by wnet dokonało się w niej zasadnicze przeistoczenie. Za radą cnotliwej i bogobojnej przyjaciółki, schroni się do dalekiej wioski wybrzeża, gdzie z biblią w rękę będzie rozmyślała o przeszłości. „Gdy nauczę się modlić, Łukaszu — mówi w zakończeniu do swego eks-towarzysza istnienia — będę wspominała cię w modlitwach do końca życia.“ Pinero jest pisarzem zręcznym i zdolnym, nie wyrasta jednak pojęciami po nad wązki zakres ideowy

sfery średnio i wielko-mieszczańskiej. Interesować też może głównie jako typowy wyraziciel jej poglądów.

Pozostaje mi pokazać w zasadniczych jej zarysach twórczość Henryka Artura Jones'a, trzeciej z podstawowych sił repertuaru głównych scen angielskich w ostatnim okresie ich istnienia. Jones jest nie tylko autorem całego szeregu utworów scenicznych, cieszących się wielkiem powodzeniem, lecz i teoretykiem odnowienia ojczystej sztuki dramatycznej. Poglądy swe na jej stan obecny i perspektywy jej przyszłych losów streszcza od lat kilkunastu w studyach i konferencyach, wygłaszanych z tej i tamtej strony oceanu, których część złożyła się na dzieło p. t. „The Renaissance of the Drama.“ Teatr stanowi dlań jeden z organów życia narodowego i to organów najważniejszych, równie niezbędnych w kraju cywilizowanym, jak trybuna publiczna i prasa. Rasa angielska posiada, zdaniem Jones'a, jako rasa czynu, wszystkie pierwiastki, sprzyjające rozkwitowi dramatu; jej instynkt artystyczny znalazłby na scenie najwłaściwsze ujęcie. To też pisarz żywi przeświadczenie, że wraz z usunięciem przeszkód, tamujących swobodny rozwój teatru, może i powinien nastąpić w jego dziejach nowy okres twórczy. By jednak sztuka mogła kroczyć własnymi drogami, nie oglądając się na żadne względy uboczne, i „tworzyć piękno czerpiąc natchnienie w prawdzie“ — trzeba dokonać niejednego wyłomu w chińskim murze przesądów, którym purytanizm, podtrzymywany przez hipokryzję, odgradza się od najwięcej naglących zagadnień duchowych i społecznych.

Tak przemawia teoretyk. Zdawałoby się, że autor dramatyczny dążyć będzie konsekwentnie w swej twórczości do przeprowadzenia głoszonych przezeń zasad. Ale powodzenie sceniczne nęciło prawdopodobnie Jones'a w sposób tak nieprzeparty, że nie zawahał się wejść, gwoli zdobycia go, na drogę połowicznych ustępstw wobec sprzymierzonych potęg nietolerancyi obyczajowej i religijnej, które urabiały w jego ojczyźnie w ciągu stuleci życie i tryb myślenia. Jones począł budować kompromisowe mosty porozumienia pomiędzy zasadniczo sprzecznymi pierwiastkami i naginać swą ideologię do ciasnych wymagań *cant'u*, wprowadzając jednocześnie do swych utworów szablonowe typy ulubionych bohaterów publiczności. Jedynie w „Saints and Sinners“ („Święci i grzesznicy“) i „The Triumph of the Philistines“ umiał zachować poniekąd odwagę swych przekonań. Mówię poniekąd, gdyż, pomimo pozornej niezależności duchowej, uląkł się zasadniczego pogłębiania podjętych przez się kwestyj. Podjąwszy

w nich walkę z purytanizmem, ograniczył się na częściowym tylko ujawnieniu spustoszeń moralnych, jakie duch jego szerzy w społeczeństwie: na ujawnieniu mianowicie jego wpływu na te jedynie sfery, które stoją poza obrębem publiczności, nawiedzającej teatry, zasilane przez jego produkcję dramatyczną. W kilku innych utworach, jak „Judah“, „The Crusaders“, „The Liars“ miewa szczęśliwe bardzo momenty, ironię, trafiającą dobrze do celu, dużą przenikliwość. W ogólnem jednak przeprowadzeniu sztuki te, zarówno jak cały szereg innych utworów autora, zawodzą nadzieje, jakie pokładali w pisarzu szermierze „nowej“ sztuki.

Na całokształcie produkcji pisarza ciąży zresztą w pewnej mierze pierwotny grzech jego temperamentu twórczego.

Teoretycznie domaga się Jones z całą energią postawienia dramatu, który jest najwyższą formą sztuki na właściwym mu poziomie, a więc ścisłego odgraniczenia go od rozległej bardzo kategorii utworów popularnych, dających mało wybrednej publiczności pierwotną dość strawę. W praktyce jednak nie umie pozbyć się sam dążności do takiej właśnie sztuki. Działalność swą sceniczną rozpoczął od melodramatów, przejawiających nieprawdopodobnymi efektami, („Silver King“) i powraca do tego rodzaju produkcji po utworach najszlachetniejszych w duchu i treści. Pierwiastek melodramatyczny przesnuwa się przez jego twórczość powracającą wciąż nutą. Stąd częsty brak umotywowania sytuacji i charakterów. W stosowaniu podobnych środków scenicznych niezbędna jest wielka miara. Gdy pisarz ją przekracza, to co było przed chwilą pewnem wybudowaniem fantazyi, staje się absurdem.

Jakkolwiek wszakże nie jest Jones tym reformatorem teatru, za którego sam się głosi, nie mniej jednak odegrał w jego ruchu odnowczym niezrównanie donioślejszą rolę niż Sydney Grundy i Pinero, choć obydwaj pisarze górują nad nim umiejętnością konstrukcyi i przymiotami stylu. Jones przywiązuje mało bardzo wagi do budowy sztuki i obawia się wprost zbytnej zręczności architektonicznej, trącej procederem. Jest natomiast o wiele oryginalniejszy i ciekawszy niż ci dwaj jego współcześni, znacznie szerszy od nich w ujęciu. Umie, nie używając się na sprawne kopiowanie podpatrzonych z drobiazgową dokładnością szczegółów, podkreślić nieraz i uwypuklić te cechy natury, które składają się na typ gatunku. Jest wreszcie najwyraźniejszym z tych trzech przedstawicielem swej rasy—tym, w którego utworach przemawiają najgłośniej charakterystyczne pierwiastki temperamentu

Anglo-Sasów: zespół rzeczywistości z marzeniem, które splatają się w tak różnorodne kombinacje w tym narodzie piratów i poetów, ludzi wyobraźni i ludzi czynu.

\*

\*

\*

Bliższe nieco wejrzenie w twórczość Pinero i Jones'a wydało mi się niezbędnem ze względu na rolę, jaką w ciągu ostatnich lat kilkunastu odegrały w repertuarze głównych scen angielskich ich własne utwory i dzieła kilku innych autorów, jak Carton, Haddon, Chambers i t. d., dostrajających się do tego samego tonu, bo produkujących dla potrzeb tejże samej publiczności. Stanowi ona, gdy wyłączymy szczupłą garstkę wyznawców prawdziwej sztuki, najwyższą kategorię „playgoerów;“ niższe ich warstwy nie wykraczają poza zakres farsy, operetki, komedyi muzycznej i melodramatu. Pantomina i tak zwane „costume plays“ przyciągają widzów ze wszystkich sfer społecznych.

Widzieliśmy, że wymagania tego „wybranego“ audytorium są skromne lecz zarazem tyraniczne, ograniczają bowiem swobodę twórczą autorów zarówno względem wyboru tematu, jak i jego ujęcia. Nie dorosło ono do zrozumienia, że każda dziedzina duchowa rządzi się własnymi prawami i że w kwestyach estetyki decydować mogą przedewszystkiem estetyczne racje. Wyszedłszy z szeregów purytańskich, zachowało ich ideowość i nagina pisarzy do swych schematów moralnych. Jedynie w rzeczach uczucia, porzucającego tory legalności, a więc podkopującego tem samem pierwiastek rodzinny — nietolerancyjność dzisiejszych „playgoerów“ osłabła w pewnym stopniu: z mniejszym, niż ich ojcowie lękiem pozwalają roztrzasać przed sobą konflikty wyrosłe na tle namiętności. Lecz w swej dążności do wkładania życia sztuki scenicznej w ustalone przez się mechanicznie podziały, próbują i tu wtłoczyć we wspólne normy różnorodne nad wyraz objawy, uwarunkowane odrębnością charakterów, temperamentów i okoliczności życiowych. Wobec typów, które dopuszczają na scenę, ustanowili rzeczywiście gatunkowe etykiety, zmuszając żądnych powodzenia autorów do zastosowywania do nich swej produkcji. W dużej ilości sztuk uznanego repertuaru występuje jedna i ta sama postać pastora, kojarzącego cnoty chrześcijańskie z odwagą



i wyćwiczeniem sportowem—nieodłącznemi zaletami prawdziwego Anglika, które pozwalają mu w razie potrzeby rozstać się z biblią dla szabli. Gdy dramat lub komedia wyprowadza przedstawicieli wyższego świata — są to gentlemeni w tem prawdziwem słowa znaczeniu, jakie przywiązują do niego w Anglii. Wojskowi należą do dwóch kategorii: są z rodzaju szorstkich, ale do gruntu szlachetnych wiarusów, oddychających dopiero pełną pierśią w atmosferze bitwy, lub też wytwornych młodych oficerów, łączących pociągającą powierzchowność z przymiotami duszy i umysłu, a gotowych zarazem, jak ich starsi towarzysze broni, zdobywać na dalekich krańcach świata nowe ziemie w imię interesów i dobra „największej Anglii“ i upajających się, jak tamci, niezrównaną muzyką kul. Toż samo dzieje się z typami kobiecymi, podzielonymi na kilka szablonowych kategorii, do których przybyły ostatnimi czasy nowe poddziały.

Tego rodzaju automaty zadawalają dotąd wybraną publiczność. Co gorsza—nuży ją wprost i męczy pogłębianie charakterów i analiza psychologiczna sytuacji. Domaga się, jak zaznaczono wyżej, więcej wyszukanej niż poprzednie pokolenia formy i utworzyła w tym kierunku dwie grupy: zwolenników gimnastycznych popisów retorycznych, które zapoczątkował ongi Gilbert, lub też amatorów zręcznej szermierki słów, która bawi, nie wymagając zbyt dużego naprężenia myśli. Ale dyalog, będący odbłaskiem wewnętrznego życia duszy i notującej etapy jej wzruszeń, nie znajdzie u niej oddźwięku. Angielski playgoer żąda od teatru przede wszystkim rozrywki i niechętnie łączy ją z jakąkolwiek pracą mózgową. Podobny stosunek do sceny musi paraliżować rozwój dramatu.

Ale stosunek ten, owa potrzeba pospolitego śmiechu farsy, czy wykwintniejszego śmiechu satyry—tłómaczy w znacznej mierze tak niezrozumiałe np. na pozór zjawiska, jak obecne powodzenie sztuk Bernarda Shaw'a, w tych wykwintnych sferach mieszczkańskich, których ekscentryczny autor nie szczędził nigdy i których przesądom nie przywtarzał ani przez chwilę. Jest to nawet chyba rzeczą, której lękał się najbardziej. W przedmowach, zasługujących raczej na miano manifestów, które poprzedzają jego trzy pierwsze „Unpleasant plays“ („Widowers Houses,“ „The Philanderer,“ „Mrs. Warrens Profession“), nastaje na to ze szczególną precyzją. „Użyłem—mówi na wstępie—wszelkich wysiłków—ażby zmusić czytelnika do zajrzenia w oczy nadzwyczaj nieprzyjemnym dlań kwestyom.“ W konkluzji zaś oświadcza z błogością: „Ufam, iż nie znajdzie czytelnik w tych scenach nic zgoła

pochlebnego dla siebie.“ Sztuki sprawdzają rzeczywiście te nadzieje, mimo to jednak zbierają dziś oklaski eleganckiej publiczności. Czem tedy uzasadnić ten fenomen? Poprostu właśnie faktem niezaprzeczonym i niezawodnym, iż większość utworów pisarza bawi nieprzeparcie od początku do końca, przy całej dosadności jego satyry społecznej. Że zaś „cultivated playgoer“ szuka w teatrze głównie a nawet wyłącznie zabawy i śmiechu — musiał przeto pogodzić się z tym przeciwnikiem, który karykaturuje cechy narodowe z tak głębokim komizmem, którego impertynecye i napaści występują w przedziwnie dowcipnej formie i który rozsnuwa zadziwiające paradoksy z magiczną iście sprawnością.

To zapomnienie uraz wypływa z innych jeszcze racyj. Publiczność, która przyjęła gromami oburzenia „Widowers Houses,“ pierwszą sztukę Shaw'a, jaka ukazała się na deskach scenicznych (1892 r.) przekonała się obecnie o zdumiewającej bezstronności pisarza, nie wybierającego bynajmniej swych ofiar i sypiącego z jednakowem zacięciem ciosy na prawo i lewo. Nie chcę kreślić tu bynajmniej próby ogólnej oceny jego twórczości scenicznej, ani wglądać w jego poszczególne utwory: przekroczyłoby to o wiele zakres tego szkicu. Przypomnę jednak tę pierwszą sztukę. W przedmowie do niej autor oznajmił, iż pokaże „czem jest w rzeczywistości osławiona respectability klasy średniej.“ By udowodnić to założenie, wyprowadził na scenę jeden z najbrudniejszych pomiędzy „procederami,“ które krzewią się w wielkiem mieście: wyzysk nędzy proletaryatu przez tak zwanych *slum-lordów*, skupujących za bezcen ohydne rudery w biednych dzielnicach i ciągnących z nich lichwiarskie zyski przez wynajmowanie bezdomnej ludności straszliwych nor, pozbawionych powietrza i światła, z których składają się owe domostwa. Cotygodniowe pobieranie opłaty od tych paryasów uchrania od możliwości strat pieniężnych. Mr. Sartorius, *slum-lord* Shaw'owski, cieszy się ogólnem poważaniem i wierzy sam w swą uczciwość. Publiczność, zgromadzona na pierwszym przedstawieniu zamaifestowała swem zachowaniem, iż skłonna jest wierzyć w nią również i protestuje przeciw zdzieraniu masek, przywartych tak dobrze do fizynomii, iż kryją zupełnie prawdziwe oblicze, i obnażaniu zgnilizny, która tai się pod powłoką zewnętrznej przyzwoitości.

Lecz przyszły inne sztuki, przyszedł cały ich szereg i publiczność przekonała się, że „nieprzyjemny“ autor „nieprzyjemnych“ „Widowers Houses“ nie ogranicza bynajmniej swych napaści do jednej grupy społecznej i jednej kategorii zjawisk. Dziś gromi

slum-lordów, jutro wywróci na wspak ustalone pojęcia o wojnie i jej „bohaterach“ („Arms and the Man“), to znów da karykaturę lbenizmu—(„The Philanderer“), lub ośmieszy metody działalności Armii Zbawienia („Major Barbara“), której jednak współczuje rzekomo, jak oznajmił to z emfazą w poprzedzającym sztukę wstępie. Uwypukla z jednako przesadną, ale i dosadną jaskrawością cechy charakteru Anglika, które robią zeń typ doskonałego zabójcy i niepraktyczność Irlandczyka, który widzi prawdę życia, lecz ją omija, wierny swym romantycznym popędom („John Bull's other Island“). W każdym utworze przedstawia konflikt dwóch światopoglądów i dając krańcowy wyraz zajmuje wobec obydwóch jednako krytyczne i ironizujące, ale i bezgniewne stanowisko człowieka, który nie osądza, lecz jedynie bada rzeczy z punktu widzenia psychologa, przypatrującego im się, co prawda, przez szkła silnie powiększające i nieco deformujące. Według własnej opinii pisarza deformacja ta jest pozorną i wypływa ze skonstatowanej przez przyjaciela okulistę normalności jego wzroku. „Sądziłem — opowiada Shaw — gdy mi to oznajmił, że posiadam także oczy, jak mniej więcej ogół ludzi, lecz okulista obalił to przypuszczenie jako paradoksalne. Oczy normalne, a więc zdolność dokładnej wizyi, posiada najwyżej 10<sup>0</sup>/<sub>0</sub> współczesnego społeczeństwa; 90<sup>0</sup>/<sub>0</sub> widzi nienormalnie. Zrozumiałem wówczas rację mego niepowodzenia w belletrystyce.<sup>1)</sup> Mój wzrok fizyczny i duchowy jest normalny: widzę wszystko inaczej, niż większość ludzi i przytem widzę prawidłowo.“

Tak mówi pisarz. My, którzy przypatrujemy się jego utworom naszym ułomnym wzrokiem, spostrzegamy w nich nieraz zgoła odmiennie niż on cechy i zadajemy sobie wówczas pytanie, czy nie należy mu raczej na zajęciu wobec różnych zjawisk życia wręcz odmiennego od innych stosunku, niż o przeszacowanie istniejących wartości.

Nie o to jednak chodzi mi obecnie, nie zamierzam bowiem, powtarzam to raz jeszcze, podejmować tu oceny twórczości mistrza paradoksu, który unie być również mistrzem analizy psychologicznej. Pragnę tylko pokazać racje, dla których żądło sarkazmów Shaw'a przestało po pewnym czasie jątrzyć „wybraną“ publiczność. Kolejne jego utwory przekonały ją o bezstronności

<sup>1)</sup> Shaw rozpoczął swą karierę pisarską około r. 1880 od powieści, jak „Cashel Byron's Profession“, „The Admirable Bashville“ i t. d., które zaczęto czytać dopiero wówczas, gdy utrwaliła się sława dramaturga.

jego napaści i braku w nich tego żywiołowego gniewu bojownika idei i reformatora, za którym stoi groźne widmo porachunków społecznych. Oskarżenia jego nie mącą dziś w niczem jej spokoju, zaś gatunek jego humoru bawi ją nieskończenie. Nie dąży często w ślad jego wywodów psychologicznych, wychodząc bowiem z zasady, iż teatr powinien dać jej odpoczynek i rozrywkę, unika w nim pracy myślowej, natomiast zadziwiające sytuacje, w które pisarz stawia swe postacie, dla dokonywania nad nimi arcy-ciekawych doświadczeń—zyskują jej bezwzględne uznanie.

Gdyby jednak tenże Shaw przyniósł swemu społeczeństwu najgłębsze i pełne zalet artystycznych sztuki, lecz pozbawione okrasz paradoksu i błyskotliwych popisów dowcipu—los ich byłby tem smutniejszy, im więcej wprowadzałyby do produkcji dramatycznej nowych pierwiastków twórczych. Skazane byłyby niewątpliwie te utwory na krzyżową wędrowkę, wraz z przyjmującą je w swą opiekę wolną scenę, z jednego krańca Londynu na drugi, na dorywcze, źle przygotowane i odosobnione przedstawienia w prywatnych lokalach i klubach, zrzadka tylko w teatrach, wynajmujących zazwyczaj trupie swą salę na popołudniowe tylko widowiska. Któryś z krytyków angielskich zauważył słusznie przed paru miesiącami, że dobry prawdziwie utwór dramatyczny, którego powodzeniu nie sprzyjają, jak u Bernarda Shaw'a specjalne względy, dostałby się łatwiej do Windsoru, niż na scenę regularnego teatru. Ibsen, Maeterlinck, Hauptman, Sudermann, Heiermans nie wychodzą wogóle za zakres przedstawień bezdomnej i tułaczkiej „Stage Society,“<sup>1)</sup> na które dążą za nimi wyłącznie szczupłe szeregi szczerych miłośników sztuki, nie mogące zapewnić teatrowi ani jego repertuarowi trwałego powodzenia. Na tejsze jedynie scenie (do której przyłączyć dziś należy *Court Theatre*) znajdują przytułek utwory niezależnych pisarzy angielskich, wypowiadających wojnę szablonowi i rutynie.

Zło, jak widzimy zapuściło głęboko korzenie i ratunek wydaje się coraz trudniejszy, choć nie jest bynajmniej niemożliwy. Pomoc przyjsć może ze strony „intelektualnych purytanów,“ jak nazywa ich St. John Haukin. Są to poważne leczebnie warstwy publiczności o wysokiej kulturze, które odsunął od sceny jej długotrwały i przygnębiający upadek. Publiczność ta bojkotowała ją równie energicznie ze względów estetycznych, jak ją bojkotowały sekty religijne z racyj etycznych. Gdy sfery te zechcą mi-

1) Obecnie Ibsen wystawiany bywa również w *Court Theatre*.

wrócić się do teatru, wniknąć w bogaty dobytek dramatyczny współczesnego społeczeństwa i popierać wysiłki młodych talentów, szukających nowych formuł artystycznych—wówczas dopiero otworzą się dla sceny angielskiej perspektywy jaśniejszej przyszłości. Istnieją już symptomy w tym kierunku. Czy jednak rozwiną się dostatecznie? Zasadnicza zmiana stosunku tej części społeczeństwa do teatru, warunkuje w wysokiej mierze jego dalsze losy. Dopiero jej poparcie może zapewnić istnienie niezależnej scenie o szerokim zakresie działania i dobrej trupie—nie należy bowiem zapominać, że sztuka dramatyczna związana jest ściśle z doskonałym wykonaniem aktorskim—scenie, nie liczącej się z ograniczeniami cenzury i rozszerzającej zakres horyzontów duchowych i estetycznych publiczności, zamiast, jak czynią to dotąd teatry regularne, schlebiać jej gustom.

MARYA RAKOWSKA.

# Niemcy w Galicyi.

## II.

Drugą warstwę osadnictwa niemieckiego w Galicyi tworzy kolonizacya przeprowadzona przez cesarza austriackiego, Józefa II, po pierwszym rozbiórce Polski, przypadająca na okres czasu od roku 1781—1786.<sup>1)</sup> L. German, czerpiąc ze źródeł urzędowych, z czem się zgadzają podania J. Rohrera i Bredetzky'ego,<sup>2)</sup> stwierdza, iż zaraz po zajęciu Galicyi, w r. 1772, podążyła tam liczna drużyna niemieckich kupców i rzemieślników wszelkiego rodzaju, którzy osiedlali się mianowicie w miastach: Lwowie, Brodach, Samborze, Zamościu, Jarosławiu, Busku i t. d. Do tych niemieckich przychodźców doliczyc należy całą bardzo liczną gromadę urzędników, wysłanych dla organizowania kraju i zarządzania nim.

We Lwowie osiedlił się niejaki Preschel<sup>3)</sup> i urządził tam wielki sklep sukienny, prowadząc równocześnie mieńbę (handel) surowymi płodami z zagranicą na szerokie rozmiary, następnie zaś urządził

---

1) J. Rohrer: „Slavische Bewohner der Oesterreichischen Monarchie.“ 2 t., Wiedeń, 1809, podaje: 1782—1786; Ludomil German: „Oesterreichisch-ungarische Monarchie in Wort und Bild.“ Galizien ma nieco odmienną datę, mianowicie: 1781—1785.

2) „Historisch-Statistischer Beytrag zum deutschen Colonie-Wesen in Europa nebst einer kurzen Beschreibung der deutschen Ansiedelungen in Galizien.“ Brünn, 1812. Rohrer, który zajmował wyższe stanowisko urzędowe w Galicyi, i Bredetzky, superintendent ewangelicki we Lwowie, są najwiarogodniejszymi pisarzami i najlepszymi znawcami stosunków niemieckich w Galicyi.

3) S. Bredetzky.

wielką garbarnię w Busku, w której pracowali robotnicy sprowadzeni z Londynu. Rozwój jej doprowadził do najwyższego stopnia doskonałości. Wyroby swe wysyłał także za granicę, w szczególności do Lipska i Brunświku, gdzie znajdowały znaczny zbył. Preschel ściągnął kilkanaście zamożnych rodzin niemieckich do Lwowa i Brodów.<sup>1)</sup> On też założył zbor ewangelicki we Lwowie.

W r. 1774 wydał cesarz Józef II tak zwany patent tolerancyjny, zarządzający przyjęcie protestantów we Lwowie, Jarosławiu, Brodach, Zamościu i Zaleszczykach do stanu mieszczańskiego. Patent ten pomnożył niemieckie dobrowolne przychodźtwa do Galicyi.

Potem postanowił cesarz Józef II prowadzić dzieło germanizacji kraju za pomocą kolonizacji niemieckiej. W zamiarze tym ogłoszono listy cesarskie, zapraszające Niemców do osiedlania się w Galicyi, nadto zaś rozesłano posłanników w rozmaite strony Niemiec dla szukania osadników i namawiania ich do wychodźtwa. Usiłowania te odniosły pożądaný skutek. Z różnych ziem niemieckich zaczęli się zgłaszać ludzie gotowi do przesiedlania się. Podane warunki były przynęcające, jako bardzo korzystne dla wychodźców. Zgłoszeń nadeszło najwięcej z ziem nadreńskich i szwabskich. Pierwsze najścia odbywały się okrętami z Ulmu, Lewingen i Donaueschingen do Wiednia, a stąd wysyłano osadników do Galicyi. J. Rohrer opowiada, iż był w Wiedniu obecny przy ich wylądowywaniu z okrętów. Rozmawiał z nimi, a gdy wyraził zdziwienie, iż oni na pierwsze zawołanie ciągną z żonami i dziećmi do kraju dalekiego i nieznanego, jeden z nich odpowiedział mu w narzeczu szwabskiem:

— *Ey, überall wo's Herr Göttle huset, do kan no allwil a Schwäble sein Plätzle han.* (O, wszędzie, gdzie Pan Bozia przebywa, może jeszcze zawsze Szwab znaleźć dla siebie miejsce.)

Przychodźców niemieckich osadzano na polskich dobrach królewskich, zabranych na rzecz skarbu państwa austriackiego czyli tak zwanej „kamery.“ Zarządy „dóbr kameralnych“ rozsyłały własne ogłoszenia, zapraszające do osiedlania się na tych dobrach i wyluszczone szczególowo ułatwienia, z których przychodźcy mogli korzystać. Dla przykładu przytaczamy ogłoszenie niejakiego F. Hładky, zarządcy „kameralnego państwa“ Sandomierz, wydane w Ulsku 6 lutego 1782 r. Zarządca ten obiecuje przychodźcom darmo

<sup>1)</sup> Między tymi rodzinę bankierską Hausnerów, z której pochodził słynny poseł polski i statystyk Otto Hausner.

drzewo budowlane, cegły i wapno po cenie rządowych wydatków wytwórczych z sześcioletnim terminem spłaty, jako też 1600 sążni kwadratowych ogrodu z sześcioletniem uwolnieniem od podatku ziemskiego. Nadto otrzyma każda rodzina 50 reńskich bezpłatnych, jako też dom ze stajnią i narzędziami rolniczemi darmo, zaś na rolę, łąkę i pastwisko 40 morgów ziemi (morg po 150 prętów) na własność dziedziczną bezpłatnie i z dziesięcioletniem uwolnieniem od wszelkich podatków i czynszu; po upływie zaś tego czasu będą obowiązani uiszczać mierną opłatę „*in recognitionem Domini*“ i odbywać odpowiednią do ich posiadłości pańszczyzną ręczną i pociągową, z której jednak wykupić się mogą pieniędzmi lub ziarnem. Odzew powiada przy końcu, iż bliższe wyjaśnienia daje na żądanie agent kolonizacyjny, Johannes Lein, we Frankfurcie, Freibergergasse 202, z czego wynika, iż rząd austriacki utrzymywał w miastach niemieckich osobnych swoich agentów.

Bredetzky, który jako superintendent ewangelicki lwowski, pozostawał w ustawicznej styczności z współczesnymi osadnikami niemieckimi, donosi, iż ci po największej części pochodzą z ziem nadreńskich, mianowicie: z księstwa Aupach, z palatynatu Char, Średniego palatynatu, z palatynatu Zweibrücken, z Lemingen, Lautern, Nassau-Saarbrück, Nassau-Usengen, Nassau-Weilburg; z margrabstw: Hessen-Kassel i Hessen-Darmstadt; z hrabstw: Falkenstein, Haag, Isenburg, Mark, Pappenheim, Saarwerden, Salm-Salm, Kyrburg, Waldburg i Wartenburg; następnie z margrabstwa Baden-Durlach; z państw: Greifenstein, Kolwisch, Krumbach, Merklingen, Metterheim, Schmiedberg, Sekkengen i w końcu także—niewielu—ze szwabskiego okręgu księstwa Geldern w Württembergu.

Podług innych źródeł byli koloniści zbieraniną ze wszech stron Niemiec: z okolic nadreńskich i nadmenschkich, z pod gór Taunus i Hundsrück, z okolic Frankfurtu, z Moguncyi i Tryeru, z bawarskiego palatynatu, z innych części Bawaryi, z Hessyi, Nasawii, Badenu, Württembergu, Alzacyi i Szlezwiugu-Holsztynu, co potwierdza różność ich typów, narzeczy i zwyczajów. Żywił szwabski był atoli przeważający, dlatego ustaliła się w Galicyi pogardliwa nazwa „*Szwabów*“ dla wszystkich kolonistów niemieckich.

Na osadnictwo niemieckie w Galicyi wydał cesarz Józef II trzy miliony reńskich, co na ówczesno czasy znaczy wcale pokaźną kwotę. Bredetzky podaje, że w „państwie kameralnem“ szczyrzeckiem budowa jednego domu włościańskiego z przynależnościami



wymagała nakładu ze skarbu państwa 1200 reńskich. W dobrach tych powstała cała grupa osad (*Dornfeld, Falkenstein, Reichenbach, Einsiedel, Chrusno, Lendenfeld, Rosenberg*) z 213 domami, tak, iż grupa ta sama, wraz z innymi wydatkami w gotówce, spowodowała wydatek 375,600 reńskich.

Cesarz Józef zabrał się był systematycznie do germanizacji Galicyi. Cała zgraja urzędników wzięła ją od razu w kleszcze niemieckie, a każdy naczelnik obwodu („*Kreishauptmann*“) rządził, jak kacyk, na własną rękę, nie mówiąc już o radcach dworu („*hof-ratach*“) do szczególnych poleceń i o namiestniku we Lwowie. Niemiecka biurokracja tchnęła nienawiścią do wszystkiego, co polskie. Od razu zaprowadzono we wszystkich szkołach, od najniższych do najwyższych, wykłady język niemiecki, wszędzie też urzędowano po niemiecku, a urzędnicy, wykonawcy nowego systemu rządów, prześcigali się w nadużyciach wszelkiego rodzaju, wysyłając swoje mózgi głównie na to, by zniszczyć szlachtę i duchowieństwo, w których główną widzieli przeszkodę dla swoich zamiarów i główną też podporę polszczyzny. Walczyli oni przeciw żywiołowi polskiemu nie tylko w zakresie swego działania urzędowego, lecz chwyтали za pióro i opisywali Galicyę i jej ludność w czasopismach i osobno wydawanych książkach, jako kraj dziki z ludnością podłą i najnikczemniejszą, jako kraj istnych Kanibalów, by tym sposobem uniewinnić swe bezprawia najjaskrawsze i znęcania się nad narodowo uświadomioną warstwą ludności krajowej. Czernienie kraju i społeczeństwa polskiego stało się rzemiosłem tych pijawek biurokratycznych. Warto posłuchać, co pisze jeden z tych działaczy urzędniczych, osławiony „*hofrat*“ Krater<sup>1)</sup>, między mnóstwem podobnych historyj. Oto opowieść tego „wierzitelnego świadka:“

„Książę L... miał za towarzysza tęgiego drągala dominikana. Pił z nim we dnie i w nocy do upadłego. Gdy się dobrze popili, nabierali odwagi. Każdy z nich brał w rękę grubą strunę basową i grzmocili się nawzajem w pokoju tak długo, dopókił telu stało i niezwalili się na słomę, która zawsze była rozścielona w pogotowiu. Dominikanin prześcigał zawsze księcia, który otrzymał ostatnie cięcie struną. Potem chrapali obadwaj na słomie, a gdy się obudzili, pili na nowo i znowu się grzmocili i tak szedł turniej rycerski, kilka razy na dzień się powtarzając... Ten sam

<sup>1)</sup> „Briefe über den itzigen Zustand von Galizien. Ein Beitrag zur Statistik und Menschenkenntniss.“ Erster Theil. Leipzig, 1786.

książę przywołuje raz Żyda do siebie, swego dzierżawcę ceł (!). Pyta go: „Czy pobrałeś cło od szlachcica X?” Żyd: „Tak jest.“ Książę: „Od szlachcica?” Żyd: „Trudno, płacę bardzo wiele za dzierżawę.“ Książę: „Hm... hm... płacisz za dużo?... Chodźno tu, kapitanie! (Kapitan przychodzi.) Powieś mi tego Żyda w niebieskim pokoju.“ Kapitan: „Do usług, Jaśnie Oświecony Panie!“ (Chwyta Żyda i wyprowadza go.) Książę do kamerdynera: „Słuchajno, przynieś nam najlepszego tokaja! Usiądź tu, szlachcicu, pij ze mną.“ (Pija, potem niedługo.) Kapitan: „Żyd wisi już.“ Książę: „Brawo! Wypij kielich wina, dobrześ się sprawił. A teraz sprowadź tu bez zwłoki żonę i dzieci Żyda.“ Kapitan: „Będą tu zaraz.“ Książę: „Niech Żydówka zobaczy męża, a dzieci ojca. Mogliby stęsknić się za nim.“ (Kapitan odchodzi). Książę do szlachcica: „Pijże!“ Szlachcic: „Nie mogę! całuję stopki Waszej Książęcej Mości!“ Książę: „Pij, mówię!“ Szlachcic: „Jak Boga kocham, nie mogę.“ Książę: „Nie możesz! (do kamerdynera) Na hak ze szlachcicem. Powieś go obok Żyda. Ja pójdę przespać się tymczasem.“ Upada na słomę—szlachciura dynda obok Żyda.“

Książka Kratera, zawierająca dużo takich podłych niedorzeczności sprawiła w Wiedniu swojego czasu sensację i była rozchwytywana.

Osadnictwo niemieckie józefińskie, co do liczby głów, podają różnie. Rohrer oblicza ilość osadzonych przez cesarza Józefa II Niemców w Galicyi na 19,369 głów, podczas, gdy Bredetzky podaje liczbę 3,000 rodzin, czyli około 18,000 dusz. Ostatnia liczba musiałaby się jednak wydawać przy 3,000 rodzin za wysoką, gdyż na jedną rodzinę przypadałoby po 6 członków w przecięciu czyli po czworo dzieci. Dlatego liczba rodzin 3,500, odpowiadająca prawdopodobniej 18,000 ogólnej ludności osadniczej, podana przez L. Germana, wydaje się prawdziwszą. Równie co do liczby osad różni się Rohrer z Bredetzkyem. Według pierwszego powstało w Galicyi 120 nowych miejscowości niemieckich, podczas gdy drugi podaje znacznie wyższą liczbę, 175 osad. Ostatniego dane są bardzo szczegółowe i dokładne, ponieważ wymienia wszystkie 175 osad, wyliczając przy każdej ilość domów i ilość głów ludności niemieckiej. Różnica co do liczby osad pochodzi prawdopodobnie stąd, że Rohrer podaje tylko miejscowości z czysto niemiecką ludnością, Bredetzky zaś wylicza także osady z ludnością mieszaną, nawet takie, gdzie znajdowało się tylko po kilka rodzin niemieckich. Stupnicki <sup>1)</sup> mniej dokładnie podaje tę liczbę na przeszło 150.

<sup>1)</sup> „Galicya pod względem topograficzno-geograficzno-historycznym.“ Lwów, 1869.

Obecny superintendent ewangelicki dla Galicyi Fritsche,<sup>1)</sup> proboszcz w Białej, przytacza „*summariun*“ niemieckich osadników józefińskich w Galicyi z 6 sierpnia 1810 r., zawierający następujące dane:

60 osad katolickich z 5,628 dusz	
83 „ ewangelick. z 9,143 „ (wyznania augsburskiego)	
16 „ „ z 1,599 „ ( „ helweckiego)	
16 „ „ z 1,268 „	
Razem dusz 17,638	

Do czego ze swej strony dodaje: „Trzeba tu zauważyć, iż w powyższem zestawieniu znajdują się także koloniści bukowińscy (Bukowina należała wówczas do Galicyi). Jeśli tych odciągniemy, pozostanie na Galicyę okragło 15.000 dusz, w tem ewangelików co najwyżej 10,000. Mówią i piszą u nas tak dużo o zanikaniu niemiecko-ewangelickich kolonistów w Galicyi. Dziś wynosi ich liczba przeszło 45,000. Odciągnijmy od tego liczbę dusz, przypadającą na miasto Białę, Kraków, Jarosław, Przemyśl i Lwów (6,400), pozostaje jeszcze co najmniej 38,500, z czego wynika, że liczba niemieckiej ludności w Galicyi z wliczeniem katolików, podana przez L. Germana na najwyżej 35,000, jest mylna. W istocie rzeczy ludność niemiecka protestancka w Galicyi pomnożyła się bardzo znacznie.“

Zwyczajnie tworzone tylko małe osady, obejmujące 10 — 20 domów, chociaż założono także kilka większych miejscowości, o czem poniżej szczegółowiej mówić będziemy.

Kolonie niemieckie w Galicyi, zarówno wschodniej, jak zachodniej, powstały na wszystkich dobrach kameralnych, przedtem polskich koronnych. Z przybyszami niemieckimi zawierano pisemne układy noszące podpisy gubernialnych i rządowych komisarzy nadwornych, namiestnika galicyjskiego, kanclerza państwa i w końcu samego cesarza. Napływ niemieckich przychodźców był w latach 1783 i 1784 nadzwyczaj wielki tak, iż wywiązały się trudności co do tymczasowego pomieszczenia przybywających i cesarz osobnym „dekretem dworskim“ z 24 czerwca 1784 r. rozporządził, by przychodźców niemieckich, jeśli za mało jest miejsca odpowiedniego, umieszczano w koszarach wojskowych.

<sup>1)</sup> „Festschriften für Gustav-Adolf-Vereine. H. 29 die evangel. Gemeinden Galiziens.“

Temple <sup>1)</sup> pisze uzupełniająco, że „osadnictwo rozprzestrzeniono na wszystkie dobra koronne, następnie na dobra funduszu religijnego“ (kościelne) i pojezuickie, jako też na posiadłościach ziemskich prywatnych. Osobne dwa „dekrety nadworne“ z dnia 24 maja i 16 grudnia zawierały rozporządzenia szczegółowe co do osadzania Niemców na dobrach prywatnych. Nadto później wydano dekrety i rozporządzenia rządowe dla ochrony interesów nowych osadników.“

Cesarz Józef II wezwał stany galicyjskie, by szły za jego przykładem i by ich członkowie zakładali dalsze kolonie niemieckie. Odzew ten znalazł posłuch szczególnie u hr. Miera, właściciela klucza radziechowskiego w dawnym „*cykule*“ złoczowskim, o którym S. Bredetzky <sup>2)</sup> pisze: „Niedawno zmarły hrabia i starosta Mier należy do tych magnatów polskich, który zamiar cesarza Józefa, zaszczerpienia kultury w Galicyi wziął sobie do serca i idąc za przykładem cesarza, usiłował w małych rozmiarach naśladować, co ten przez system kolonizacyjny zamierzał osiągnąć na wielkie rozmiary.“ Założył on w swoim państwie, leżącym dziś w powiecie Kamionka Strumiłowa, aż 8 osad niemieckich ewangelickich, cztery większe: *Józefów*, *Mierhof*, *Sapieżanka* i *Stanin*, i cztery mniejsze: Antonin, Sankt Baven, Hanusin i Zabawa. Tworzą one osobną grupę osadniczą, której główną miejscowością jest Józefów (Josefsdorf), siedziba pastoratu ewangelickiego. W miejscowościach tych mieszka obecnie przeszło 1200 dusz niemieckiej ludności. Przykład hr. Miera nie pozostał odosobniony. Justyna z Rogalińskich Bekerska założyła podczas rządów cesarza Józefa dwie osady niemieckie na swoich dobrach w powiecie podhajeckim: *Bekersdorf* i *Justynówkę*, sprowadzając osadników z nad Renu z okolic Koblency i Moguncyi. W Bekersdorf istnieje obecnie szkoła z niemieckim językiem wykładowym. W powiecie trembowelskim osadził Karol hr. Lanckoroński w *Nowym Tyżynie* Niemców, sprowadzonych z tak zwanego „*Kuhländchen*“ na Morawach.<sup>3)</sup> Z prywatnej inicjatywy polskich właścicieli ziemskich powstały osady niemieckie koło Lwowa: *Bogdanówka* i *Sygnówka*, następnie *Grodzkie* pod Nowym Sączem, dziś przedmieście tego miasta i *Rehberg* także *Rehfeld* po polsku: *Sarnki*, koło Krakowa, w powiecie brze-

<sup>1)</sup> „Die deutschen Colonien in Galizien Mittheilungen der k.-k. Geographischen Gesellschaft.“ Wien, 1860.

<sup>2)</sup> „Vaterländische Blätter.“ Wiedeń, 1810. № 36.

<sup>3)</sup> Bayger J. Powiat Trembowelski i Niedźwiedzki: Powiat Podhajecki.

zańskim, założone przez Łuckiego. Za panowania cesarza Franciszka II powstały kolonie niemieckie: *Roztuz. Wolcze i Dobrohostów*.

Zdaje się też, że osady niemieckie, noszące nazwy: Sobolówka, Konopkówka, Bronisławówka, Romanówka, Konstantynówka, należące do późniejszych, założone zostały także przez polskich właścicieli ziemi. O Sobolówce wiemy, iż założył ją proboszcz rzymsko-katolicki, ks. Sobolewski, wielki przyjaciel i wielbiciel Niemców. Przykład zatem cesarza Józefa, germanizatora Galicyi, znalazł też nie jednego z pośród polskiego społeczeństwa naśladowcę, co z ubolewaniem, pisząc prawdę, stwierdzić należy.

Bredetzky liczy w Galicyi 83 osad niemieckich ewangelickich, 60 katolickich, 16 reformowanych (kalwińskich) i 16 mieszanych wyznaniowo. Ewangelickie są następujące: *Antonin, Bandrów, St. Bawen, Berehy, Bieganice, Bis. hitz miasto Bochnia Nowy Bolechów, Brigidau, Nowe Barzyce, Ceres. Chlnitz (?) Chrusno, Dobrzanice, miasto Dolina, Dąbrówka. Dornfeld. Falkenstein. Gab. n. Gassendorf, Gelsendorf, Grodzkie. Guttenberg. Hanuśka, Hartfeld, Hohenbach, Hutweide, Józefów, Juraszów Kets han. Krze zów. Kupniowice, Landestren. Laufendorf. Lednica, Lindenau, Maków. Nowe Majkowice, Mierhof. Mokra wieś, Morawin, Naguszowice, Oberdorf, Nowe Oleksy e. Ostrowiec, Podritz, Piątków. Ranis hau, Reichan, Reichenbach, Reichsheim. Rosenberg. Rothenkatz, Ryto, Sapieżanka, Skibowice, Schomlau. Schönthal. Smolin. Stadto. Stanin, Steinau, Steinfels, Świniarsko, Świerkla, Ugartsthal. Unterberg n, Unterwald n. Uszkowice. Weinbergen, Książnice, Zawada. Załubińce (wylicza imiennie tylko 73, zamiast 83).*

Reformowane: *Bartuschitz. Barczanówka, Boguszyce, Nowy Dornbach, Einsiedel. Felsendorf. Gillerhof. Josefsberg. Königsberg, Lindenfeld. Moosberg, Olszów, Prinzenthal. Rehberg, Ugartsberg, Vogtsdorf.*

Katolickie: *Berdikau. Bikowitz, Billiz (zapewne Bielice). Bobertów. Brückenthal, Brunnendorf, Bogdanów. Burgau. Dobrohostów. Dornbach, miasto Drohobycz. Ebenau, Engelsbrunn. Ernsdorf, Falkenburg, Fehlbarh, Fürstenuu, Hoffmungsau. Hunsdorf-Kulm, Januszów, Jetschau Josefsdorf. Nowy Kałusz, Kaisersdorf, Karlsberg, Kimirz, Königsau. Kranzberg, Mokrotyn, Muszelowitz. Mühlbach, Mostków, Neudorf (Czuków), Neudorf (Nowosiółka-Bekersdorf), Ottenschlag, Podgórzyn, Rosenburg. Wielki i Mały Rauhersdorf. Rolów, miasto Sambor. Schönanger. Sygnóicka, Sommerau, Steindorf, Tanef-sau, Teuschbach, Treufeld, Vorderberg, Wachendorf, Wisenberg, Wildenthal, Zagorzyn, Zandorf (wylicza tylko 54).*

Wyznaniowo mieszane (protestanckie i katolickie): *Einsingen, Bartschitz, Burgthal, Nowy Gawłów, Gólkowice, Gołębowice, Kaltwasser, Kleindorf, miasto Lubaczów Neudörfel, Padew, Trinitatis, Tussów, Zabawa.*

Zdaje się, że Bredetzky wyliczył imiennie tylko takie miejscowości, które tworzą wsie, zaś przysiółki pomiął, dlatego liczba wymienionych mniejszą jest od ogólnie podanej.

Pierwsze niemieckie kolonie józefińskie powstały w Sądeczynie, mianowicie w dawniejszym „cyrkule“ nowo-sądeckim, a więc na ziemi już za czasów polskich silnie przez Niemców osiedlonej.

Cesarz Józef założył także dwie osady rolnicze żydowskie w r. 1780, a więc jeszcze przed kolonizacją niemiecką, jedną w *Dąbrówce* koło *Nowego Sącza*, którą nazwano *Nowy Jeruzalem*, drugą zaś koło miasta *Bolechowa* na Podkarpaciu ruskiem pod nazwą *Nowy Babilon*. Osadnicy żydowscy nie odpowiedzieli atoli oczekiwaniom cesarza, dlatego kazał ich z osad wypędzić, zaś role oddał do zagospodarowania się Niemcom. Hackel <sup>1)</sup> podaje ciekawy opis żydowskiej kolonii Nowy Babilon, którą osobiście zwiedzał: „Koło Bolechowa znalazłem osadę żydowską, składającą się z 12 półmurowanych domów, na sposób holenderski urządzonych. Dano temu ... ludowi wszystko zupełnie gotowe i urządzone, lecz jakżeż wszystko wyglądało zmienione, gdy tam przybyłem (w r. 1792), t. j. po dwunastu latach od założenia osady! Płoty i parkany zostały spalone, najurodzajniejsze pola zamienione w pustynię, a odrobina tego, co była zasiana, uskuteczniła pracą rąk chrześcijańskich, przez tych synów Jakóba najętych za trochę wódki, przez co polski włościanin stał się ich niewolnikiem. Domy tych darmozjadów („*Tagdiebe*“) znajdowały się, co się zowie, w najniechlujniejszym i najbardziej zapuszczonym stanie, gdyż Żyd cierpi raczej niedostatek, aniżeli by miał co naprawić... Osada ta powinna wszystkim służyć za ostrzeżenie, jak mało Żyd w Europie przydaje się do rolnictwa, na rolnika.“ Po Żydach objęli więc Niemcy spuściznę w Nowym Jeruzalemie, jako też w Nowym Babilonie.

Pomiędzy kolonistami niemieckimi osiedlono wówczas w Galicyi także 30 rodzin menonickich, z których 10 rodzin wyszło niedługo do Rosyi, tak iż pozostało ich tylko 20. Menonicy założyli sobie osobną osadę *Einsiedel*, w dzisiejszym sądownym powie-

<sup>1)</sup> „Reisen.“ 3 część, str. 88.

cie szczyrzeckim, niedaleko Lwowa, składającą się pierwotnie z 12 rodzin. Inni osiedlili się w koloniach niemieckich: 4 rodziny w Falkenbergu, 3 w Rosenbergu, a 1 rodzina w mieście Szczyrcu. Temple twierdzi, iż pochodzą oni prawdopodobnie z Württembergu (*Schwarzwaldkreis*), Rohrer zaś jest zdania, iż przybyli z ziemi *Mömpelgard*, dokąd ich przodkowie zaszli z szwajcarskiego kantonu berneńskiego. Cesarz Józef dozwolił na pomnożenie ich osiedlenia na 100 rodzin, lecz więcej menonitów nie przybyło. Garstka menonitów, czyli baptystów, w Galicyi dzieli się na dwa rodzaje, mianowicie na „haftkarzy“ („*Häftler*“) i „guzikarzy“ („*Knöpfler*“). Nazwy pochodzą stąd, iż jedni przy skromnem swem ubraniu używają haftek, drudzy guzików. Różnią się też między sobą brodami i strojem, jakoteż niektórymi zwyczajami. „Haftkarze“ są prawowierniejszymi menonitami. Noszą długie brody i krótkie białe ubranie. W związkach małżeńskich są nadzwyczaj surowi i zazdrośni. Jeśli mężatka uśmiechnie się przyjacielsko do jakiego mężczyzny, choćby to był najbliższy sąsiad, lub silniej dłoń mu uściśnię, wystarcza, by ściągnąć na siebie czasową klątwę. Bywa potem tygodniami wykluczana ze zgromadzeń, nie śnie z mężem siedzieć przy jednym stole, nie wolno jej przy myciu używać jego ręcznika i nikt z gromady „haftkarzy“ nie może z nią rozmawiać. Obawa wyklęcia czyni kobiety zameżne tak przeczornemi, iż zachowują się prawie idyotycznie. Gdy zbliży się do nich jaki młody mężczyzna, jękają się i spuszczają wzrok lękliwie ku ziemi, jak zakonnice, by tylko nie pobudzić mężów do zazdrości. „Guzikarze“ są wolnomyślniejsi w tym kierunku, a także podstrzygają swe brody. Jedni i drudzy, „haftkarze“ i „guzikarze“, nie posiadają duszpasterza we właściwem słowa znaczeniu. Wybierają bowiem ze swego grona na pewien przeciąg czasu „nauczyciela“, który bezpłatnie sprawuje obrządki religijne. Słyną z uczciwości i porządnego sposobu życia. Są umiarkowani we wszystkim, powstrzymują się zupełnie od wszelkich napojów alkoholycznych i wogóle trzymają wszelkie namiętności i pożądliwości w karchach. Posiadają też tę właściwość, iż w rozmowie używają wyrazów i zwrotów biblijnych. Kazania u nich składają się z samych orzeczeń i zdań biblijnych. Gdy mówią z kim o czemkolwiek, o najzwyczajniejszych rzeczach, do wszystkiego umieją przystosować coś z Biblii. W Rosenbergu przebywał ich zwierzchnik („*Oberschultze*“). Wieleżeństwa niema u nich, jak u mormonów, bardzo do nich religijnie zbliżonych. Według powszechnych świadectw odznaczają się pracowitością, pilnością, obyczajnością. Trudnią się z zamiłowaniem mleczarstwem, wyrabiając w szczególności

doskonałe sery. W początkach traktowano ich, jako protestantów i byli zniewoleni przyczyniać się do utrzymania luterskiego pastora w Dornfeldzie. Dopiero później, wskutek wniesionego przez nich zażalenia, zwolniono ich od tego ciężaru „dekretem nadwornym“ z r. 1795. Do ich właściwości należy dalej, iż żadnych urzędów nie przyjmują, przysięgi nie składają i nie pełnią służby wojskowej. Są to spokojni, pokojowi, dobrzy ludzie, którzy ze sługami obchodzą się, jak z własnymi dziećmi. Plemię dorodne, postacie okazałe, a także ubraniem lepszem przewyższają sąsiadnich osadników niemieckich. Rohrer donosi, iż równie w Galicyi zachodniej istnieje mała osada menonicka w miejscowości *Głodowa* gdzie książę Adam Czartoryski osiedlił 7 rodzin menonickich. Ci są także bardzo uczciwi i pracowici. Mówią łamaną niemczyzną i po francusku.

Cesarz Józef tworzył w Galicyi większe i mniejsze osady czysto niemieckie i równie osadzał niemieckich przychodźców w polskich i ruskich wsiach. Czysto niemieckie osady różniły się od osad, do których Niemców wciśnięto pomiędzy krajową ludność, niemieckimi nazwami miejscowemi, podczas, gdy ostatnie zatrzymały dawne słowiańskie miana. Z nowemi nazwami niemieckimi działo się tak, iż je rozciągano po największej części na całe dobro, tworzące tak zwany „korpus tabularny.“ Tym sposobem otrzymywała niemiecką nazwę nie tylko część dobra zasiedlona Niemcami, lecz także pozostała jego część „dominialna.“ Później, gdy rząd posprzedawał dawne polskie dobra koronne, przezwane „kameralnemi,“ niemieckie nazwy osad poprzehodziły na obszary dworskie, powykrajane z dóbr koronnych. Tym sposobem istnieje w Galicyi po dziś dzień około 40 obszarów dworskich, noszących czysto niemieckie nazwy urzędowe, chociaż w nich nigdy stopa niemiecka nie powstała. Do tego przedmiotu wrócimy jeszcze poniżej.

Cesarz rozporządził dalej, że po wsiach z ludnością krajową nie może się osiedlać mniej rodzin niemieckich, jak 6. Największe, czysto niemieckie osady, były następujące: *Brigidau* (dzisiejszy powiat stryjski w Galicyi wschodniej) na dobrach medenickich ze 126 domami, *Josefsberg* (pow. drohobycki w Gal. wschod.) z 90, *Dornfeld* (powiat lwowski) z 89, *Kaisersdorf* (pow. sanocki) z 80, *Kamschau* (pow. kolbuszowski w Galicyi zachodniej) z 48, *Hartfeld* (powiat grodecki w Gal. wschod.) z 45, *Landstreu* i *Ugartsthal* (pow. kałuski w Gal. wschod.) po 40, *Gelsendorf* (powiat stryjski) i *Falkenstein* (powiat lwowski) po 36 domów.



Przeważna część niemieckich kolonij józefińskich przypada na Galicyę wschodnią, daleko mniejsza zaś część na Galicyę zachodnią, gdzie istniało tylko 6 grup osadniczych, mianowicie w dzisiejszych powiatach politycznych: nowosądeckim, mieleckim, łańcuckim, kolbuszowskim, myślenickim i bocheńskim.

Bredetzky, który objeżdżał kolonie niemieckie, opowiada, iż osady w obwodzie („cyrkule“) nowosądeckim i bocheńskim, następnie wsie w Galicyi wschodniej: Ugartsthal, Ugartsberg, Landstren i Gelsendorf znajdują się w stanie kwitnącym i są bogate. Plemie niemieckie rozwija się w Galicyi pomyślnie. Młodsze potomstwo jest silniejsze i piękniejsze, aniżeli przychodzący rodzice, którzy byli małego wzrostu, niekształtni i w twarzy brzydcey. Żali się dalej, iż większa część osad niemieckich znajduje się w stanie nieszczególnie pomyślnym i że bardzo wielu osadników niemieckich oddaje się nadmiernemu pijaństwu, co narusza szczęście życia rodzinnego, czyni ujmę dobrobytowi i nadweręża dodatność pracy kulturalnej.

Temple wychwala osady niemieckie, twierdząc, iż służą one za wzór słowiańskim sąsiadom. Ludność osadnicza żywi się dobrze. Posiada schludne, murowane, pięknie pobielone domy z sadami i ogrodami kwiatowymi, przyczem dobrze żywione i czysto trzymane bydło stoi w przewietrznych i zdrowych stajniach. Wybornie uprawiana ziemia, zarówno rola, jak obfity ogród warzywny, którego nigdzie nie brak, jakoteż dobrze użwirowane drogi w jezdnym stanie sprawiają na podróżniku, zaraz po przekroczeniu granic wsi niemieckiej, dobre wrażenie, które tembardziej się potęguje, iż nigdzie nie widać żydowskiej wyczopni (szynku), którą w osadach polskich i ruskich spotkać można na każdym kroku na zgubę mieszkańców.

Osadnicy niemieccy w Galicyi odróżniają się typowo od tubylczej ludności. Znamie pochodzenia plemiennego znaczne u nich. Strój posiadają różnorodny,<sup>1)</sup> co odpowiada ich różnorodności. W niektórych miejscowościach zachowali stary strój ojczysty. Mężczyźni noszą przeważnie jasno-niebieskie kapoty, zwane „*Müllerröcke*“, żółte skórzane spodnie, białe pończochy, trzewiki ze sprzączkami i trójgraniaste kapelusze na bakier. W innych okolicach noszono niebieskie sukienne spodnie w buty i tej samej barwy kurtki, na głowie czarne filcowe kapelusze, przy dżdżystem lub chłodnem powietrzu po wierzchu płaszcz niebieskie z po-

<sup>1)</sup> Rohrer, Temple, Bredetzky, Hackel.

dwójnym kołnierzem. Strój kobiet zbliżony do miejskiego. Istniało jeszcze sporo odmiennych strojów wedle okolicy, z której osadnicy pochodzili.

Równe różnice zachodzą co do narzeczy. W niektórych okolicach znać wpływ słowiańszczyzny. Gwary szwabskie przeważają, chociaż tu i owdzie znać wyraźne dźwięki narzeczone dolno-niemieckie tak zwanego „*plattdeutsch*.“ Narzecza wogóle są zepsute. W bogatych wsiach, szczególnie w protestanckich, gdzie na miejscu znajduje się pastorał i niemiecka szkoła wyznaniowa, mówią mieszkający poprawną niemieczyzną.

Tak było przed mniej więcej stu laty.

Przechodzimy *do dzisiejszego stanu niemieckiej ludności w Galicyi.*

Na podstawie urzędowego wykazu ostatniego spisu ludności w r. 1900, posiadała Galicya, przy ogólnem zaludnieniu 7,315,000, Niemców 211,000, odsetkowo 2.8% ogólnej ludności. Spis ludności z r. 1890 podaje większą liczbę Niemców (227,000), a spis z r. 1880 jeszcze większą (318,000), co jednak przypisać należy jedynie okoliczności, iż do niemieckiej narodowości przyznało się w r. 1890 więcej, a w r. 1880 jeszcze więcej Żydów, aniżeli przy ostatnim spisie. Właściwa bowiem ludność niemiecka, jak zaznaczyliśmy powyżej, owszem zwiększyła się. Odsetkowo przedstawia ludność niemiecka 2.9% ogólnej, liczba niewielka, nie mniej przeto zasługuje, ze względu na jakość ludności, na wyjątkowe położenie narodu polskiego i ze względu na bardzo smutne doświadczenia, jakie Polacy zrobili w przeszłości dziejowej z kolonizacją niemiecką—na szczególnie baczną uwagę.

W ogólnej liczbie 211,000 ludności niemieckiej w Galicyi znajduje się nie mniej, jak 133,000 Żydów, zapisanych do narodowości niemieckiej, tak, iż na prawdziwych Niemców przypada tylko mniej więcej 78,000.

Nierównie większa część tej ludności przypada na Galicyę wschodnią, aniżeli na zachodnią, zamieszkałą wyłącznie przez Polaków.

*Galicya Wschodnia* liczy ludności niemieckiej 178,000 = prawie 3.6% ogólnej ludności wynoszącej 4,890,000 głów, w czem jest Żydów 122,000, tak iż na prawdziwie niemiecką ludność przypada 56,000. Po odliczeniu prawdziwej ludności niemieckiej na miasta i obszary dworskie pozostaje niespełna 30,000 na wiejskie osady niemieckie. Profesor dr. Buzek <sup>1)</sup> wylicza w Galicyi wschodniej 80 osad nie-

<sup>1)</sup> Wynarodowienie w świetle nowszej statystyki. Przegląd prawa i administracyi. Lwów, 1905.

mieckich czysto lub przeważnie ewangelickich, a 51 osad niemieckich katolickich, czyli razem 131 osad niemieckich. Pocztenie jest zupełny. Wylicza on jako:

Niemieckie osady czysto lub przeważnie ewangelickie: *Malechów, Kaltwasser, Unterberger, Weinbergen, Dornfeld, Einsiedel, Falkenstein, Nowe Chrusno, Lindenfeld, Reichenbach, Rosenberg, Karaczynów, Rothenhau, Schönthal, Waldorf, Hartfeld, Neuhoft, Deutschbach, Felsendorf, Reichau, Lipowa, Nowe Barczyce, Stare Barczyce, Nowe Kupniowice, Stary Jazów, Berdychów, Mosberg, Schumlau, Zbadyń, Rehberg, Btyzeczywody, Theodorsdorf, Krasiczyn, Einsingen, Zboiska, Polowce Kolonia, Konopkówka, Bronistawówka, Sobolówka, Sapieżanka, Hamusin, Józefów, Mierów (Mierhof), Ronianówka, Sabinówka, Stanin, Suszno, Wola Suszańska, Peratyn, Dobraniec, Uszkowice, Unterwalden, Podhajczyki, Brigidau, Gelsendorf, Grabowiec Strzyjski, Duleby, Landestreu, Ugartthal, Debelówka, Engelsberg, Nowy Babilon, Bolechów Ruski, Nowy Haziwów, Knihinin Kolonia, Konstanyńówka, Neudorf, Winniki-Siedliska, Neudorf Josefsberg, Krynica, Letnia, Ugartsberg, Bandrów Kolonia, Berehy Dolne, Makowa Kolonia, Obersdorf, Prinzenthal i Steinfels, w czem nie mniej jak 36 urzędowych nazw niemieckich, do czego jeszcze dodać należy *Augustdorf*, przedmieście Sniatyna i *Mariahilf*, przedmieście Kołomyi.*

Katolickie niemieckie osady: *Sygnówka, Ottenhausen, Brunnendorf, Burgthal, Ebenau, Wassenberg, Vorderberg, Kaisersdorf, Krużyki, Neudorf, Kranzberg, Freifeld, Burgau, Mużyłowie, Felzbach, Mokrytyń Kolonia, Wiesenberg, Rożanka, Zubow Mosty, Bruckenthal, Josefenthal, Michałówka, Mühlbach, Rehfeld, Ernstdorf, Bekersdorf, Kimirz, Maleniska, Korsów, Zagonin, Łany Niemieckie, Angelówka, Annaberg, Felizienthal, Karlsdorf, Smocze Górne, Nowy Katusz, Ludwikówka, Hoffnungsau, Tercsówka, Poehersdorf, Nowy Mizuń, Izidorówka, Lubsza, Machliniec, Nowe Siwoło, Obłożnica, Königsau, Engelsbrunn, Falkenberg, Rosenbcry, w czem 28 urzędowych nazw niemieckich.*

Galicja wschodnia posiada zatem na 133 osad niemieckich (z dwoma powyżej przytoczonymi przedmieściami) a nie mniej jak 66 urzędowo niemieckich nazw.

Miasta w tej części kraju posiadają wraz z Żydami-Niemcami ludności niemieckiej: Lwów 20,400, Kołomyja 9,900, Drohobycz 6,600, Sniatyn 4,200, Przemyśl 2,900, Tarnopol 2,900, Delatyn 2,300, Stanisławów 2,200. Dzięki Żydom wykazuje powiat drohobycki 22,000, brodzki 17,000, doliniański 14,000, kosowski 10,000, lwowski z miastem około 30,000, powiat Rawa Ruska 9,000, pow. Żół-

kiew 7,000, pow. Sniatyn prawie 10,000, pow. Stryj 6,000, pow. Nadworna 6,000, pow. Mościska 7,000, pow. Kamionka Strumiłowa 7,000, powiaty: Bohorodczany, Czortków, Gródek, Przemyślany, Skalat, Stanisławów i Tarnopol po 5,000—6,000.

Ludność niemiecka tworzy w Galicyi Wschodniej odsetkowo po miastach i miasteczkach 16.9%, na obszarach dworskich, z których znaczna bardzo część jest własnością lub pozostaje w dzierżawie Żydów, 8.4%, w gminach wiejskich 2.2% ogólnej ludności tej części kraju.

Największe skupienie osad niemieckich—prawie 50,000 Niemców—istnieje na Podkarpaciu ruskiem w powiatach: stryjskim, kałuskim i doliniańskim, razem 41 miejscowości z niemiecką ludnością. Są strony w tych powiatach, gdzie żywioł niemiecki dominuje i nadaje swe piętno okolicy. Przyczyniają się do tego niepospolicie ogromne posiadłości dwóch olbrzymich niemieckich firm drzewnych (Schmitta i barona Poppera) z bardzo wielkimi zakładami fabrycznymi przy zarządach niemieckich. Lwów otoczony całym wieńcem osad niemieckich, których w powiecie jest 17. Powiaty: Drohobycz, Jaworów i Kamioka Strumiłowa mają po 11 osad niemieckich, Przemyślany 9, Rawa Ruska 6.

Istnymi dziwolągami są nazwy niemieckie obszarów dworskich, gdzie nigdy nie było i obecnie niema żadnej ludności niemieckiej, przyczem należy podkreślić, że zmiana nazwy miejscowej niemieckiej, jak powyżej wykazaliśmy, narzuconej z powodu przynależności do dawnych polskich dóbr koronnych, zależy zupełnie od woli właściciela i od uchwały Sejmu krajowego. Oto wianuszek obszarów dworskich w Galicyi wschodniej, noszących nazwy niemieckie: *Brigidau* (właściciel, poseł polski dr. J. Kolischer), *Brunnendorf*, *Buchenhain*, *Buchenthal*, *Dornfeld* (właściciel poseł polski dr. Abrahamowicz), *Falkenst in*, *Felsendorf* ad Opoka (właściciel hr. Gołuchowski), *Fink* ad Sieradza Dąbrowa, *Treufeld* ad Żuków, *Gelsendorf*, *Josefsdorf* (właściciel wymieniony dr. Kolischer), *Kaltwasser* ad Zimnawoda, *Klein Rauchersdorf*, *Königsau* (właściciel dr. Kolischer), *Landestren*, *Neudorf*, *Rudolfsdorf*, *Rehf ld Ugartsberg* (właściciel dr. Kolischer), *Unterbergen*, *Ugartsthal* (właścicielka Natalia hr. Dzieduszycka) i *Weisnberg* (właściciel książę K. Poniński).

Do niemiejszych dziwolągów wschodnio-galicyjskich należą nazwy urzędowe wyłącznie niemieckie osad: *Zaundorf* (powiat Cieszanów), *Klein-Rauchersdorf* i *Siegenthal* (powiat Nisko), *Ernsdorf* (powiat Lubaczów), *Obersdorf* (powiat Dobromil), *Heinrichsdorf* (powiat Kamionka Strumiłowa) i *Siegenthal* (powiat Nisko), gdzie niema już zgoła ludności niemieckiej lub mieszka po kilku Niemców.

Na *Galicyę Zachodnią* czyli czysto polską część kraju przypada niemieckiej ludności 36,000, co odsetkowo czyni niespełna 1.5<sup>o</sup> ogólnej ludności wynoszącej 2,410,000 głów. Jeśli od liczby 36,000 odciagniemy 10,000 Żydów przyznających się do narodowości niemieckiej, wynosi liczba prawdziwych Niemców 26,000, a po odtrąceniu 14,000 ludności niemieckiej przypadającej na powiat bialski, tworzący osobną grupę Niemców, pozostałej z polskiej dziejowej kolonizacji — otrzymamy liczbę 12,000, w której objęta jest także ludność prawdziwie niemiecka wszystkich miast wschodnio-galicyjskich, jako też kolonij józefińskich.

Te, jak już zaznaczyliśmy powyżej, przypadają na sześć dziesiętszych politycznych powiatów: nowo-sądecki, bocheński, mielecki, łańcucki, kolbuszowski i myślenicki. W bocheńskim powiecie spolszczyły się wszystkie niemieckie osady józefińskie, nie wyjmując osad protestanckich: Nowy Gawłów, Bogacice, Krzeszów i Majkowiec tak, iż obecnie w Nowym Gawłowie istniejący pastorat ewangelicki i gmina wyznaniowa są polskie, co tembardziej zasługuje na uwagę, iż w Galicyi wszędzie niemiecka ludność protestancka twardo stoi przy swej narodowości, którą nieskażenie zachowuje. Z uwagi, iż niemieckie osady józefińskie tego powiatu nie posiadają nazw niemieckich, wynika, iż osadników niemieckich mieszczone po wsiach polskich, a w tej okoliczności szukać należy głównej przyczyny ich spolszczenia. Prof. dr. Buzek wylicza w Galicyi Zachodniej jako niemieckie osady czysto lub przeważnie ewangelickie: *Gaj, Stadło, Podczyce, Niemieckie Bilczyce, Niemiecka Dąbrówka, Niemiecki Chełmiec, Baranówka, Gillershof, Königsberg, Nizatycze, Steinau, Nowy Raniszów, Padew Kolonia, Reichsheim* i *Hohenbach*, razem 15 osad z czterema urzędowymi nazwami niemieckimi. To samo źródło podaje następujące osady niemieckie katolickie w tej części kraju: *Łączka, Dornbach, Rauchersdorf, Wildenthal, Josefsdorf, Schönanger* i *Tuszów Kolonia*, razem 7 miejscowości, w tem 5 urzędowych nazw niemieckich. Spis ten, który między niemieckimi osadami ewangelickimi podaje trzy miejscowości: *Niemiecką Lednicę, Boguczyce* i *Nowy Gawłów*, nie jest dokładny i potrzebuje sprostowania. Mamy pod ręką dokładny wykaz ludności niemieckiej w Galicyi Zachodniej, sporządzony przez miejscowych Niemców dla kolońskiego *Gustav-Adolf-Verein*, udzielającego zasiłki pieniężne Niemcom galicyjskim, a więc świadectwo „klasyczne,” w którym powiat bocheński oznaczony jako zupełnie niepolSKI. W spisie tym wymienione są powiatami następujące osady, jako niemieckie: w powiecie *mieleckim* 7 osad: *Josefsdorf, Padew Kolonia, Reichsheim, Schönanger, Tuszów, Czer-*

*min* i *Hohenbach*, z ludnością niemiecką mniej więcej 1,500 dusz; w powiecie *nowo-sądeckim* 9 osad: *Bausendorf*, *Gaboń*, *Gałkowice*, *Olszanka*, *Podrzecze*, *Grodzkie* (przedmieście Nowego Sącza), *Stadło*, *Niemiecka Dąbrówka* i *Hundsorf* z ludnością niemiecką około 1,000 dusz; powiat *myślenicki* 4 osady: *Siedliska*, *Neudorf*, *Bretheim* i *Majdan* z ludnością niemiecką niespełna 1,000 dusz; powiat *łańcucki* z 8 osadami: *Baranówka*, *Dornbach*, *Gillershof*, *Königsberg*, *Łukowa* i *Monasterz*, z ludnością niemiecką nieco nad 800 dusz; powiat *kolbuszowski* z 2 osadami: *Wildenthal* i *Raniszków* z mniej więcej 500 dusz ludności niemieckiej. Według tego źródła posiada Galicya 26 osad niemieckich z ludnością 4,800—5,000 głów w przybliżeniu. Nazw niemieckich miejscowych jest 12. Poczet ten nie jest atoli zupełny, gdyż w Galicyi Zachodniej istnieją tak samo dziwolągi, mianowicie urzędowe nazwy niemieckie obszarów dworskich i osad, w których niema ani jednego Niemca. Polskie obszary dworskie z urzędowymi nazwami niemieckimi są następujące: *Dornbach* (powiat łańcucki), *Königsberg* (ten sam powiat, właściciel Roman hr. Potocki), *Neuhof* (powiat wadowicki, właściciel Aleksander Szymanowski), *Schönanger* (powiat mielecki, właścicielka Albina Włodkowa), *Wildenthal* (powiat kolbuszowski, właściciel Błotnicki).

Bukiecik ten uzupełniają następujące polskich osad nazwy niemieckie: *Majersdorf*, *Wiesendorf* i *Hutweide*.

Pomijamy Galicyę Wschodnią. Jakżeż dźwięcznie po niemiecku brzmią w czysto polskiej części kraju urzędowe nazwy: *Josefsdorf*, *Reichsheim*, *Schönanger*, *Hohenbach*, *Bausendorf*, *Hundsorf*, *Neudorf*, *Bretheim*, *Dornbach*, *Gillershof*, *Königsberg*, *Wildenthal*, *Majersdorf*, *Wiesendorf*, *Hutweide*.

Możnaby pomyśleć, iż znajdujemy się gdzie nad Renem. Zaiste brak jeszcze tylko Bismarckshausen lub Bülowruhe. A tam w Wielkopolsce wykoszlawiają z niemiecka najniedorzeczniej dziejowe stare nazwy — Inowrocław Hohensalza!

Osady niemieckie w Sądecczyźnie znajdują się w zaniku, ludność niemiecka zmniejsza się tam. Główną przyczyną jest wychodźstwo Niemców, wabionych przez pruską komisję kolonizacyjną, do Wielkiego Księstwa Poznańskiego i do Prus Zachodnich. Polscy włościanie wciąż ich wykupują z ziemi. Największe skupienie Niemców w powiecie nowosądeckim przedstawia Stadło z ludnością niemiecką około 180 dusz, następnie Niemiecka Dąbrówka licząca mało co nad 100 Niemców. Wszystkie inne osady w tym powiecie liczą ludności niemieckiej niżej 100. Najludniejszą miejscowością niemiecką wiejską jest Bretheim w Myślenickiem

z 540 ludności niemieckiej, poczem następuje: Hohenbach z 410, Padew Kolonia z 320, i Königsberg, Raniszów, Reichsheim, Schönananger i Wildental liczące po 200 — 300 ludności niemieckiej, wszystkie inne są mniejsze i schodzą do kilkudziesięciu głów.

W Galicyi Zachodniej obejmują zamknięte osady niemieckie około 2,000 chrześcijańskiej ludności niemieckiej, łącznie z miastem Białą, reszta tej ludności przeszło 6,000 rozrzucona po miastach i wsiach wschodnio-galicyjskich. W liczbie tej jest około 5,000 protestantów, a 15,000 katolików. Ponieważ szczegółowy wykaz ludności galicyjskiej podniejszcowości na podstawie jej ostatniego obliczenia jeszcze nie wyszedł, przeto niepodobna dokładnie podać ludności niemieckiej chrześcijańskiej po miastach.

Jeżeli do powyższych wschodnio-galicyjskich osad 26 doliczymy cztery wielkie osady niemieckie w powiecie bialskim (miasto Biała, Lipnik, Hańców i Wilanowice), otrzymamy liczbę 30, do czego dodawszy 133 osad wschodnio-galicyjskich wyniesie *ogólna liczba osad niemieckich w Galicyi sto sześćdziesiąt trzy* wyłącznie miast, a z doliczeniem tylko Białej, trzech przedmieść miejskich (Grodzkie przy Nowym Sączu, Mariahilf przy Kołomyi i Augustdorf przy Sniatynie) i miasteczka Wilanowice tak, iż na same osady wiejskie niemieckie przypadnie liczba 158.<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> K. Harlos w 4 zeszytce „*Deutsche Erde*,” Gotha 1903 podaje liczbę protestantów niemieckich w Galicyi na 48,000 rozdzielając ich na 172 miejscowości i przysiołków, z których 64 posiada 50—100 dusz niemieckiej protestanckiej ludności, 57 miejsc. 100—200 d., 25 miejsc. 200—300 d., 11 miejsc. 300—400 d., 6 miejsc. 400—500 d., 7 miejsc. 500—1,000 d., 2 miejsc. zwyż 1,000 d., 1 miejsc. przeszło 2,000 d. Katolików Niemców rozmieszcza w 50 miejscowościach, mianowicie w 7 z ludnością 50—100 d., 22 miejsc. 100—200 d., 8 miejsc. 200—300 d., 3 miejsc. 300—400 d., 6 miejsc. 400—500 d., 2 miejsc. 500—1,000 d., 2 miejsc. przeszło 1,000 d. Liczba miejscowości z chrześcijańską ludnością niemiecką wynosi podług tego źródła 222. Superintendent galicyjski *H. Fritsche* w „*Die evangelischen Gemeinden Galiziens Festschriften des Gustav-Adolf-Vereins*.” Lipsk podaje wręcz zdumiewająco wysoką liczbę miejscowości w Galicyi, gdzie zamieszkuje niemiecka ludność. Liczba ta wynosi 224 miejscowości, i tak: w 11 miejsc. zamieszkuje niemieckiej ludności ewangelickiej do 100 dusz, w 47 miejsc. od 101—200 d., w 22 miejsc. od 201—300 d., w 11 miejsc. od 301—400 d., w 7 miejsc. od 401—500. Liczniejszą ludność ewangelicko-niemiecką posiadają: miasto Stryj 617 dusz, Dolina-Broczków 625, Bretheim 720, Dornfeld 776, Josefsberg 811, Stanisławów 850, Brigidan 943, Kołomyja 1,400, Biała-Lipnik 2,147 (w obydwóch miejscowościach przeważająca znacznie większość Niemców jest wyznania katolickiego), Lwów 2,833 dusz. Rozumie się samo przez się, iż tych wszystkich miejscowości między którymi znajdują się mia-

W ogólnej liczbie chrześcijańskiej, czyli prawdziwie niemieckiej ludności w Galicji, wynoszącej okragło 78,000 przypada na protestantów 45,000, zaś na katolików 33,000. Rdzeń niemieckiej ludności w Galicji tworzą protestanci, silnie zorganizowani w gminy wyznaniowe, zaopatrzone w dobre niemieckie szkoły wyznaniowe i zasilane nietylko przez galicyjski Wydział krajowy i rady gminne w Białym, Krakowie, Lwowie, Jarosławiu, Nowym Sączu, Przemyślu, Kołomyi i Stanisławowie, lecz także bardzo hojnie nawet przez austriackie i zagraniczne narodowo-niemieckie stowarzyszenia. Ewangelickie gminy Galicji i Bukowiny tworzą razem jedną z dziesięciu superintendentur ewangelickiego kościoła wyznania augsburskiego i helweckiego w Austrii. Galicyjsko-bukowińska dycezyja ewangelicka obydwóch wyznań obejmuje cztery senioraty, mianowicie trzy senioraty wyznania augsburskiego i jeden seniorat wyznania helweckiego. Do tych senioratów należy trzydzieści gmin wyznaniowych, z których 24 przypada na Galicyę, w tem 21 gmin augsburskiego, a 4 helweckiego wyznania. W ostatniem dziesięcioleciu (1890 — 1900) zwiększyła się liczba ewangelickich Niemców w Galicji o 2,092 dusz.

Superintendentura dla Galicji i Bukowiny z siedzibą we Lwowie dla obydwóch wyznań utworzona została na podstawie dekretu cesarskiego w r. 1788. Senioraty galicyjskie są następujące: I w Zachodniej Galicji z 7 pastoratami czyli gminami wyznaniowymi (Biała, Kraków, Stadło, Nowy Gawłów, Nowy Sącz, Reichsheim-Hohenbach i Raniszów) i 14 szkołami wyznaniowymi niemieckimi. Siedziba seniora Hohenbach. Z tych pastoratów tylko nowogawłowski jest polski, krakowski zaś utrakwistyczny, niemiecko-polski. II seniorat wyznania augsburskiego dla środkowej części kraju obejmuje 11 pastoratów czyli gmin wyznaniowych (Bandrów, Brigidau, Dornfeld, Gelsendorf, Bartfeld, Jarosław, Józefów, Lwów, Stryj i Reichau) z 48 szkołami wyznaniowymi niemieckimi. Senior mieszka w Brigidau. III seniorat wyznania augsburskiego obejmuje w Galicji tylko 3 pastory czyli gminy wyznaniowe — reszta pastoratów na Bukowinie — (Ugartsthal, Stanisławów i Zaleszczyki) z 4 szkołami wyznaniowymi niemieckimi. Siedziba senioratu Czerniowce. IV seniorat dla wyznania helweckiego obejmuje w Galicji 3 pastory czyli

---

sta: Lwów, Stanisławów, Kołomyja i Stryj, nie można uważać za niemieckie osady. Znaczna liczba miejscowości dowodzi jednak o wielkiem rozprzestrzenieniu się żywiołu ewangelicko-niemieckiego w Galicji.



gminy wyznaniowe (Josefsberg, Königsberg, Kołomyja, względnie Mariahilf, przedmiejska osada niemiecka) z 3 szkołami wyznaniowymi niemieckimi.

Nasza powszechność wogóle bardzo mało zwraca uwagi na Niemców, osiadłych w Galicyi i posiada o nich bardzo niedokładne, a nawet wręcz mylne wiadomości. Wyjątku nie stanowi pod tym względem dziennikarstwo polskie galicyjskie i wogóle nasze czasopiśmiennictwo. Niedawno temu—przytaczamy to jako cechę bardzo znamioną naszego niedbalstwa w traktowaniu spraw krajowych i narodowych — w jednym z najpoważniejszych polskich tygodników pojawił się zamaszty artykuł jednego z najwybitniejszych dziennikarzy, omawiający stosunki niemieckich kolonistów w Galicyi, mianowicie przesiedlanie ich przez pruską komisję kolonizacyjną w Poznańskie i do Prus Zachodnich. Autor artykułu z powagą i namaszczeniem roztrząsa rzecz, udziela przestroóg i rad *ex cathedra*, nie znając zupełnie stanu rzeczy, a więc nie posiadając najniezbędniejszego warunku dla skutecznej działalności. Nie wie on bowiem ani czy ten ruch wychodźczy wzmacnia się lub słabnie, które obejmuje kolonie, ilu już Niemców wyszło, ani też kto prowadzi agitację i jakimi środkami, w końcu nie wie nawet w przybliżeniu, ile wogóle w Galicyi jest niemieckiej ludności osadniczej, skoro pisze: „może ich być 30,000 lub może 40,000, a choćby ich było 50,000.“ Jakżeż łatwo zajrzeć do statystyki, by uniknąć podobnego zgadywania. Bez dokładnych informacji i znajomości szczegółowej przedmiotu trudno skutecznie radzić. Można tylko improwizować, nawet bardzo świetnie, jeśli się jest dobrym stylistą, lecz rzecz nieoparta na konkretnej treści, rzeczywistego pożytku przynieść nie może. Bez znajomości terenu niepodobna prowadzić walki.

Zwyczajnie lekceważymy sobie niemiecką ludność w Galicyi. Utarło się u nas przeświadczenie, nawet w dziennikach, iż niemieckie kolonie się polszczą i ruszczą, że ich wciąż ubywa. Tymczasem jest to nieprawdą, gdyż w rzeczywistości rdzenna osadnicza ludność niemiecka przeciwnie zwiększa się, jak to powyżej wykazaliśmy na podstawie tabelki podanej przez lwowskiego superintendenta Fritschego, nawet dość znacznie.

Jeżeli można wogóle mówić o zaniku niemieckiej chrześcijańskiej ludności w Galicyi, do Galicyi Wschodniej tego bezwzględnie stosować nie można, ani też wogóle do Niemców wyznania ewangelickiego w obydwóch częściach kraju, jakoteż do Niemców białskich, przeważnie katolików. Zastępy niemieckie zmniejszają się nieco tylko w zachodnio-galicyjskich powiatach: nowo-

sądcekim, myślenickim, mniej zaś w kolbuszowskim i łańcuckim jedynie w niemieckich osadach katolickich, w ewangelickich zaś gminach tychże powiatów ubyłoby nieco Niemców tylko przez wychodźstwo na ziemię polską pod zaborem pruskim, gdzie pomnożyli kadry kolonizacji niemieckiej. Pod tym względem wystarczy powołać się na zupełnie wierzytelnego, „klasycznego“ świadka pastora superintendenta Fritsche, którego głos niszczący zupełnie złudzenie nasze co do ogólnego zaniku prawdziwych Niemców w Galicyi, podajemy niżej.

O Niemcach białskich mówiliśmy wyżej. Tworzą oni bez wszelkiej przesady niebezpieczeństwo germanizacyjne nie tylko dla sąsiedztwa, lecz nawet dla dalszych okolic. Na ruskim Podkarpaciu zajmuje niemieczyzna bardzo silne stanowisko, a w okolicach Lwowa równie stanowi wcale niepośledni żywioł. Niemcy ewangelicy, podobnie jak niemiecki białski zaścianek, tworzą dla siebie zwarty, odrębny światek z narodową organizacją kościelną i szkolną. W gminach pastrowie i nauczyciele bywają kierownikami narodowymi, będąc nawet w części owiani duchem wszechniemieckim. „Ewangelicy Niemcy pozostają przez swoją organizację kościelną, za pomocą *Gustav-Adolf-Vereinu* i ewangelickiego stowarzyszenia nauczycielskiego w narodowym związku.“<sup>1)</sup> Wymienione kolońskie stowarzyszenie ewangelickie, rozporządzające ogromnymi zasobami pieniężnymi, posiada w Galicyi filialne towarzystwo, bardzo pomyślnie się rozwijające; niemieccy nauczyciele ludowi tworzą dla siebie osobne towarzystwo. Pastrowie przybywają do Galicyi ponajwiększej części z niemieckiej części Ślązka, najczęściej z pruskiego, a nauczyciele wychodzą z niemieckiego ewangelickiego seminarium w Bielsku, gdzie niewątpliwie dla Polaków panuje prąd.

Lecz posłuchajmy co pisze superintendent Fritsche o wewnętrznych stosunkach osad niemieckich. „Byłoby to ciężkim grzechem popełnionym na dzielnych rodakach, którzy od 120 lat strzegli wiernie spuścizny po ojcach, jeśli by się ich opuściło, ponieważ z pewnej strony oznaczają ich położenie jako bez widoków. Nie, Bogu dzięki tak nie jest! Za nimi przemawia świadectwo ich dziejów, iż posiadali dość siły odpornej, by im można dalej ufać, że w przyszłości nie ostygną w ciężkiej walce, jaka stoi przed nimi, lecz że ją z wytrwałą wiernością doprowadzą do końca, *aż lepsza nadzieja dla nich przyszłość*. Posiadają oni zro-

<sup>1)</sup> K. Harlos.

zumienie odpowiedzialności, jaka ciąży na nich wobec Boga, ojczyzny (jużci niemieckiej) i kościoła, co do utrzymania ojczyściego spadku; chcą oni zachować wierność dla ziemi, na której ich przodkowie zdobyli dla nich prawo rodzimości, chcą żyć, a gdzie jest wola, tam znajduje się droga. Często wstępowali na nią, i zawsze ożywieni, pocieszeni i pokrzepieni na siłach wracali do swego ogniska domowego. Pełni zaufania wstępują na nią ponownie w ciężkiej godzinie, na drogę wiodącą do *Gustav-Adolf-Verein*. Towarzystwo, które zawsze pomagało, będzie pomagać dalej, a czynić to będzie ten radośniej, widząc, że wśród wielorakich galicyjskich utrapień nie brak tu i owdzie zachęcających objawów tkwiącej w tych gminach siły życiowej, niezniszczalnie działającej. *Zawsze jeszcze ujawnia się usilna dążność do zakładania nowych kolonij*. Z dawien dawna wychodziły ze starych osad nowe, jak z ula matczynego nowe roje. Tym sposobem powstały stopniowo Kołomyja (*Mariahilf*) i Stryj z sąsiednich gmin Josefsberg, Brigidau, Gelsendorf i Dornfeld. Takim wyrojeniem dawniejszych czasów w parafii Hohenbach jest *Goleszów*, w parafii raniszowskiej *Sulichów*, równie znajdują się tego rodzaju nowe osady w parafii józefowskiej, między tymi *Sobolówka* powstała w r. 1832. W nowszych czasach powstał *Bretheim* (parafia kołomyjska), *Zbora* (parafia Ugartsthal) i *Heinrichshof* (parafia Unterwalden). A obecnie powstaje osada *Diamantheim*. Wśród lasu, 5 mil od najbliższego miasta, a 4 mile od miejsca parafialnego Ugartsthal, zakupiło 32 rodzin ewangelicko-niemieckich kawał ziemi, obejmujący 700 morgów wyciętego lasu do wykarczowania i założenia wsi, która ma posiadać 50—60 domów. Z końcem sierpnia 1902 odbyło się już poświęcenie cmentarza i przy tej sposobności zarządzono składkę na zakupno dzwonu. Wzruszający był widok, jak chętnie każdy, nawet najuboższy, składał datek. Dzwon ten już także poświęcony. Teraz zabierają się do budowy szkoły.“

Otóż z powyższego wynika, że osady niemieckie nie zmniejszają się, tylko owszem mnożą się. Jeśli do wykazanych powyżej 163 doliczymy przytoczone przez lwowskiego superintendenta nowe osady: *osada w mieście Stryju, Goleszów, Sulichów, Bretheim* (w powiecie kołomyjskim), *Zborę, Heinrichshof i Diamantheim*, o których nigdzie indziej niema wzmianki, *podnosi się liczba osad niemieckich w Galicji na sto siedmdziesiąt*. Kto wie, czy nie znalazłoby się ich jeszcze więcej?

W kościelnej organizacyi zrobili także postępy. W ostatniem dziesięcioleciu powstały trzy nowe gminy wyznaniowe w Stanisławowie, Stryju i w Unterwalden, zbudowano też cztery

nowe kościoły w Rottenhau, Brigidau, Ugartsberg i w Suliehowie i sześć domów dla proboszczów.

Warto przytoczyć ciekawy szczegół odnoszący się do gminy ewangelickiej Biała-Lipnik. Po zaborze Galicyi przez Austryę gmina wyznaniowa bialska nie uznała tak zwanego „patentu tolerancyjnego“ cesarza Józefa II, zwięzającego prawa polskich protestantów, lecz stojąc na podstawie prawnej warszawskiego traktatu z r. 1768, który zwrócił dysydentom polskim dawne, zawartym w r. 1573 pokojem religijnym (*pax dissidentium*) poręczone wolności i prawa — używała tychże praw wyjątkowo bez przeszkody, podczas gdy inne galicyjskie gminy wyznaniowe stosować się musiały do ograniczeń krępujących ich rozwój, a zawartych w rzeczonym patencie.

Szkolnictwo niemieckie także się rozwija, dzięki względności galicyjskiej Rady krajowej szkolnej. „Podczas gdy w innych krajach koronnych od czasu prawomocności państwowej ustawy o szkołach ludowych jedna szkoła ewangelicka po drugiej przestaje istnieć, stan szkolnictwa ewangelickiego pozostał nie naruszony.“<sup>1)</sup> Słowa te potrzebują objaśnienia. Ogłaszanie szkół wyznaniowych lub prywatnych na podstawie powyżej wymienionej ustawy publicznymi, oznacza ich ukrajowienie, to jest, iż wykłady muszą się w nich odbywać podług postanowień krajowej ustawy o szkołach ludowych, czyli że wykłady byłyby polskie. To, co się dzieje w innych krajach koronnych, w Galicyi się nie dzieje, a to znaczy, iż galicyjskie władze samorządne nie tykają szkół niemieckich nawet w miejscowościach, gdzie zgoła niema ludności niemieckiej, jak tego w Galicyi jest kilka przykładów, lecz nadto, jak zobaczymy, przypatrują się obojętnie, jak Niemcy zakładają nowe wyznaniowe niemieckie szkoły w miejscowościach polskich. Tak powstały nowe szkoły w Majkowicach, Stanisławowie, Zborze, Letni, Sewerynowce, Mogile, Tolszczowie-Milatycah, Wygodzie i Sołotwinie — „wszystko to niemieckie szkoły kolonialne“ — zapewnia superintendent Fritsche. Natomiast rząd główny wiedeński wyposażył od r. 1894 nie mniej jak 19 niemieckich szkół wyznaniowych w tak zwane prawo publiczności, równając je zupełnie tym sposobem z publicznymi szkołami. „To chwalebne dążenie naprzód zasługuje z pewnością, by powstrzymano zasiłki, które obecnie bezwarunkowo powinny być obfi-

<sup>1)</sup> Fritsche.

tsze, by to nie nędziało stopniowo, co *Gustav-Adolf-Verein* pielęgnował troskliwie i popierał.“<sup>1)</sup>

Niemieccy ewangelicy posiadają 94 szkół. Prócz tego budują nowe szkoły w Gołkowicach, Smolinie, Dolinie-Broczkowie, Einsiedlu, Einsingenie, Gassendorfie, Neudorfie-Brigidau, Bronisławówce, Baginsbergu, Sołotwinie, Ugartsbergu, Zborze, Lednicy, Sobolówce, Moosbergu i Neuhofie razem w 16 osadach, tak, że liczba tych szkół niemieckich wyznaniowych wzrośnie na 110. W tem jest pięć wielkich szkół miejskich, subwencyonowanych przez rady gminne polskie—z wyjątkiem Białej, gdzie rada gminna jest niemiecka, w których jest 29 nauczycieli zajętych. Takie szkoły posiadają miasta: Biała, Kraków, Lwów, Nowy Sącz i Stanisławów. W Białej istnieją właściwie trzy szkoły i ochronka dla dzieci. W czysto polskiej osadzie ewangelickiej Salmopolu, niedaleko Białej, urządził *Gustav-Adolf-Verein* i utrzymuje swoim kosztem niemiecką szkołę wyznaniową. Lwowska szkoła, bardzo wielka, zatrudnia 12 sił nauczycielskich. Jest to szkoła wzorowa. W Nowym Sączu mieści się niemiecka ewangelicka szkoła trzyklasowa w starym pofranciszkańskim klasztorze. W Stanisławowie prócz niemieckiej szkoły ludowej istnieje wielka niemiecka ochronka dla dzieci. W szkołach niemieckich wiejskich zajętych jest 91 nauczycieli. Prócz tego istnieją w mniejszych osadach jak np. w Siegenthal, Steinfels, Oberndorf, Prinzenthal, Moczary, Neuhof niemieckie szkoły zimowe, w których od św. Marcina lub od adwentu do Wielkiejnocy uczą dzieci czytać, pisać i rachować po niemiecku. Przytem należy wyraźnie zaznaczyć, iż niemieckie szkoły wyznaniowe pod opieką galicyjskiej Rady szkolnej krajowej zakładają się w części dla germanizowania polskich ewangelików. Urzędowy spis ludności nie wykazuje bowiem podobnie jak w *Salmopolu*, ani w *Goleszowie*, ani w *Moosbergu*, ani w *Mierowie*, ani w *Lednicy*, *Gawłowie* i *Majkowicach* żadnych Niemców ewangelików, tylko Polaków ewangelików, w Siegenthal jest 19 ewangelików Niemców, a 108 ewangelików Polaków. W wymienionych powyżej sześciu miejscowościach niema zgoła żadnej ludności niemieckiej, zatem istniejące tam wyznaniowe niemieckie szkoły najwidoczniej założono dla germanizacyi. Dodać należy, że niemieckie gminy katolickie mają swoje szkoły niemieckie. Gimnazjum niemieckie we Lwowie uzupełnia pięknie rozwinięte szkolnictwo niemieckie w Galicyi.

<sup>1)</sup> Fritsche.

Pewne pismo niemieckie ogłosiło niedawno prywatny list pewnego nauczyciela niemieckiego, rzucający światło na galicyjskie stosunki osadniczo-niemieckie koło Lwowa, względnie w sądowym powiecie szczyrzeckim. Oto osnowa listu: „Kochany Przyjacielu!... Jako czas założenia wszystkich osad (koło Szczyrca) można oznaczyć r. 1784. W archiwum gminnem osady Einsiedel znajduje się plan tej osady, noszący datę tego roku.

Nie tak dokładnie mogę podać ilość mieszkańców naszych gmin. Cała parafia liczy prawdopodobnie około 3,000 dusz, w co atoli wliczam już i tych ewangelików, którzy rozproszeni są po sąsiednich wsiach ruskich. (Dornfeld 1,000 dusz, Nowe Chrusno 300, Reichenbach 400, Lindenfeld 200, Rosenberg-Szczyrzec 200, Falkenstein 400, Einsiedel 200).

Tylko w Rosenbergu posiada jeden Rusin gospodarstwo, prócz tego wszystkie gminy są czysto niemiecko-ewangelickie.

W najbliższym sąsiedztwie niema osad niemiecko-katolickich. Dopiero pode Lwowem Sygnówka i kilka gmin koło Gródka. Te ostatnie bliższe są od okręgu parafialnego Hartfeld.

W każdej ruskiej wsi, w bliższym sąsiedztwie naszych kolonij, znajdują się niemieccy koloniści, tak w Dobrzanach koło Dornfeldu, w Starem Chrusnie, w Krasowie koło Reichenbachu, w Lubienicy koło Rosenbergu, w Srokach koło Falkensteinu, w Serdycy i Mostkach przy Einsiedlu.

Wzrost—rozwój? zanik? W ruskich gminach ani jedno, ani drugie. W całości liczba ewangelików-Niemców może się nieco zmniejszyła. Tłómaczy się to tem, iż co roku wychodzi wielka liczba młodych ludzi i dziewcząt do Lwowa szukać zajęcia i zarobku. (We Lwowie prawie cała służba w hotelach, po restauracyach i kawiarniach pochodzi z kolonij niemieckich. Przeważna jej część polszczeje. Wielu dorabia się majątku zasilając następnie mieszczaństwo lwowskie).

Nasza wyspa językowa opiera się o niemieckie gminy koło Lwowa (Kaltwasser i Weinbergen), a następnie o okręg parafialny Hartfeld (Hartfeld, Kuttenberg, Rottenhau). Oddalenie jednak jest dość znaczne (30—50 kl.). Mieszkańcy jednak utrzymują bliższe stosunki pomiędzy sobą. Stamtąd wywożą sobie żony, a pochodzące z tego pokrewieństwa wzmacniają wzajemne stosunki.

W mniejszym stopniu wiążą stosunki Brigidau z Ugartsbergen (Josefsberg). Nie możemy się u nas skarżyć na ucisk. W korespondencji i w styczności z władzami posługujemy się językiem niemieckim (starostwo, sąd powiatowy, wydział powiatowy, rada szkolna powiatowa). Nasze niemieckie podania bywają załatwiane

po polsku, natomiast my załatwiamy polskie pisma urzędowe po niemiecku.

Znaczenie? We Lwowie „masło niemieckie“ góruje nad wszelkiem innym. Ostatecznie nie istnieją stosunki naprężone pomiędzy Niemcami a Rusinami, względnie Polakami.

Większość naszych Niemców nie pozbyła się w ciągu stuletniego pobytu tutaj swojej niemieckości, jest ona atoli obojętną pod względem narodowym. Niemiecki Michałek (*der deutsche Michel*) zaciągnął swą „szlafmycę“ po za uszy, ma się jednak dobrze. Nie można tego ludziskom brać za złe, gdyby ta lenność nie tworzyła niebezpieczeństwa narodowego. W Galicyi nigdy nie jesteśmy pewni, jak daleko panowie Polacy zajdą w Austrii. Więcej świadomości, iż jesteśmy członkami wielkiego, potężnego plemienia, które w świecie także posiada nieco znaczenia, nie zaszkodziłoby pewnie.

W tym kierunku jestem bez przerwy czynny. Moi też uczniowie nie tak prędko ostygną z niemczyzny. U dorosłych mogłyby dzienniki dużo zdziałać. Tylko że ludzie nasi są za skąpi, by wydać na to kilka groszy. Czy chcesz wydać książkę o koloniach? W takim razie nie zapominaj, że Einsiedel, a częściowo Rosenberg i Falkenstein były gminami menonickimi. Twój przyjaciel \*.\*.“

Widzimy zatem dowodnie, że Niemcy ewangelicy po osadach wiejskich mnożą się i że zachowali w pełnej sile swą narodowość, nie tylko pod względem językowym, lecz także w sposobie życia, w zwyczajach i obyczajach, a szkoły niemieckie poprawiły im nawet język, gdyż rozmaite narzecza, często bardzo oddalone od siebie, jakie ciągnąc z różnych zakątków Niemiec zawlekli do Galicyi, albo za pomocą niemieckiego języka piśmiennego zbliżyły do siebie, albo też usunęły je zupełnie tak, iż w części osad mówią dziś poprawnym językiem. Szkoły niemieckie w Galicyi, używające szczególnej a nawet wyjątkowej ochrony i pielęgnowania ze strony galicyjskich władz samorządnych, jak sam superintendent Fritsche wyznaje, wzmocniły niemało przez zjednoczenie językowe narodową siłę osadników niemieckich i zbliżyły ich piśmiennym językiem do słońca wszechniemieckości, którego promieniami odżywają i rozwijają się pomyślnie, dodajmy—w cieniu naszego niedbalstwa narodowego i ignorancyi stosunków kolonialnych w kraju własnym.

O agitacyi pruskiej komisji kolonizacyjnej pomiędzy osadnikami niemieckimi bardzo mało wie nasz ogół, a właściwie zgoła nie znany istotnego stanu rzeczy. Czytamy w dziennikach i sły-

szymy, że galicyjscy koloniści wychodzą w Poznańskie i do Prus i że niektórzy wracają stamtąd. Nie wiemy zaś ani ilu ich wyszło, ani ilu wróciło, ani też z których mianowicie galicyjskich osad pruska komisya kolonizacyjna czerpie siły do wynarodawiania nas w Wielkopolsce i Prusiech; zgoła nic nie wiemy jakie panują stosunki w galicyjskich koloniach niemieckich, jakie ujawniają się w nich prądy, jak one rozrzucone są po kraju, ile ich jest, gdzie leżą główne ich ogniska, jaka prowadzi się agitacya, jakich używają środków, kto agituje, czy ruch wychodźczy do Prus słabnie lub powiększa się—jednem słowem o tem wszystkim nie mamy prawie wyobrażenia. W tym kierunku prześciga nas niezrównanie pruska komisya kolonizacyjna. Znając wybornie wszystkie stosunki galicyjskie, umie ona na tej podstawie działać skutecznie, podczas gdy my nieznaną położeńa pozostajemy bezbronni.

Obowiązek narodowy, sądzymy, nakazuje nie lekceważyć tej sprawy.

Niestety, panują w Galicyi co do tego mylne poglądy. Powszecznie słyszeć można zdanie, że obojętną jest dla nas rzeczą kogo Prusacy osadzają na obszarach wykupionej dla kolonizacyi ziemi, kolonistów galicyjskich lub wychodźców z krajów niemieckich, dodając, iż owszem Galicya pozbywa się tym sposobem Niemców. Zdanie to jest wręcz mylne, o czem mogłaby nas poczyć już sama nadzwyczajna gorliwość pruskiej komisyi kolonizacyjnej w ściąganiu Niemców galicyjskich do siebie. Musi jej, z pewnością nie na naszą korzyść narodową, bardzo na tem zależeć. Dla czego? Raz dlatego, że wogóle brak jej materiału w ludziach, a powtóre, że Niemcy galicyjsey są protestanci i nadto tworzą najlepszy materiał osiedleńczy jako ludzie, którzy przedtem żyli w podobnych stosunkach, znają język, zwyczaje i obyczaje polskiej ludności, a nadto są pracowici, oszczędni i małym się zadawałniający. Komisya kolonizacyjna powinna nam pod tym względem służyć za drogowskaz. Bądź co bądź, z pewnością większą daleko szkodę narodową przynoszą nam Niemcy na posterunku w Wielkopolsce lub w Prusach Zachodnich, aniżeli w Galicyi, szczególnie Wschodniej.

Rozumie się samo przez się, że obojętność i bierność nasza ułatwia wspomnianej komisyi działalność w Galicyi i wogóle zadanie jej niszczenia polszczyzny, podczas gdy w Galicyi germanizacya, z wyjątkiem zakątka białskiego, który komisya omija znacząco, nie jest aktualną i nie przedstawia na razie takiego niebezpieczeństwa, żeby ten ubytek uważać można za korzyść narodową, mogącą zrównoważyć niekorzyść poniesioną z drugiej strony.



Jedyni, którzy w Galicyi stawiają opór pruskiej komisji kolonizacyjnej są pastorowie ewangeliccy, którym agitatorowie narodowo-niemieccy zarzucają, iż czynią to w interesie własnym, obawiając się przez ubytek członków gminy wyznaniowej uszczuplenia dochodów parafialnych i wogóle podkopania swoich stanowisk.

Być może, iż to prawda, lecz nas mało obchodzić mogą pobudki w danym razie. Natomiast sam fakt, tocząca się między Niemcami galicyjskimi walka za wychodźstwem i przeciwko niemu zasługuje ze wszech miar na baczną uwagę z naszej strony.

Za wychodźstwem oświadczają się w szczególności młodzi nauczyciele ludowi, przejęci skrajnym duchem narodowym przez jurgeltników i agentów komisji kolonizacyjnej, zaś przeciw wychodźstwu stawiają pastorowie opór w zwartym szeregu. Gdyby nawet prawdą było, że pastorowie powodują się interesem własnym, to w tym razie sobkostwo ich przedstawia się jako identyczne z interesem zboru, a tego bronić jest przecież ich obowiązkiem. Przytem podkreślić należy, iż pastorowie opozycję swoją uzasadniają etycznymi względami.

Wychodzący w Biały organ protestanckich Niemców galicyjskich, redagowany przez wyżej wspomnianego superintendenta Fritsche: „*Evangelisches Gemeindeblatt für Galizien und die Bukowina*“ pisze w tej sprawie: „W sprawie wychodźstwa do Poznańskiego wskazywaliśmy często, że w samem państwie niemieckiem znajduje się dużo prawdziwym duchem niemieckim przejętych mężów, którzy nasze zapatrywanie się na politykę pruską w Poznańskim podzielają. Ganiliśmy tę politykę, ponieważ zdążyła ona wprost do zniszczenia wielkiej narodowości, czego nie można ani moralnie usprawiedliwić, ani też skutecznie wykonać. Wypowiedzieliśmy otwarcie, że taką polityką nie możemy się zachwycać, i że do powodów, dla których ziomkom naszym odradzamy przesiedlać się w Poznańskie, należy także i ten, iż nie chcielibyśmy, żeby nas uważano za protektorów tego rodzaju niesprawiedliwych i żadnego widoku niemających dążeń politycznych. Niektórzy Niemcy austriaccy, którzy mniemają o sobie, iż patriotyzm niemiecki dzierżawią wyłącznie, poczytali nam to bardzo za złe. Napadnięto na Niemców galicyjskich, a szczególnie na ich pastorów, jako na zdrajców sprawy narodowej, albo jako na nierozumnych marzycieli, którzy o polityce nie mają wyobrażenia, a zachowaniem się swoim wyrządzają sprawie niemieckiej *najcięższą szkodę.*“

Co w tym razie stanowi dla Niemców „najcięższą szkodę,“ możnaby ogłosić największą korzyścią dla nas.

Ten sam organ pisze na innem miejscu: „Niemiecki Galicyanin, który osiedla się w Poznańskim, musi słusznie być uważany przez tamtejszych Polaków za wtręta. Ma bowiem pomagać tam w germanizowaniu tak samo słowiańskiego kraju, jak Galicya. Nie dziw przeto, iż tam nie będą mu okazywali miłości. *My w Galicyi—dzięki Bogu—nie możemy się uskarżać na ni tolerancyę.*“

Przyznać trzeba, że to uczciwe głosy niemieckie, potępiające ciemnieją w obec nas politykę pruską i zwalczające ją w zakresie swojego działania na korzyść naszą. Dlatego zasługują pastrowie galicyjscy, żeby ich poparto z polskiej strony, zwłaszcza, iż w danym razie chodzi o nieprawowite wicherzenia agentów zagranicznej władzy politycznej, do tego wcale w środkach nieprzebiegającej. Agenci ci uciekają się wręcz do oszukańczych sposobów, obiecując kolonistom galicyjskim—gruszki na wierzbie. „Sposób agitacyi musi wywoływać oburzenie. Do jednej z naszych kolonij przybywa naprzykład, pochodzący z niej młodzieniec, który przesiedlił się w Poznańskie. Zjechał nie na swój koszt do rodzinnej wsi, i jak zapewniał, na wypoczynek, w nowem, sutem ubraniu. Gdy ziomkowie podziwiali strój jego, a szczególnie wykwintne okrycie, twierdził, iż wszystko to otrzymał w darze w Poznaniu. Tak polecono mu mówić, wyprawiając go na wabika w eleganckich sukniach do Galicyi. Chodziło o bałamucenie w dodatku i pięknem odzieniem pocziwych naszych wieśniaków, którym nabajano już tyle niestworzonych rzeczy o stumilionowych funduszach kolonizacyjnych, których zarzucają wolnymi biletami jazdy do Poznania i obiecują raj ziemski.“<sup>1)</sup>

Galicyjskie „polskie rządy“ pozwalają zagranicznym agentom oszukiwać u siebie bezkarnie.

Pruska Komisya Kolonizacyjna największe zdziałała spustoszenie w osadach niemieckich powiatu cieszanowskiego, mianowicie w miejscowościach: Reichau, Rehberg, Felsendorf, Niemiecki Smolin, Leisdenau i Deutschbach, z kąd razem wyszło około 700 ludzi. Gminy wyznaniowe w tych osadach zostały przez to wstrząśnięte, a nawet w swoim istnieniu zagrożone. W Deutschbachu pozostało tylko dwóch kolonistów, w Rehberg rozwiązał się zupełnie zbor ewangelicki. Wychództwo dotknęło także osadę Einsingen w powiecie rawskim, jako też gminę Bandrów w powiecie liskim. Równie w powiecie stryjskim, kałuskim, doliniańskim i kołomyjskim działalność Komisji pruskiej wydała po-

1) Evangelisches Gemeindeblatt für Galizien u. d. Bukowina. 1906.

żądanym owoc. Z Galicyi Zachodniej wyprowadzono osiedleńców z powiatu nowo-sądeckiego. Ilu wyszło ludzi, z których osad, prócz powyżej wymienionych, tego pomimo skrętnych poszukiwań nie mogliśmy się dowiedzieć. Nikt o tem u nas nie wie. Wątpić też należy, czy w namiestnictwie lwowskiem znajduje się dokładny spis sumaryczny wychodźców.

Kolonie niemieckie józefińskie znajdują się po największej części w kwitnącym stanie. Do najzamożniejszych należą osady około Lwowa i Szczyrca, następnie niektóre w powiecie stryjskim, kałuskim i drohobyckim. Do najuboższych zaliczyć należy kolonie na kamienistych północnych stokach Karpat, jak Bandrów, Engelsberg i inne, jako też te, które położone są na piaszczystej ziemi w dorzeczu Wisły i Sanu, i w końcu niektóre osady w powiatach: łańcuckim, mieleckim i jaworowskim.

Wsie niemieckie galicyjskie wogóle wyglądają jak porządne miasteczka. Domy są w większej części murowane, lecz bywają także drewniane, z twardego zbudowane materiału, stoją w ogrodach i posiadają zabudowania gospodarskie. Największa część kolonij składa się z jednej długiej ulicy, po obydwóch stronach zasadzonej drzewami, wzdłuż której w podwójnym rzędzie stoją domy schludnie wybielone. Rzadko zdarzają się ulice poprzeczne, lub równoległe. Wszędzie piękne kościoły, probostwa i szkoły, których skupienie tworzy środek osady. Strzechy po największej części kryte słomą, w górskich okolicach gontami, nie brak jednak strzech blaszanych i ceglanych. Domy zwrócone bokiem do ulicy. Główny front wychodzi poprzecznie na podwórze. W niektórych osadach stoją domy ciasno jeden przy drugim, w innych w dość sporem oddaleniu od siebie. Stajnia przytyka często do domu mieszkalnego. Przed domem od ulicy bywają ogródki z kwiatami, naprzeciw domu znajduje się ogród warzywny z piwnicą do połowy pogłębioną w ziemię. Nie brak też sadów. Domy wyglądają jednolicie, różniąc się bardzo mało budową. Wewnątrz schludnie i porządnie. Z sieni wchodzi się do wielkiej izby, obok której znajduje się mniejszy pokój. Obydwie izby służą kolonistom jako jadalnia i sypialnia. Na drugiej stronie domu spiżarnia i mała izba dla rodziców, pozostających na wyciążu (w stanie spoczynku). Z sieni prowadzą drewniane schody na strych. W lecie gotowalnia znajduje się w sieniach. Wznosi się nad nią otwór komina. W zimie gotuje się w izbie mieszkalnej, w lepszych domach znajduje się osobna kuchnia zimowa.

Fritsche zapewnia, że koloniści galicyjscy są w kierunku narodowym nieskażeni, że są czystymi Niemcami. „Mówią, iż niemczyzna w Galicyi prędzej lub później zniknie w polszczyźnie. Jest to próżne gadanie. Przynajmniej co do ewangelickich Niemców nie zgadzające się z prawdą. Brak na to wszelkiego dowodu. Niemczyzna w galicyjskich ewangelickich osadach wiejskich nie doznała najmniejszej ujm. I nie tylko powierzchownie, lecz w istocie rzeczy jest tu wszystko dobrze niemieckie... Ewangelicko-niemieccy koloniści żyją w Galicyi w pełnej swobodzie narodowej. Przeszkód nie stawiają im w tym kierunku ani władze, ani ludność innojęzyczna i innowiercza. Znaczyłyby grzeszyć przeciw ósmemu przykazaniu Bożemu, nieuznając, iż zachowanie się władz wogóle jest prawidłowe i sprawiedliwe.“ Zwyczaje i obyczaje kolonistów nie wszędzie są jednakowe. W tem odzwierciedla się różnorodność ich pochodzenia. Wesela prawie wszędzie odbywają się bardzo uroczyście. Drużbowie obchodzą kilka dni przed weselem osadę z zaprosinami. Zaproszony musi zawiązać wstążkę na laskę drużby, których zwyczajnie bywa dwóch. W dniu ślubu oznajmniają wystrzały z moździerzów lub z pistoletów początek uroczystości weselnej. Goście zgromadzają się w domu panny młodej. Przed pochodem do kościoła urządzają sobie drużbowie i drużki płasy, podczas których młoda para przystraja się do ślubu. Panna młoda zdobi głowę wieńcem mirtowym i białym na ziemię spadającym welonem. Gdy przygotowania skończone, porządkuje się korowód weselny i wyrusza do kościoła. Przodem idą muzykanci, którzy grają czułe, za serce ściskające melodye, za nimi prowadzą drużbowie pannę młodą, a drużki pana młodego, potem następują rodzice młodej pary, krewni i goście weselni. Po drodze strzelają chłopcy z pistoletów. Po ślubie wiedzie młody mąż zaślubioną w towarzystwie kapeli gędziennej, grającej wesołe pieśni, do domu jej rodziców, gdzie młodej parze składają obecni szczere życzenia, poczem rozpoczynają się właściwe, wielkie płasy. Gdy się dość napłąsano, zasiadają wszyscy do stołu dla pokrzepienia się, przyczem nikt nie wylewa za kołnierz. Podczas jedzenia skrada się jeden z drużbów i włazi niepostrzeżenie pod stół, by pannie młodej wyzuc trzewik. Schwycony łup drużba wystawia następnie na licytację i w końcu oddaje jej trzewik wraz z utargowanemi pieniędzmi. Uroczystości weselne trwają często przez trzy dni, przy czem wody nikt nie pije, a często przychodzi do zapaleczywej pijatyki. Szczególnie ochoczo odbywają się kiermasze, zwane narzeczowo „kerb“ albo „kirweh.“ Świącą je po skończonych żniwach. Chłopcy przynoszą z lasu wyso-

ką sosnę, a odarłszy ją z kory i ubrawszy ją w obręcz zaopatrzone w różnokolorowe wstążki, wkopują z niemałym wysileniem ją w pobliżu kościoła, aby gościom zdążającym zbliska i zdaleka zapowiadał „*kronichbom*“ albo „*kroncbämche*“ uroczystość. Na tę uroczystość przygotowały się wszystkie domy czysto i powybielane. Kto żyw, przywdział strój świąteczny. Przez trzy dni i dwie noce trwają płasy, a hulają nie tylko młodzi, lecz także starzy, ci czasem skoczniej od tamtych. Zwady zdarzają się także. Do krwi rozlewu jednak nie dochodzi.

Do osobliwych zwyczajów należy ostrzeliwanie Nowego Roku, polegające na tem, iż mężczy gratulant, zanim wejdzie do izby, daje strzał z pistoletu. W niektórych miejscowościach zakazano strzelania. Zimą odbywają się wspólne prządky. Młodzież męzka i żeńska zbiera się wieczorem razem w izbie rodziny nie zbyt obarczonej potomstwem. Dziewczęta z kądzielami, jednak mniej przędą, a więcej opowiadają sobie, śpiewają i bawią się. Przy chrztach i pogrzebach odbywają stypy. Przy zarzynaniu świń goszczą się zupą zwaną „*metzelsuppe*“, co stanowi także rodzaj zwyczajowej zabawy.

We wszystkim — w życiu społecznem i towarzyskiem przebija u kolonistów zmysł zbiorowości i Ignienie swego do swego, co nie mało przyczynia się do utrzymania narodowości.

Nie mogąc osobiście zwiedzić więcej nad kilka kolonij w Galicyi Zachodniej, udaliśmy się z prośbą o informację do osób zaufanych, mieszkających w samych koloniach, lub najbliższem ich sąsiedztwie, a dobrze je znających i z miejscowymi stosunkami obznajomionych. Tym sposobem zebraliśmy wiązanek wiadomości, jak sądzimy, dosyć ciekawych, których z pisanych źródeł, dla ich braku, zebrać nie można.

O nowo-sądeckich osadach niemieckich zasiągnęliśmy nieco wskazówek od posła nowo-sądeckiego włościańskiego *Jana Potoczka*, gospodarza z Świniarska, gdzie istniała mała osada niemiecka.

„Nasze (nowo-sądeckie) kolonie“ — opowiadał nam poseł Potoczek — „są luterskie. Sądzę, że są w upadku, z wyjątkiem może kilku osad, jak: Stadło, Nowy Sącz (przedmieście Grodzkie) i Dąbrówka Niemiecka. Przyczynia się do tego wychodźstwo: przed 20 laty w Stryjskie, a obecnie do Prus. Lud nasz wykupuje Niemców. Ja sam kupiłem dwa niemieckie gospodarstwa w Świniarsku. Następnie podkopyje byt kolonistów ich życie nad stan i pijaństwo. Jeżeli mowa o osadach niemieckich w Sądecyźnie, to dziś można jako takie uważać: *Stadło, Nowy-Sącz-Grodzkie*, gdzie się znajdują zbory ewangelickie i szkoły wyznano-

we, *Nowy Chełmiec*, *Niemiecka Dąbrówka*, gdzie są koloniści najzamożniejsi, *Tyczyn* i *Gołkowice*. W *Strzeszycach* i *Zbikowicach* jest po 3 lub 4 Niemców gospodarzy, w *Mokrej wsi*, *Drzykowie*, *Biegonicach*, *Barcicach* po 2 lub 3, a w *Swiniarsku* pozostało jeszcze tylko dwóch. Nasi wykupili ich bardzo wielu. Niemcy żyją bardzo dobrze, zbyt kownie, lubią się bawić i „zaglądają“ do „kufla“ lub kieliszka chętnie, a na to nie wszystkich stać. Gdy wieczorem wracają z targów w Nowym Sączu, są zwyczajnie popici, śpiewają po drodze i hałasują, iż nieraz po naszych wsiach budzą śpiących. Dlatego bardzo wielu w długach. Zagraża im wyprzedanie. Natomiast żony ich pracowite i oszczędne. W *Stadle* utrzymuje *Gustaw Adolf Verein* niemiecką szkołę wyznaniową. Z Polakami żyją dobrze, lecz przy wyborach nie głosują z polskimi włościanami.“

O osadach niemieckich w powiecie mieleckim (Galicya Zachodnia) podaje nam sprawozdanie tamtejszego posła włościańskiego, *Krempey*, co następuje: U nas Niemcy w koloniach: *Josefsdorf*, *Hohenbach*, *Schönangern*, *Reichsheim* i *Padew-Kolonia* są oszczędni, pracowitsi i zamożniejsi. *Hohenbach* należy do rzędu najsilniejszych posterunków kolonij józefińskich w polskiej części kraju. Spolszczenia nie widać w żadnej osadzie niemieckiej. Koloniści stoją twardo przy swojej narodowości. Z ludnością polską żyją w zgodzie. Są wogóle o wiele zamożniejsi od włościan polskich. Pijaństwa u nich mało bardzo. W każdej większej osadzie posiadają dobrą szkołę niemiecką, lepszą niż nasze polskie. Przy wyborach głosują z polskiem stronnictwem ludowem.

Sprawozdanie nasze z *Bandrowa* w powiecie Lisko (Galicya Wschodnia), zasiągnięte z najlepszego ewangelickiego źródła, opiewa: „Nasza gmina ewangelicka (bandrowska) liczy z osadami do niej należącemi w powiecie dobromilskim około 1000 dusz. W Dobromilskim jest też niespełna 500 niemieckiej katolickiej ludności. Do naszej gminy należą z naszego powiatu osady: *Bandrów* i *Siegenthal*, w dobromilskim powiecie: *Makowa*, *Steinfeld*, *Obersdorf* i *Prinzenthal*. Fizyczny stan parafii, złożonej z samych niemieckich kolonistów jest bardzo dobry <sup>1)</sup>. Świeże górskie powietrze w tej leśnej okolicy służy bardzo dobrze zdrowiu. Nawet w Bandrowie, gdzie koloniści jadają po największej części owsia-

<sup>1)</sup> Sprawozdawca chciał widocznie powiedzieć, że parafianie zdrowi i silni. Tem też tłómaczy się szczególne umizganie się do nich pruskiej Komisji Kolonizacyjnej.

ny chleb, są ludzie czerstwi i silni do pracy. Stan moralny również bardzo dobry. Dzieci z nieprawego łoża stanowią wielką rzadkość. Pijaństwo też rzadkie. Ziemię posiadają chuda, zbytku środków do życia niema. Natomiast mamy dobre szkoły i ludność posiada zmysł religijno moralny. Tutejsi koloniści pochodzą po największej części z okolic, gdzie Men wpływa do Renu. Przodkowie ich pochodzą: z Hochspeier, Affenheim, Altsheim, Febrnach, Klein-Sachsen, Genheim, Tüssgenheim, Framesheim, Frankelbach, Eggenstein, Oberhaulheim, Morsheim, Berenbach, Altsbrücken, Untergekenbach i Essighofen. Wypisałem to ze starej księgi parafialnej. Gwara w gminie (t. j. w osadach należących do niej) nie jest jednolita. W Siegenthal mówią inaczej, jak w Bandrowie. Mówią między innymi np. zamiast *nicht* (nie) = „*nehe*“ i „*nett*“, *haben* (mieć) = „*hun*“ i „*hau*“, *kirche* (kościół) = „*kerk*“ i „*kerche*“ i t. d. Strój podobny do stroju ludowego w okolicach spływu Menu z Renem.“

Z stryjskiego powiatu otrzymujemy następujące informacje: „Mieszkańcy tutejszych kolonij józefińskich pochodzą z ziem saskich <sup>1)</sup>). Dotychczas koloniści zachowali nieskazitelnie czysto narodowość swoją, nie mieszając się z inną ludnością krajową. Żenią się tylko między sobą. W żadnej kolonii, jakie znam, niema ani jednego małżeństwa mieszanego. Chrzczyny odbywają się dopiero w ośm dni po narodzeniu dziecięcia. Chrzestnych rodziców bywa 2 — 10 par. Uroczystość chrzestna kończy się w jednym dniu. Chrzestni rodzice nie troszczą się następnie zgoła o swoich chrzestników, nie dają też żadnych podarunków. Równie tak samo dzieje się przy bierzmowaniu. Jeśli jednak pochrzestne dziecko osierocieje zupełnie, biorą je za swoje. Wesele po trzykrotnych publicznych zapowiedziach - rozpoczyna się w niedzielę lub wtorki. Dwaj druźbowie, wyznaczeni osobno do tego, spraszają po wsi gości. Druźbowie, swaty i drużki zdobią się kolorowemi wstążkami i bukietami kwiatów. Wieńce ślubne splatają zamężne kobiety z rodziny. Wdowy wyłączone od tego. Ucztę weselną urządzają rodzice pobierających się wspólnym kosztem w domu panny młodej. Uroczystości trwają jedną dobę. Umarłych myją po śmierci, ubierają w świąteczne ubranie i wystawiają na wysokim katafalku trupa w izbie mieszkalnej. Po 36 godzinach składają go do trumny i następnie po 48 godzinach odbywa się pogrzeb. Oznak żałobnych nie używają. Kiermasze

<sup>1)</sup> Sądzymy że tylko część ztamtąd pochodzi.

odbywają się raz w rok i trwają 2—3 dni. Goście i krewni przybywają z bliska i z daleka i bywają gościnnie witani. Dawniej wkopywano w ziemię przy „kerku“ (kościół) odpustowe drzewa. Teraz przyozdabiają kościoły zewnątrz i wewnątrz choiną, kwieciami i wstążkami. Na kiermasze pieką suto pieczywa: baby, torty i inne przysmaki. We dnie robocze pozostają wszyscy w domu, tylko niektórzy mężczyźni zaglądają tu i ówdzie do karczmy. W niedziele i święta bywa karczma dla mężczyzn punktem zbornym, gdzie nie tylko piją, lecz także grają w karty. Młodzież odbywa w karczmie pląsy. Strój ludowy pierwotny znikł zupełnie. Mężczyźni i kobiety noszą się mniej więcej po miejsku. W zimie używają kożuchów, krytych ciemno-niebieskiem sukniem i czapek baranich. Starsi ludzie noszą suknie tylko czarne. Przy robocie używane są bez różnicy płci buty z cholewami. Do stroju świątecznego należą sznurowane ciżemki. W lecie okrywają mężczyźni głowę często kaszkietami. Niewiasty noszą w lecie kolorowe jedwabne chustki na głowie, w zimie ciężkie chustki lub baszłyki. Młode mężatki noszą się tak samo jak dziewczęta. Gwarą kolonistów jest piśmienny język niemiecki. Narzecza już zniknęły zupełnie, albo też tu i ówdzie utrzymały się w małej części.“

Córka naczelnika gminy podyktowała naszemu sprawozdawcy, jako próbę językową, kołysankę, która brzmi w czystej niemiecczynie:

„Ei, lul leise --  
 Oskar ist nicht zu Hause;  
 Er ist in Nachbar-Garten gegangen,  
 Für das Kätzchen ein Mäuschen zu fangen.“

(„Lula, śpij spokojnie, Oskara niema w domu; poszedł do ogrodu sąsiada, ułować myszkę dla kotka.“)

Z Reichenbacha koło Szczyrca w powiecie lwowskim nadesłano nam utwór poetyczny o Marcynie Lutrze tamtejszego nauczyciela ludowego, syna kolonisty. Tu dają się spostrzeżać niektóre narzeczone właściwości. Oto wyjątek z tego utworu:

„Des halt der Papscht net lang so aus,  
 Er will die „Ketzer“ rotte aus  
 Dorch schlaue Jesuiten leit, —  
 Ke Mittel werd derbei gescheit.  
 Jetzt kummt der dreissig jährlich kriech,  
 Ders Luthervolk macht schwach un siech  
 Un mancher „Ketzer“ arm un bloss  
 Fallt jetzt serick in Romas Schoss.“



(„Tego nie wytrzyma papież długo, chce on zniszczyć heretyków przez chytrych jezuitów, — przed żadnym środkiem nie wzdragają się. Przychodzi teraz wojna trzydziestoletnia, która czyni lud Lutra słabym i okaleczałym, a nie jeden heretyk wraca napowrót na łono Rzymu.“)

Tu dźwięki gwarowe bardzo wyraźnie wskazują na narzecze szwabskie.

Z innej strony, z powiatu drohobyckiego, otrzymujemy doniesienie: „Rodzaj budowy domów mieszkalnych różni się zupełnie od tego, jaki jest używany w okolicach niemieckich, skąd oni pochodzą. Dziś widać tylko rzadko dom i stajnię pod jedną strzechą, jak to bywało dawniej, przedzieloną tylko gumniskiem. Nowe domy przybudowań stajennych nie mają wcale i są głównym frontem zwrócone ku ulicy. Posiadają przed frontem ogródek z kwiatkami, z tyłu obszerne podwórze, otoczone budynkami gospodarczymi. Prócz tego znajdują się przy domach ogrody warzywne i sady. W polach sieją wszystkie rodzaje zboża, buraki, ziemniaki i pastewne rośliny. Przy uprawie roli używają lepszych przyborów i przyrządów. W stodole znajdują się w ruchu ręczne młockarnie, młynki do oczyszczania zboża i siewczarnie ulepszonej konstrukcyi. Płótno w rozmaitych rodzajach wyrabia się w domu. Mleko przerabia się na masło i sery. Bydło symentalskiej rasy utrzymywane bardzo dobrze. Tuczą u siebie bydło i nierogaciznę. Woły ciągną w jarzmach, konie zaprzęgają w chomąty. Uprawiają też chów koni, po największej części pochodzenia węgierskiego, które dostarczają komisji asenterunkowej wojskowej. Liczba gospodarstw pozostała bez zmiany, gdyż całe gospodarstwo dziedziczy syn najstarszy, który potem młodsze rodzeństwo spłaca w pieniądzech tak, iż posiadłość kolonisty tworzy rodzaj majoratu. Gdy dzieci podrosły i pożeniły się, żyją rodzice przy nich na wyciążu. Kościół, szkołę, proboszcza i nauczyciela utrzymuje gmina <sup>1)</sup>. W szkołach językiem wykładowym jest niemiecki, tu i ówdzie uczą się dzieci także po polsku. Domy mieszkalne mają różny podział wewnętrzny. W większej części posiadają dwa pokoje, dwie kuchnie, spiżarnię i wielki przedsionek. Domy budowane z drzewa z strzechami słomianemi. W nowszych czasach wzniesiono nie mało domów murowanych i krytych cegłą. Wielki pokój bywa zwyczajnie malowany.“

<sup>1)</sup> Przy pomocy *Gustav-Adolf-Verein'u*, zasiłków z funduszu krajowego i wszechniemieckich stowarzyszeń.

Pan Otto Koźdoń, syn pastora ewangelickiego w Brigidau, jednej z największych kolonij galicyjskich, położonej w powiecie stryjskim, nadesłał nam następujące szczegóły o tej miejscowości: „Nasi koloniści przybyli w te strony w r. 1783 z Hesyi, Nassawii i Palatynatu reńskiego. Okolica, przeznaczona dla nich do osiedlenia, była bardzo dzika. Ziemię pokrywał las dziewiczy w całym okręgu, wilki, rysie i inne dzikie zwierzęta, które obecnie bardzo rzadko pojawiają się w naszej okolicy, spotykać można było wówczas na każdym kroku. W r. 1803 powstał w Brigidau pierwszy ewangelicki kościół, zwyczajny budynek z drzewa, wzniesiony przed dwiema przastarami olbrzymiemi lipami. Po kilkunastu latach wymurowano nowy kościół, a odwieczne lipy ścięto. Pod starym kościołem znajdował się bardzo wielki kamień, pod nim spoczywał zapewne dokument fundacyjny, którego atoli, mimo poszukiwań z mej strony, odnaleźć nie mogłem. Dawniejsi członkowie zboru byli ludźmi nieokrzesanymi i moralnie nisko stojącymi tak, iż, gdy później proboszcz Mitschke w kazaniu upominał parafian, by wiedli życie moralne, czyniąc im pewne wyrzuty, wygnali pastora z kościoła, zamknęli kościół na klucz, nie chcąc swego duszpasterza wpuścić do niego. Musiano sprowadzić ze Stryja wojsko dla przywrócenia porządku. Wojsko otoczyło kościół, kazano kobietom i dziewczętom opuścić go, a mężczyznom i chłopcom wymierzono pod lipami porządną ilość razów na ławkach, co do dziś dnia tkwi w pamięci kolonistów. Szkoła zbudowana w r. 1864 jest dwuklasową z czterema oddziałami i posiada odpowiednie siły nauczycielskie. Przedtem posiadała jedną tylko klasę, a jeden z gospodarzy miejscowych uczył dzieci czytać, pisać i liczyć. Gwara szwabska utrzymała się dotychczas. Lubo mieszkańcy wszyscy mówią poprawnie po niemiecku i znają język piśmienny, między sobą używają narzecza. Koloniści nasi, co się tyczy oświaty i wykształcenia, jako też wzorowego gospodarstwa, wykazują wielkie postępy, niestety, stosuje się to także do pyszałkowatości i życia nad stan. Wieś nasza, wznosząca się na pagórku, nie leży w pięknej okolicy. Otoczona jest urodzajnymi polami i laskiem dębowym. Domy nie są rozrzucone, jak w innych tutejszych wsiach, lecz ciągną się po obydwóch stronach ulic szerokich i drzewami wysadzonych. Przy domach piękne ogrody i sady. Sadownictwo w Brigidau bardzo rozwinięte. Uprawiają dużo rodzajów najszlachetniejszych owoców, które dają im dość znaczne dochody. Wieś posiada straż ogniową i sikawkę własną, jako też wagę dla bydła. Istnieje na miejscu stowarzyszenie śpiewackie, które prócz pieśni świeckich uprawia śpiew ko-

ścielny. Pod względem moralnego życia przewyższa obecne pokolenie swoich przodków. Pijaństwo jednak jest dość jeszcze rozpowszechnione.“

Brigidau, podobnie jak Dornfeld koło Szczyrca, Winniki koło Lwowa i Hohenbach w Mieleckiem, należy do metropolij niemiecko-osadniczych w Galicyi. Nadesłano mi stamtąd wiązanek pieśni ludowych z miejscowym kolorytem, a więc także powstałych. Jedna z nich jest rodzajem strasznej ludowej ballady, opiewającej zabójstwo dziewczyny przez zdradliwego kochanka w wyrazach pełnych grozy. Straszna zbrodnia zdarzyła się w Brigidau, jak wyraźnie pieśń ludowa zaznacza. Inna o „kumoszkach“ tej samej miejscowości odznacza się czerstwym humorem:

*„Des Morgens in aller früh  
da treiben die Weiber die Küh,  
Sie treiben sie alle zusammen  
Einen guten Rath halten sie,  
die erste sprach: „Wohlan,  
Was frag ich minen Mann  
Ins Wirthshaus wollen wir gehen  
Zum rothen kühlen Wein*

(„Rankiem wczesnym pędzą kobiety krowy, pędzą je razem, odbywając walną naradę. Pierwsza z nich powiada: „Słuchajcie, co ja tam pytać się będę męża—chodźmy do karczmy na czerwone chłodzące wino.“) Druga i trzecia godzi się na to i kumoszki idą do karczmy na wino i piją. Gdy przyszło do zapłaty, pierwsza i druga płaci, trzecia niema czem zapłacić, musi zostawić w karczmie czerwoną spodnicę. Wraca w koszuli do domu. Młodzi i starzy wyśmiewają się z niej:

*„Wir haben alles versoffen  
Beim kühlen rothen Wein.“*

(„Przepiłyśmy wszystko przy chłodzącem czerwonym winie“).

Widać z tej piosnki, że w koloniach nietylko mężczyźni, lecz także ich połowice lubią zaglądać do szklanicy.

Jeden z nauczycieli ewangelickich powiatu stryjskiego pisze nam o tamtejszych koloniach: „Największe osady niemieckie w okolicy są: *Gelsendorf* (Komarow niemiecki), *Neu-Oleksitz* (Nowe Oleksice), *Brigidau*, *Neudorf* (Nowa Wieś). Są też całe kolonie niemieckie na przedmieściach Stryja, Bolechowa i Doliny bez specjalnych miast niemieckich. Koloniści niemieccy mieszkają też

nader licznie w przylegających do kolonij miejscowościach słowiańskich. Z sąsiadami żyją koloniści przyjaźnie, biorą udział w uroczystościach rodzinnych Słowian i zapraszają tychże na swe wesela i chrzciny. Przy pogrzebach wybitniejszych osobistości powiatu lub kraju widzi się często deputacje kolonij niemieckich. Czasem bywają nawet w kościołach i cerkwiach katolickich. Młodzi synowie kolonistów uczęszczają do szkół i wyższych zakładów naukowych, gdzie kształcą się najczęściej na pastorów i nauczycieli. Znam także Niemców dziennikarzy i prawników. Osiadli na roli koloniści trudnią się handlem bydła i koni, rzemiosłami, głównie tkactwem i ciesielką. Na koloniach dużo jest niemieckich rzemieślników różnych zawodów. Są krawcy, szewcy, kowale, tkacze, stolarze, cieśle, tokarze, kołodzieje, mielnicy, masarze i t. d. i to nawet dość wprawni. Rzemiosłami trudnią się po większej części wydziedziczeni młodsi bracia. Koloniści niemieccy są dość inteligentni, spokojni, gościnni, zapobiegliwi i ruchliwi w gospodarstwie i kupiectwie — w rodzinnem pożyciu pełni miłości i pientyzmu. Rzadko trafiają się pomiędzy nimi złodzieje.

„Dostają oni wiele książek, broszur, a nawet rycin, przeważnie cesarzy i cesarzowych niemieckich, książąt i niemieckich wybitniejszych osobistości. Obraz niemieckiego cesarza, cesarzowej i Bismarcka widnieje prawie w każdym domu kolonisty. Z gazet są najwięcej czytane „*Deutsche Volkszeitung*“ i „*Schlesische Zeitung*“ (Pierwsza wychodząca w Berlinie, druga we Wrocławiu, obydwie zaś przejęte duchem wszechniemieckim i hakatystycznym); z kościelnych zaś: „*Evangelisches Gemeindeblatt*,” wydawany przez naszego superintendenta Fritscha w Białej i „*Evangelische Kirchenzeitung*“ wychodzącą w Bielsku.

„Koloniści używają pomiędzy sobą wyłącznie języka niemieckiego, ze służbą i sąsiadami mówią po polsku i po rusku i to nawet dość biegle, chociaż z zacięciem niemieckiem. Po miastach dzieci, uczęszczające do polskich szkół, mówią bardzo dobrze i czysto po polsku, lecz w domu używają po większej części języka niemieckiego. Powstała z kolonistów inteligencya mówi zupełnie dobrze i czysto po polsku bez najmniejszego obcego akcentu, w domu zaś używa języka niemieckiego. Pastorzy pochodzą po największej części z uniwersytetów zagranicznych, najczęściej z Wrocławia, nauczyciele zaś z seminaryum ewangelickiego, istniejącego w Bielsku na Ślązku austryackim. W koloniach niemieckich katolickich są nauczycielami uczniowie krajowych seminaryów nauczycielskich, książka zaś wychodzą z krajowych fakultetów teologicznych. Jedni i drudzy posiadają znajomość języka niemieckiego.

„Gelsendorf posiada 48 gospodarstw kolonialnych, Machliniec (gmina katolicka) 52, Brigidau 67.

„Szkoły w koloniach niemieckich, zarówno ewangelickich jak katolickich, są niemieckie. Najlepsze szkoły niemieckie posiada Lwów, Biała, Kraków i Stanisławów. Wszystkie niemieckie szkoły ludowe w Galicyi posiadają prawo publiczności. Ewangelicy wyznania helweckiego mają swoje szkoły wyznaniowe (niemieckie): dwie dwuklasowe i 16 jednoklasowych szkół ludowych. Niemieckich ewangelickich szkół ludowych jednoklasowych z dwoma oddziałami wyznania augsburskiego jest 72, czyli razem szkół jednoklasowych niemieckich 86 w Galicyi, w czym nie są objęte dwu i trzyklasowe, ani też istniejące po miastach szkoły.“

Z powyższego wynika, jeśli uwzględnimy jeszcze niemieckie szkoły w koloniach katolickich, że w Galicyi szkolnictwo niemieckie wogóle jest bardzo rozwinięte i że używa szczególnej protekcji, skoro np. wszystkie niemieckie ewangelickie szkoły wyznaniowe posiadają prawo publiczności.

W ciągu pracy niniejszej wszystkie źródła, między temi urzędowe statystyczne, z których czerpać mogliśmy i czerpali, nie podają dokładnych danych co do osad niemieckich w Galicyi. Wciąż zdarza się, że każde niemal źródło podaje jedną lub kilka nazw osad niemieckich, których nie znajdujemy w innych, tworzących razem sporą wiązanekę, i których nie znajdujemy w spisie osad niemieckich profesora Buzeka, zestawionym na podstawie urzędowych dat statystycznych ostatniego liczenia ludności w r. 1900.

Czem to wytłómaczyć?

Prawdziwości tych innych podań niemożna poddawać w wątpliwość, gdyż pochodzą one od osób znających doskonale stosunki kolonialne i miejscowe, mających stosunki ścisłe z osadami niemieckimi, a nawet żyjących w tychże. Z tego wynika, że na danych statystycznych urzędowych bezwzględnie polegać nie można i że w wykazie urzędowym co do narodowości zachodzić muszą mylne zapisy, że mianowicie w tym wykazie część ludności niemieckiej figuruje w rubryce Polaków i Rusinów, czyli że część Niemców galicyjskich zapisała się jako używająca języka polskiego lub ruskiego. Prawdopodobnie też liczba ludności niemieckochrześcijańskiej jest w Galicyi większą aniżeli w wykazie urzędowym, skoro więcej jest w rzeczywistości osad niemieckich, aniżeli ich podaje urzędowy spis ludności. Inaczej niepodobna wytłómaczyć zachodzącej pod tym względem sprzeczności.

Żałujemy bardzo, iż pomimo usilnego starania, nie mogliśmy zebrać więcej szczegółów o koloniach niemieckich katolickich, z wyjątkiem osad w powiecie bialskim.

Rdzeń ludności niemieckiej w Galicyi stanowią atoli ewangelicy. Osady ewangelickie, aczkolwiek rozrzucone po kraju, tworzą na podstawie ścisłej organizacyi kościelnej i swego dobrze rozwiniętego wyznaniowego szkolnictwa, dobrze spojona całość narodowa, odrębny, mały świat dla siebie, pomyślnie rozwijający się przy pomocy zagranicznych Niemców, o którym my prawie nic nie wiemy i którym mimo wszelkich strasznych przestróg z dziejowej przeszłości wcale się nie troszczymy.

Tymczasem Niemcy, lubo, jak sami wyznają, nie mają powodu skarżyć się na nietolerancję z polskiej strony, „czekają”—wedle słów superintendenta Hermanna Fritscha—„lepszych czasów,” co znaczy zmiany stosunków, „pod złotemi hasłami,” które im ogłasza:

*„Mein Haus ist eine Burg, vergessnicht, dass du ein Deutscher bist!”*

(„Dom mój jest warownym zamkiem, niezapominaj, żeś Niemcem!”)

Zmiana położenia nie jest absolutnem nieprawdopodobieństwem, a wtedy garstka Niemców galicyjskich, mając za sobą w rezerwie prawie milion Żydów, używających zepsutego żargonu niemieckiego, mogłaby przedstawiać wcale poważne niebezpieczeństwo.

G. SMÓLSKI.

# SZTUKA WE FRANCYI

(Rzeźba).

---

Francuzi słusznie uważają rzeźbę za swą sztukę narodową. Rzeczywiście, od najdawniejszych czasów oddawano się we Francyi tej sztuce, jak to świadczą cudnie rzeźbione gotyckie katedry, które, same w sobie stanowiąc już skończone i wspaniałe dzieła sztuki rzeźbiarskiej, zawierają w swych wnętrzach niezliczone i nieocenionej wartości zabytki rzeźby średniowiecznej w postaci posągów i figur Chrystusa Pana, Bogarodzicy i świętych; w płaskorzeźbach, przedstawiających sceny z Ich życia; w grobowcach królów i książąt. Ale nazwiska genialnych twórców tych arcydzieł, powstałych pod wpływem naiwnego, samorodnego natchnienia, bez pomocy wzorów starożytnych, któremi kierowały się pokolenia następane, do wiadomości naszej nie doszły. Zaledwie ich kilka odnaleziono wśród starych dokumentów, w umowach, odnoszących się do robót tego rodzaju, dzięki którym wiedzieć możemy obecnie o istnieniu Michała Colomb, Jana Justyna z Tours, Andrzeja Colomban, Jana Texier i niewielu innych.

Dopiero w okresie Odrodzenia, gdy nowy rozkwit sztuki przybrał tak potężne rozmiary, gdy sztuka zaczęła stawać się potrzebą ducha wyższych warstw ówczesnego społeczeństwa, gdy zainteresowali się nią królowie i możni i na dwory swe wezwali jej znakomitszych przedstawicieli, darząc ich swą protekcją, łaską i niejednokrotnie — przyjaźnią, dzieła przestały ukrywać swych twórców, nazwiska ich stały się znane, głośne i wreszcie — sławne.

Wówczas to, sprowadzeni z Włoch przez Franciszka I rzeźbiarze Rosso i Primatice, stają się założycielami wraz z Benvenuto Cellinim t. zw. szkoły z Fontainebleau, lub wielkiej szkoły

Franciszka I, urobionej na interpretowanych przez Włochów, a więc zmanierowanych wzorach starożytnych.

Przeszczepione z Włoch nowe pojęcia Odrodzenia przyjęły się odrazu na podatnym i uprawionym przez sztukę średniowieczną gruncie francuskim, niepospolite talenty objawiły się niebawem. *Jan Goujon* (Dyana w muzeum Luwru, Fontaine des Innocents), *Jan Cousin*, *Germain Pilon* (Trzy Gracye) są przedstawicielami pierwszego okresu Odrodzenia we Francyi, który wypowiedział się w świetnym grobowcu Franciszka I-go (groby królewskie w kościele w Saint-Denis), dziele zbiorowem, wykonanem przez najznakomitszych rzeźbiarzy ówczesnych. Wziął w niem udział, prócz wyżej wymienionych Jana Goujon i Germana Pilon, także i Piotr Bontemps. Tutaj również zaliczają się Jakób z Angoulême i Bartłomiej Prieur.

Po chwilowym zastoju, spowodowanym wojnami religijnymi podczas panowania Henryka IV, rzeźba w okresie Ludwika XIV doznaje nowego bodźca. U szczytu potęgi, władający bezpodzielnie całą Francją monarcha, pragnie otoczyć swą królewską osobę odpowiednim przepychem, buduje w Wersalu wspaniałą rezydencję, otacza się architektami, którzy stawiają pałace, rzeźbiarzami, którzy je zdobią i zaludniają ich parki marmurowymi bóstwami. I znowu na zawołanie szczęśliwego władcy znajdują się artyści obdarzeni pierwszorzędnymi zdolnościami—*Puget*, *Girardon*, *Coyssevox* przyczyniają się do podniesienia blasku już z tak wielu względów świetnej epoki w historii francuskiej kultury. Z pośród tych trzech rzeźbiarzy, pierwszy ma najwięcej siły i oryginalności, ostatni jest ojcem rzeźby wieku XVIII, średni zaś, t. j. Girardon, wyraża dopiero w całej pełni styl Ludwika XIV.

Girardon jest twórcą grupy, zwanej „Les Bains d'Apollon“ w parku wersalskim, „Porwania Prozerpiny,“ oraz mauzoleum kardynała Richelieu w kościele Sorbonny. Dziełom swym, które Girardon przeważnie wykonywać musiał według rysunków Le Brun'a, wszechwładnego wówczas przy dworze królewskim we wszystkim, co się tyczyło sztuki, artysta potrafił jednak nadać cechy swego rzeczywistego talentu.

Rzeźbiarze francuscy wieku XVI i XVII, wzorując się na arcydziełach greckich i rzymskich nie wprost, lecz przez pośrednictwo włoskich mistrzów Odrodzenia, oddalili się już znacznie od naśladowanego prototypu, nadając swej twórczości charakter odrębny, wynikający nie tyle z poczucia własnej indywidualności, ile z braku prawdziwego zrozumienia sztuki starożytnej. Stąd, zamiast stworzyć typ nowy, jak to uczynili młodzi artyści



Średniowiecza, rzeźba francuska nowożytnego okresu zaczyna od manieri, pomimo której, dzięki niezwykłym zdolnościom takich rzeźbiarzy, jak Jan Goujon, Germain Pilon, Jan Cousin z wielkiej szkoły Franciszka I, lub Puget, Girardon i po części Coysevox z epoki Ludwika XIV, utrzymuje się na wysokości wielkiej sztuki i nie na żarty współzawodniczy ze swą włoską mistrzynią.

W wieku XVIII natomiast, posuwając się dalej w nadanym kierunku i, co więcej, ulegając zepsutemu smakowi chwili, skłania się ona ku zwyrodnieniu. Jeżeli już w poprzednim okresie sztuka wogóle, a rzeźba w szczególności, odznacza się pewną sztuczną majestatycznością, pozuającą na wielkość, to w w. XVIII sztuczność ta przechodzi w napuszczoną teatralną pompę z jednej strony i z drugiej — w poszukiwaniu nienaturalnego wdzięku w liniach pokręconych, w zbyt zaokrąglonych formach i konturach, w przesadnym wykończeniu szczegółów z utratą harmonii całości. Zapo znano prostotę starożytnych, ich naturalne poczucie form, ich staranie o równowagę całości i energię w wielkich liniach — wszystko to, co stanowi podstawę zasadniczą każdego dzieła sztuki, zastąpiono jakąś manieryczną elegancją, czyniącą największy nawet rozmiarami posąg pomnikowy podobnym do powiększonej figurki z cukru, lub ozdoby na kominek.

Szczęściem nawet w tej epoce spaczonych pojęć i zepsutego gustu geniusz francuski wydał jeszcze szereg jednostek obdarzonych dość silnym talentem, które, odbiwszy jego piętno na swych dziełach, pomimo ich manieryzmu, uratowali sztukę rzeźbiarską od zupełnego upadku. Po Antonim *Coysevox*, którego wślawiły prace w Wersalu i Marly, oraz posągi Ludwika XIV, grobowiec kardynała Mazariniego i liczne portrety, następują w tym szeregu *trzej Coustou* — uczniowie poprzedniego, *Falconnet*, *Bouchardon*, *Pigalle*, *Clodion* i *Houdon*.

Począwszy od *Pigalle* zaczyna się reakcja przeciw panującemu stylowi i zasadom. W jego posągu Voltaire'a znać chęć bezpośredniego naśladowania natury; w innych, jak w mauzoleum księcia d'Harcourt, stara się on o wyraz odpowiedni przeznaczeniu dzieła i zbliża się do charakteru średniowiecznego, ale pomimo tych usiłowań, manieryzm XVIII w. dominuje w jego pracach (posąg Merkurego w Luwrze).

Dopiero *Houdon* w poszukiwaniu wyrazu natury i życia, osiąga prawdziwe rezultaty. Jego Voltaire (w foyer Komedyi Francuskiej), a bardziej jeszcze biust Napoleona I posiadają w wysokim stopniu te zalety. Ale ten zwrot do prawdy i natury nie potrwał długo, despotyzm Davida, który w początkach XIX w.

odegrał podobną rolę, jak Le Brun za Ludwika XIV, skierował współczesną sobie sztukę do suchego naśladownictwa sztuki klasycznej i wespół z wpływami Canovy doprowadził ją do tej sztywnej, zimnej martwoty, oraz konwencyonalnej ekliwkości, których ślady w rzeźbie dziś jeszcze dadzą się zauważyć. Pseudoklasycyzm Davida wytwarza w następstwie t. zw. styl akademicki lub szkolny, czyli panowanie rutyny, z którą każdy z posiadających własną indywidualność artystów walczyć musi o prawo bytu.

Pierwszym takim zapaśnikiem o wolność sztuki, który odrzucił precz obowiązujące przepisy, dając folgę własnemu poczuciu i talentowi, jest Franciszek *Rude* (1784—1855). Otrzymał w konkursie w r. 1812 nagrodę „prix de Rome,” Rude z niej nie korzysta i do Rzymu nie jedzie. To zapewne, wskutek uniknięcia wpływów Willi Medicis, gdzie ogół młodych artystów utrwał się w rutynie, pozwoliło mu zachować nienaruszoną swą indywidualność. Główną zaletą jego potężnego talentu jest wielka siła wyrazu, którą doprowadził do szczytu w swej płaskorzeźbie podstawy wielkiego łuku tryumfalnego, nazwanej „Départ des Volontaires,” lub „Marseillaise.” Cała ta grupa odznacza się niezwykłym życiem w gwałtownych ruchach, tchnie od niej powiew entuzjazmu, a głowa figury przedstawiającej Ojczyznę, która nie śpiewa, lecz ryczy Marsylianę, wyrazem swym patryotycznego szału i furji wojennej, niema sobie równej w rzeźbie.

Rude przytem umie wyrazić wdzięk delikatniejszy w „Hebé,” „l'Amour vainqueur du monde,” „Petit pêcheur napolitain,” „Mercure” i t. p. Jego biusty: Davida, Devosges, figura Cavaignac'a (na grobowcu), posąg pomnikowy marszałka Ney'a—wykazują prawdziwe poczucie i ścisłą obserwację natury. Przywiązanie do idei napoleońskiej natchnęło jego „Zmartwychwstanie Napoleona na skałach Ś-tej Heleny,” apoteozę wielkiego cesarza, umieszczoną w ogrodzie miejscowości Fixin (Côte-d'or), a zapal patryotyczny—statuę Joanny d'Arc.

Mniej więcej jednocześnie zadaje kłam rutynie szkolnej wspinał się dzieło Antoniego Ludwika *Barye* (1796—1875). Wielki ten artysta oddał się wyłącznie odtworzeniu kształtów i ruchów zwierząt, w czem okazał się nieporównanym mistrzem. Jego grupy z brązu, w których przeważne miejsce zajmują okazy wielkich drapieżników, zdają się żyć naprawdę do tego stopnia ruchy ich są naturalne i wyrażają żywiołową siłę instynktu. Przedstawiając nieustanną walkę, którą staczają ze sobą wszystkie żyjące stworzenia, aby się pożreć wzajemnie, grupy te mają mudto głębokie znaczenie strasznej tragedii w naturze. Prócz nieskończo-

nej ilości lwów, tygrysów, panter, jaguarów, orłów, walczących lub rozszarpujących swe ofiary — sarny, jelenie, antylopy, zajęce i inne zwierzęta, które, jako bezbronne, ulecz muszą swym straszonym przeciwnikom; prócz węzów, krokodyłów i takich kolosów świata zwierzęcego, jak słoni, nosorożców, hippopotamów i t. p., Barye jest twórcą potężnych grup, przedstawiających walkę Tezeusza z Centaurem, walkę tegoż bohatera z Minotaurem, jeźdźca arabskiego, zabijającego lwa i t. p., a także poetycznych scen miłosnych, jak „*Angélique et Roger*,” i bóstw olimpijskich—Junony i Minerwy.

Barye jest w całym tego słowa znaczeniu artystą genialnym, twórczość jego porównać można do olbrzymich koncepcyj assyryjskich i egipskich, z którymi ma wspólne poczucie żywiołowej siły w przyrodzie. Dzieła jego wzorowane są wprost na naturze, której dokładna obserwacja pozwoliła mu odtworzyć z żywą prawdą kształty i wyrazy i oddać najnieuchwytniejsze, najtrudniejsze do wystudyowania ruchy zwierząt.

W epoce Romantyzmu więcej utalentowane i niezależne jednostki znajdują się w opozycji przeciw szkolnemu pedantyzmowi. *David d'Angers* najwybitniejszy rzeźbiarz tego okresu usiłuje, na podobieństwo mistrzów wieków minionych, utrwalić dla przyszłych pokoleń charakter swego czasu, dając wyraz w swej sztuce ludziom i wydarzeniom współczesnym, zwłaszcza w medalach, z których wiele posiada niepoślednią wartość. Do najlepszych dzieł jego, którym przeważnie zawdzięcza swą sławę, należy apoteoza Rewolucyi, płaskorzeźba umieszczona na frontonie Panteonu, oraz „*Baza umierający*.”

David d'Angers ma dość czucia i szlachetności, ale brak mu siły w oddaniu swych koncepcyj, co jest też wogóle cechą rzeźby romantyków. Wśród tych ostatnich zasługują jeszcze na uwagę *Préault*, *Antonin Maine*, *baron de Triqueti* i *Jéhan du Seigneur*, jako talenty warte uznania, choć nie wybiegające ponad przeciętną miarę.

Pomimo tych usiłowań umysłów i temperamentów niezależnych oswobodzenia sztuki od narzuconego jej jarzma, płytkiemu i utylitarne usposobionemu mieszczańskiemu ogółowi z czasów panowania Ludwika-Filipa, ta właśnie sztuka akademicka, złagodzona afektacją i okraszona pikantną kokieteryjnością, najwięcej przypadła do smaku. Tem się tłumaczy nadzwyczajne powodzenie ówczesnego rzeźbiarza *Pradier*, którego dzieło przedstawia w wysokim stopniu wszystkie te cechy. Z tego względu jest on prawdziwym przeciwieństwem *Rude'a* i *Barye'go*. Jako naślado-

wca Canovy, Pradier nie dostrzega swego wzoru w jego zmysłowej finezyi i wytworności form. Jego muzy z fontanny Moliera są konwencyjonalne do niemożliwości, a kompozycye na temat starożytny, jak „Les Fils de Niobé,” „Phryné,” „Chloris,” „Sapho” i „Léda” mogłyby odstraszyć raz na zawsze od sztuki greckiej, gdyby ją po nich wypadało sądzić. Pradier jednak nie był pozbawiony talentu, ale go wykoszławił, oddając na usługi mody i gustu publiczności, i zamienił w zręczność, którą posunął najdalej w szczególnej charakteryzujących go utworach—„Femme mettant ses bas” i „Femme enlevant sa chemise.” Po tym tryumfie szablonu i sztucznego sentymentu zjawia się znowu wyższy talent w osobie *Carpeaux* (1827—1875), aby ożywić i podnieść do jej godności sztywniejącą w konwencyjonalnej pozie, lub popadłą w minoderyę sztukę rzeźbiarską. *Carpeaux* ma wiele cech wspólnych z *Rude*m i *Houdon*’em, od których się wywodzi, a wytwornością linii przypomina mistrzów wielkiego Odrodzenia. Jak wszyscy jego wielcy poprzednicy, opiera on swe dzieło na bezpośredniej obserwacji natury w połączeniu z wysoką tradycją, nie sfalszowaną przez zwyrodniałe jej interpretacye. Jak *Rude* i *Barye*, *Carpeaux* stanowi datę w rzeźbie francuskiej XIX wieku.

Utwory jego „Pêcheur napolitain à la coquille” i „Jeune fille à la coquille” są natchnione życiem; płaskorzeźba „La Danse,” zdobiąca fasadę Opery paryskiej, ma lekki wdzięk i rytmiczność tańca. Również dużo wdzięku w żywych ruchach i delikatnie zmysłowych kształtach posiadają „Trzy Gracye,” „Eve tentée,” „Frileuse.” W „Ugolinie” dosięga artysta wyrazu tragicznego bez naruszenia szlachetności linii, a w głównej grupie fontanny Obserwatorium z wielką siłą uosabia rasy ludzkie w postaciach kobiet unoszących kulę ziemską. *Carpeaux* pojął, odczuł i odtworzył wybornie typ piękności kobiecej drugiego cesarstwa ze wszystkimi właściwościami epoki—portrety cesarzowej Eugenii, dam z ówczesnego towarzystwa, matki artysty; portret dziecinny księcia-następcy tronu, oraz biusty-portrety męskie, odznaczające się dobitnie zaznaczonym charakterem, posiadają najwyższe zalety sztuki żywej. Wszystkie dzieła *Carpeaux* są nacechowane jego wybitną indywidualnością.

Jednocześnie z tym prawdziwym, wysokiej wartości artystą, cieszył się może większem jeszcze powodzeniem modny naówczas rzeźbiarz *Carrier-Belleuse*, który przez swój talent, polegający głównie na zręczności, z jaką potrafił korzystać z form konwencyjonalnych dla przypodobania się niewysokiemu gustowi współczesnych, przedstawia wiele analogij z równie modnym w swoim cza-

sie Pradier. Carrier-Belleuse wślawił się szczególnie swą nader manieryczną statua z marmuru „Angélique,“ oraz zastosowaniem do wymagań publiczności przedmiotami sztuki dekoracyjnej i stosowanej, jak modele kominków, zegarów, wazonów, kandelabrow i t. p., oraz biusty i statuetki, przeznaczone do ozdoby salonów, przypominające manierę Clodiona. Carrier-Belleuse jest autorem również cenionych narazie dzieł, jak grupa z bronzu „l'Amour et l'Amitié,“ „Jupiter et Hébé,“ figury z marmuru „Bacchante,“ biustu „Salve Regina“ i grupy „La Mort de Desaix.“ Był on też bardzo wziętym portrecistą, robił biusty wszystkich znakomitości epoki: Napoleona III, Renana, Delacroix, Juliusza Simon, Gustawa Doré, Teofila Gautier i innych.

\*

\*

\*

Od śmierci Carpeaux, aż do naszych czasów, przy wielkiej liczbie talentów, bądź co bądź, niepoślednich, których jednak wytrwałe usiłowania nie wyszły wogóle poza najszersze granice przepisów szkolnych, rzeźba francuska trzyma się na poziomie miernym, osiąga conajwyżej poprawność w formach i zadawalnia się pozą, gdyż na prawdziwe odczucie i wyrażenie tętniącego wokoło niej życia zdobyć się nie może, lub wzbrania. Na takim to tle, które oryginalność jego i odstęp od powszechnego kierunku tembardziej uwydatnia, zjawia się niespodzianie, w ciągu ostatniego ćwierćwiecza, talent tak niezwyklej miary, jakiego Francya, nawet w swych najświetniejszych okresach rozkwitu sztuki rzeźbiarskiej, dotąd nie wydała.

Tym kolosem, który stanął na granicy dwóch wieków, jest August Rodin.

Zanim wszakże spróbujemy scharakteryzować działalność artystyczną tego znakomitego mistrza, obecnie w pełni swego rozwoju, poznajmy naprzód to otoczenie, z którym jest on w tak rażącym przeciwieństwie. W tem otoczeniu, jak już powiedzieliśmy, znajdują się liczne jednostki prawdziwie utalentowane, a nawet bardzo wybitne, pomimo, iż nie potrafiły się całkiem uwolnić od form konwencyonalnych. Wśród tych ostatnich rzeźbie monumentalnej oddaje się przeważnie *Paweł Dubois*. Pomimo pewnej emfazy, układu o charakterze już znanym, powtarzającym się, dzieła

jego tego rodzaju mają dużą wartość artystyczną. Z pod dłuta jego wyszły: pomnik generała Lamoricière w katedrze w Nantes, nacechowany wpływami włoskimi i zasadami z Willi Medicis; grobowiec księcia d'Aumale, konna statua Joanny d'Arc, w której autor, poszukując wyrazu natchnienia, osiągnął tylko pozę prawie banalną. Pomnik ten stoi na placu przed kościołem Ś-go Augustyna w Paryżu. Zato pomnik Bossueta, przeznaczony do katedry w Meaux (Salon 1907), z otaczającą go grupą historyczną, której figury mają dużo charakteru osobistego i siły, jest oryginalnie pojętym w kompozycji i sprawia wrażenie podniosłe i imponujące.

W swych pracach drobniejszych, jak „S-t Jean,“ „Narcisse,“ „Chanteur florentin,“ Dubois umie też wyrazić wdzięk, czasem nieco mdły w formach zbyt dokładnie wykończonych. *De Saint-Marceau* jest artystą sumiennym i zręcznym, który nie przekroczył dotąd średniej miary. Dzieła jego „Génie gardant le secret de la tombe,“ oraz pomnik Alfonsa Daudeta charakteryzują jego twórczość. *Barrias* odznacza się poprawnością i dokładnością wykonania, ale bez energii i z małym poczuciem natury. Jednakże kompozycja jego „Premières funérailles,“ figura Bernanda Palissy i „Mozart dzieckiem“ mają prawdziwy wyraz życia. Zato pomnik Wiktora Hugo jest nader sztucznym i pomimo wielkich rozmiarów kompozycji, nie robi wrażenia wielkości.

*Antonin Mercier* posiada talent bardzo subtelnych odcieni, umie on nadać swej rzeźbie pewne właściwości kolorystyczne przez odpowiednie ustosunkowanie cieniów i światła w traktowaniu figur. Jego „David“ tryumfujący (muzeum Luksemburskie) przedstawia dobrze obserwowany ruch i wyraz żywy; „Gloria Victis“ i „Quand même“ mają nieco teatralną dramatyczność. W bardzo interesującej grupie jego pomnika Joanny d'Arc w Domrémy, widać poszukiwanie i udatne zastosowanie charakteru średniowiecznego.

Rzeźbiarz i malarz *Gérôme* najlepiej wyraził swój talent w miękko i z wielkiem czuciem wyciosanej figurze nagiej kobiety (Tanagra) o ruchu żywym, a jednocześnie majestatycznym w swej hieratycznej sztywności.

Figura ta, wykonana z białego marmuru, jest delikatnie zakolorowaną w tonie ciała. Odtąd kolorowanie swej rzeźby posunął *Gérôme* znacznie dalej—głowa Sary Bernhardt (biust) jest już malowaną, a w innej nagiej figurze, nazwanej „Carinthe,“ artysta pokusił się o całkowite oddanie naturalnego zabarwienia ciała i akcesoryów. Przyznać trzeba, że wobec wielkiego ożywienia ru-

chu i nader subtelnej modelacyi kształtów, udało mu się uniknąć podobieństwa do figury woskowej i stworzyć w ten sposób dzieło artystyczne i interesujące, ale praktyka taka nie jest bynajmniej do zalecenia. Gérôme nadto jest autorem licznych niewielkich rozmiarami, z subtelnym artyzmem, ale zbyt drobiazgowo wykonanych statuetek bronzowych Napoleona, Fryderyka W. i t. p.

Niepospolitym, wybitniejszej indywidualności artystą jest *Frémiet*. Powszechnie znany konny pomnik jego Joanny d'Arc, traktowany potężnie, łączy w sobie charakter średniowieczny z nowoczesnym poczuciem natury w ruchach i kształtach zarówno konia, jak i samej bohaterki, której postać technie nieporównaną szlachetnością postawy i wyrazem mistycyzmu. Piękny ten posąg o wiele przewyższa swą wartością artystyczną podobne dzieło Pawła Dubois. Takiemiż zaletami odznaczają się, choć w mniejszym stopniu, posągi Ś-go Jerzego, zabijającego smoka, i Ś-go Michała.

Frémiet jest autorem kilku innych pomnikowych posągów konnych, jak Etienne Marcela przy ratuszu i Velasqueza w ogrodzie przed kolumnadą Luwru. Tego ostatniego przedstawił Frémiet w stroju hiszpańskiego rycerza, z buławą w ręku, wzorując się na słynnych portretach, malowanych przez tego wielkiego mistrza.

Frémiet wybornie odczuwa charakter zwierząt, jego niedźwiedzie i orang-utangi w wypukłorzeźbach, przedstawiających sceny z epoki kamiennej, jego smoki i trytony, a zwłaszcza konie w fontannie Carpeaux, spinające się w wodzie i parskające na żółwie, które im tryskają w nozdrza, są pełne życia i wyrazu.

Do artystów, którzy w ostatniej ćwierci XIX wieku zajęli pierwszorzędną miejsce w sztuce francuskiej, należy także rzeźbiarz i malarz *Falguière*. Jako malarz, niema on wielkiego znaczenia, za to w rzeźbie, pomimo, iż przy zbyt wielkiej płodności, twórczość jego nosi niekiedy znamiona pośpiechu i traktowania powierzchniowego, Falguière pozostawił niejedno dzieło prawdziwej wartości, wśród których do udatniejszych w wyrazie i ruchu należy „Vainqueur au combat de coqs,” bronz, przedstawiający młodego chłopca biegnącego ze zwycięskim kogutem pod pachą (muzeum Luksemburskie). „Tarcisius, martyr chrétien” jest dziełem dość głęboko odczucem, toż samo posąg Ś-go Wincentego à Paulo (w Panteonie), któremu artysta dał dobrze zrozumiany wyraz energii człowieka, którego litość i dobroć, poświęcenie dla bliźnich objawiło się w czynie wielkiego organizatora miłosierdzia.

Na uwagę zasługują też swym charakterem statuy Lamartine'a, Gambetty, kardynała Lavigerie i słynnego wodza Wandej-

czyków La Rochejacquelein'a, równie jak i odznaczający się dobrze pojętem uczuciem patriotyczny pomnik „Szwajcaryi przyjmującej armię francuską,“ postawiony w Genewie, którego kompozycja prosta i szczerą — kobieta szwajcarska, podnosząca rannego żołnierza francuskiego — zupełnie odpowiada myśli, którą ma wyrażać. Jego pomnik Balzac'a słynnym jest z tego, iż został wykonany na obstalunek Towarzystwa Literatów dla zastąpienia dzieła Rodina, którego Towarzystwo przyjęc nie chciało. Balzac Falguière'a, po niezwykłej koncepcyi Rodina, robi wrażenie banalne w swej kompozycyi, mało interesującej, w wykonaniu łatwym i powierzchownym. W biuście baronowej Daumesnil (muzeum Luksemburkie) Falguière jest portrecistą przenikliwym i delikatnym. Jego „Diane,“ „Nymphe,“ „Lutte de Bacchantes,“ „Femme au paon“ i t. p. mają wdzięk sztuczny w swych teatralnych pozach, a „Danseuse“ — naga figura słynnej tancerki Cléo de Mérode, wywołała w swoim czasie sensację głównie ze względu na model, którego przedstawia manieryczne, zdeformowane przez nadużycie gorsetu kształty, w nader sztucznym i niezbyt tłómaczącym się ruchu tańca.

Prócz wyżej wymienionych rzeźbiarzy, odznaczyli się też w tym samym okresie: Perraud, przez swobodną i dobrze odczytą interpretację natury; Guillaume, przez ścisłą obserwację charakteru i siłę wyrazu, zwłaszcza w swych biustach portretowych; Gardet wybornie pojmujący kształty i charakter zwierząt („Pantery walczące“ w muzeum Luksemburskiem). Niezależnością i większą swobodą w pojęciu sztuki i interpretacji natury w rzeźbie, jednocześnie z pojawieniem się zrywającej wszelkie tany twórczości Rodina, wyróżniają się dzieła całej plejady artystów doby bieżącej, z których wiele figuruje w muzeum Luksemburskiem.

W ich liczbie do najwybitniejszych należą: Turcan, Idrac, Carriès, Injalbert, Lenoir, Cross, Dampf, Carlier, Roehé, Derré, Charpentier, Richer, Dalou — autor pełnych charakteru biustów; Bartholomé, którego pomnik dla zmarłych na cmentarzu Père-Lachaise ma tyle tajemniczego nastroju w swej tragicznej kompozycji; Lefèvre; Bourdelle i Fixe-Masscou, którzy idą w ślady Rodina; Carabin, Dejean, panie Cazin i Besnard, oraz Greber — których statuetki są pełne wdzięku, życia, lub charakteru; Delaplanché, Garnier, Desca, Desbois, Meunier, Raffier, Pneck, Carlès, Barrau, panna Claudel, Landowski, Rivière, Moreau-Vautier; rzeźbiarze zwierząt — Valton, d'Houdin, Lecourtier, Loyseau, Peter, Debre, prócz wielu innych, których trudno już tu wymienić.

\*

\*

\*



Jeżeli już u wymienionych powyżej artystów widzimy próby poszukiwania dróg nowych, to próby te są bardzo nieśmiałe i nieudolne z powodu albo zbyt zakorzenionych zasad sztuki urzędowej, lub braku wrodzonej niezależności i wyższej skali talentu, któryby im pozwalał puścić się bez obawy na nieznaną tory.

To, czego brakuje tamtym, posiadał w najwyższym stopniu *August Rodin*, nie więc dziwnego, iż zerwał odrazu ze wszystkimi regułami, które twórczości jego stać mogły na przeszkodzie, lub właściwie nigdy im się nie poddawał, i od pierwszego dzieła zaznaczywszy swą bezwzględną indywidualność, kierującą się jedynie własnym poczuciem stosunku sztuki do natury, rzucił się z brzegu na te nowe tory, które sam odkrył, wiedziony w ten nie wyrozumowanym poszukiwaniem oryginalności, lecz potrzebą własnego artystycznego temperamentu. Rodin, jak zwykle w takich razach bywa, natrafił z początku na gwałtowną opozycję ze strony krytyki, publiczności i artystów. Opozycja ta w części trwa jeszcze dotąd, ale mocno przycichła od czasu, gdy wobec oczywistości jego talentu, nie można było odmówić mu uznania i odkąd krytyka, a przynajmniej jej część zaawansowana, która pierwsza przeszła na jego stronę, uczyniła zeń pół-boga.

Rodin jest niezaprzeczenie artystą genialnym i wyjątkowym, ale wartości jego nie trzeba sądzić według nieumiarkowanych i wyrażonych najczęściej w jakiejś kabalistycznej, niezrozumiałej formie pochwał tych krytyków, którzy, przypisując sobie wyłączną zdolność pojmowania i komentowania zagadkowego dzieła mistrza, przybierają przytem ton wyniosły i pogardliwy względem biednej gawiedzi, jakgdyby na nich spływała część chwały, którą mu śpiewają wśród dymu kadzideł. Niejednego te wonne dymy mogłyby odurzyć, a nawet zadusić, szczęściem Rodin, *jako artysta*, stoi po nad pochwały, które, jeżeli mogą być przyjemne jego ludzkemu uczuciu miłości własnej, co nas obchodzić nie powinno, to w każdym razie na twórczość jego, nawskroś indywidualną i mającą wszelkie cechy instynktownej żywiołowości, żadnego wpływu nie wywierają i to już stanowi dostateczny dowód jego prawdziwej wyższości, która jest udziałem geniuszu. Jeżeli uznanie, sławę, hymny pochwalne, posunięte aż do absurdu, do ubóstwienia, jakich nie zaznał za życia żaden z największych artystów nowszych czasów, osiągnął Rodin u współczesnych stosunkowo bardzo szybko, to, za to, dał się on poznać dopiero w wieku dojrzałym, powstrzymany aż do tej chwili w swej działalności niezależnej przez potrzeby natury materialnej, które zmuszały

go do pospolitej i bezimiennej pracy w zakresie sztuki banalnej, mającej pokup w handlu.

Rodin jest uczniem Barye i Carrier-Belleuse'a. Studyując u pierwszego, w jego pracowni, która mieściła się w suterrenach Muzeum Historii Naturalnej, wyniósł stamtąd uniejętność zaznaczenia charakteru w syntetycznym traktowaniu form przez harmonijne ustosunkowanie wielkich mas. U Carrier-Belleuse'a pracował on raczej w roli płatnego pomocnika i w pracy tej, tak przeciwnej jego naturze, nie mógł znaleźć bodźca dla rozwoju własnego talentu. Co najwyżej nabył on tam nieco tej finezyi w modelowaniu form wydelikacyonnych, którą doprowadził w następstwie do tak osobistej subtelności, zwłaszcza w główkach kobiecych, wyrastających, jak kwiat na skale, z bryły kamienia w swych fantazyach i portretach. Ściśle biorąc, Rodin w sztuce swej wykształcił się sam przez obserwację i pracę nad naturą, oraz przez pilne badanie na okazach wielkiej sztuki niezależnej, — na antykach i arcydziełach Odrodzenia — w jaki sposób prawdziwi artyści wszystkich czasów, t. j. ci, którzy koncepcyę swego dzieła wysnuli z własnego czucia, potrafili to czucie wyrazić w formach plastycznych.

W epoce Gotyku pociągnął go wyraz mistycznego natchnienia, w sztuce Odrodzenia uderzyła go potężna indywidualność Michała-Anioła, w nim więc, na równi z genialnymi twórcami wspaniałej rzeźby starożytnej, oraz bezimiennymi pracownikami, którzy ducha średnich wieków umieli zakląć w kamienne kształty i misterne koronki strzelistych katedr, znalazł Rodin swych mistrzów, nie w ciasnem znaczeniu niewolniczego naśladownictwa, lecz, jako przykład, iż, chcąc im dorównać, trzeba, jak oni, sztukę swoją wysnuć z siebie, by zostać mistrzem, trzeba być przede wszystkim sobą samym. Oto różnica w zasadniczem zrozumieniu zadania artysty i pojęcia samej sztuki, na którem polega jego twórczość, a ideałem sztuki urzędowej, zasadzającym się właśnie wyłącznie na naśladownictwie.

Przez kilka lat Rodin pracował wspólnie z belgijskim rzeźbiarzem, nazwiskiem Van Rasbourg, w Bruxelli, gdzie, między innymi, karyatydy gmachu giełdy i inne zewnętrzne rzeźby wyszły z pod jego dłuta. W tym to okresie pracy, względnie niezależnej, przyszły mistrz wydoskonalił się ze strony praktycznej, rzemieślniczej w swej sztuce i, mając pewną swobodę rozmachu, mógł wypróbować siłę swego talentu. Wtedy także, spędzając chwile wolne od pracy na samotnem skupieniu i obserwacyi otaczającego

świata, umysł jego dojrzał, sentyment artystyczny wyrobił się, a z nim oryginalna, osobista, nowa koncepcya sztuki.

Z tą chwilą artysta uczuł w sobie tę siłę nieomylną, która, dając pewność zwycięstwa, popycha do czynu.

Już w roku 1864 w pierwszej swej pracy nazwanej „l'Homme au nez cassé,” Rodin silnie i w oryginalny sposób zaznaczył przedsmak swych później do takiej potęgi rozwiniętych zalet, ale była to tylko próba.

Teraz (t. j. w 1877), gdy po raz pierwszy postawił przed jury Salonu pracę swą „l'Age d'airain,” dzieło świadomego siebie talentu, potęga ta okazała się w całej pełni. Wobec ścisłej doskonałości niektórych zwłaszcza form, jury, złożone z przedstawicieli sztuki urzędowej, cisnęło artyście w oczy niebывałe oskarżenie, iż praca jego jest odlewem na naturze, a więc falsyfikatem dzieła sztuki.

Rodin oburzył się i pracę swą cofnął. Jury dla zbadania tej sprawy wyznaczyło komisję, która zaopiniowała, że odlew na naturze musiał być użytym w tej pracy, przynajmniej częściowo.

Dopiero na usilne nastawanie rzeźbiarza Dubois, który sam był świadkiem wykonania niesłusznie podejrzanego dzieła, nowa komisya, złożona z rzeźbiarzy, uwolniła artystę od krzywdzącego, a niczem nieusprawiedliwionego zarzutu. Trudno pojąć, iż podobne podejrzenie mogło powstać w głowach specjalistów, praktykujących sztukę rzeźbiarską, którzy powinni byli wiedzieć, że odlew na naturze, t. j. na ciele ludzkim, które w takich warunkach z konieczności staje się nieruchomem, jakoby obumarłem, przybiera wygląd martwy i w żaden sposób nie może wyrazić ruchu wymagającego natężenia mięśni. Tymczasem „l'Age d'airain“ jest figurą pełną życia i ruchu. Za dzieło to, które w r. 1880 powróciło do Salonu, otrzymał Rodin medal 3 klasy, sam zaś posąg zakupiony został na rzecz państwa i ustawiony w ogrodzie Luksemburskim.

W r. 1881 Rodin wystawił statuę z brązu „S-t Jean prêchant,” o muskulaturze surowej i potężnej, o wyrazie nadziemskim przeznaczonego Wyślanca Bożego (obecnie w muzeum Luksemburskim) i „La Création de l'homme“ w koncepcyi godnej Michała-Anioła. W latach następnych ukazał nieporównane w charakterze biusty: J. P. Laurens'a, Carrier-Belleuse'a, Wiktora Hugo, rzeźbiarza Dalou i chemika Prousta.

Kulminacyjnym punktem pierwszego okresu twórczości Rodina jest jego „Brama piekielna“ (Porte de l'Enfer), przeznaczona dla muzeum sztuk dekoracyjnych, która była wystawiona pod

czas Powszechnej Wystawy paryskiej w r. 1900, przy moście Alma.

Owa „Brama piekielna,“ to kompozycja kolosalna nie tylko rozmiarami (6 metrów wysokości), ale szczególnie wielkością myśli, głębokością uczucia, które wyraża. Natchnienie do tego nadzwyczajnego dzieła zaczerpnął Rodin u Danta i przez genialną transpozycję nieśmiertelnego poematu florenckiego wieszczka okazał się godnym i równym mu siłą ducha — potęgą myśli i uczucia, zaklęta w formy, okazała się równą takiejże potędze wyrażonej słowem. Bo też dzieło Rodina nie jest ilustracją do Danteskiego Piekła, niema w niem nic, coby przypominać mogło charakter wyłączny, lokalny, narodowy, lub historyczny tego utworu, gdyż w myśli poety zaczerpnął rzeźbiarz tylko to, co w niej jest powszechnego, co stanowi niezmienny i niezależny od miejsca i czasu pierwiastek ludzkiego ducha i stworzył z tego nowy, równoległy i nieustępujący tantemu poemat z kamienia, uosabiający w kształtach i ruchach nagromadzonych i splełanych wzajemnie ciał ludzkich instynkty zwierzęce, skłonności fatalne, żądze nienasycone, całą nędzę, całą bezdenną rozpacz istnienia, w których szamocąc się nieszczęsna ludzkość, napróżno krzyczy i wyje z bólu. W płaskorzeźbach, ponad którymi wznosi się całość kompozycji, ból ten wyrażają w sposób nie do wypowiedzenia zdumiewającego charakteru maski, około których odbywa się szalony pościg satyrów i centaurów za uciekającymi kobietami — pomięszanie zwierzęcej brutalności i delikatnego wdzięku. W płasko i wypukło-rzeźbach boków bramy panuje spokojniejsza nuta melancholijnego smutku — tu pokutują przestępczynnie miłości, kochankowie pogrążeni w wiecznej tęsknocie, młode kobiety, staruszki i ofiary zbrodni — dzieci występku.

Na szczycie, po nad frontonem, trzy postacie męzkie, w pozach pełnych beznadziejnej rozpacz, zdają się ruchem wyciągniętych i zbliżonych ku sobie rąk z gestem wskazującym wyrażać straszną nieodwołalność piekielnej sentencji

„Lasciate ogni speranza.“

Pośrodku kompozycji naga postać poety, w doskonałych proporcjach i harmonijnych liniach swych kształtów, łącząca siłę i piękno, w twarzy, której rysy nateżone zdradzają skupienie myśli, wyraża połączenie podniesionych do potęgi, lecz mocą ducha opanowanych i okiełzanych, wszystkich uczuć i namiętności, które miotają wijącą się u stóp jego w szale i bólu ludzkością. Ta postać poety, wspaniała siłą w spokoju, górująca nad skłębio-

ną masą, wśród której wre dzika zażarta walka instynktów zwierzęcych, symbolizuje, w przeciwstawieniu do tych ostatnich, wyższe, idealne dążenia ludzkości, jej zdolność do czynów szlachetnych, bezinteresownych, do wielkich poświęceń i podniebnych entuzjazmów.

Całość Bramy Piekielnej, imponująca siłą, zadziwiająca niezwykłością koncepcyi, pociąga swą poczyą surową i tragiczną, pięknnością, wytwornością i energią kształtów, żywością ruchów i prawdą wyrazów.

Kompozycya odznacza się harmonijnem ustosunkowaniem grup, nic w jej wykonaniu nie jest podporządkowane tematowi literackiemu, w każdej grupie, w każdej figurze, w każdym ruchu, choćby najniezwyklejszym, znać ścisłą obserwacyę, prawdziwe odczucie natury.

Innem dziełem wielkiego pokroju tegoż mistrza jest jego również kolosalna grupa, zwana „Les Bourgeois de Calais,“ którą miasto Calais postanowiło wznieść na pamiątkę historycznego czynu poświęcenia swych obywateli.

Edward III, król angielski zmusiwszy rzezone miasto do kapitulacyi (r. 1347) zgodził się oszczędzić je pod warunkiem, że sześciu najznacniejszych jego obywateli bosą, w koszuli, z gołą głową i sznurem na szyi przyniesie klucze miasta i zamku i odda się na jego łaskę i niełaskę. Gdy wiadomość o tem żądaniu króla doszła do rady miejskiej, obywatele ci, poświęciwszy się dla dobra miasta, dobrowolnie tej upokarzającej misyi dopełnili. Edward wszystkich sześciu kazał stracić.

Do wykonania tego pomnika Rodin był wskazany. Nikt inny nie byłby w stanie, tak jak on, pojąć i oddać wielkość podobnego tematu i owi szlachetni obywatele za czyn swój bohaterki otrzymali godną i rzadką nagrodę — odżyli na nowo po przeszło pięciu wiekach w prawdziwym arcydziele, jakich nie wiele wydała sztuka wszystkich czasów, gdy tylu potentatów i wielkich ludzi musi się zadowolnić często śmiesznie nędznymi pomnikami, które, zamiast dodać blasku ich sławie i zasługom, przynoszą im prawdziwą ujmę.

W grupie „Bourgeois de Calais“ figury są zupełnie rozdzielone, łączą się tylko wspólnym kierunkiem procesjonalnego pochodu, w którym postępują, niosąc wiadome insygnia. Są one pojęte syntetycznie, jak zresztą wszystkie dzieła Rodina, i traktowane w wielkich planach, w formach i rysach zasadniczych, co też jedynie odpowiada posagom tych rozmiarów, których przeznaczeniem jest odrzynać się wielką sylwetą na tle nieba. W tych

rysach głównych, w układzie i ruchu potrafił artysta nadać im wyjątkową siłę wyrazu. W spokojnym ich pochodzie, pełnym dumnej stanowczości w spełnieniu wysokiego obowiązku, odczuwa się tragiczny majestat poświęcenia, który ich wiedzie na śmierć, przyjętą dobrowolnie. Mocą geniuszu mistrza figury te uogólniają się i przybierają znaczenie symbolu bohaterskiego poświęcenia.

Imponujące to dzieło łączy w sobie cechy charakterystyczne wielkiej sztuki wszystkich niemal epok. Surową wielkością koncepcji zbliża się do rzeźby asyryjskiej, symbolem — do egipskiej, szlachetnością linii — do greckiej i Odrodzenia, potęgą wyrazu — do średniowiecznej i Odrodzenia. Pomnik ten jest w całym tego słowa znaczeniu historycznym, gdyż wywołuje z niezwykłą siłą ducha czasów minionych, bez pomocy zwykłych akcesoryów i kostyumów.

Od koncepcji mniej lub więcej romantycznej, symbolistycznej, przechodzi Rodin w ostatnim okresie swej artystycznej działalności do czystego panteizmu. Człowiek, ze wszystkimi popędami i namiętnościami swemi, występuje tu jako część organiczna wielkiej przyrody, uosabia pewne jej właściwości, objawy, wyglądy, nastroje. Widzimy to w dziełach takich, jak „Faun, porywający kobietę,“ „Satyr, gwałcący kobietę,“ „Faun, zgwałcony przez kobietę,“ „Le vieil arbre“ — rodzaj fauna, łączącego w sobie cechy i kształty ludzkie, zwierzęce i roślinne. Jedną nogą, która zamienia się w pień drzewa wrosły w ziemię, rozpościera ów dziwotwór gałęzie, po których wspina się zręczna i drobna postać kobiety.

„Les Vagues“ — fale — wyobrażają ciała kobiece, których pełne wdzięku zaokrąglone wygięcia przypominają ruch fali. „Les Bénédiction“ — to także kobiety, pławiące się ruchem ptaka, który ma spocząć.

W „L' Eternel printemps,“ w „Le Baiser“ wyraża Rodin, w ten sam sposób syntetyczny, przez układ, ruchy i gesty charakterystyczne, miłosne uniesienia młodości.

Starcie namiętności, pojętych, jako siły przyrody, wyrażają jeszcze: „L' Emprise“ — walka pierwiastku męskiego z żeńskim, w której tryumfuje kobieta; i „Sirènes qui se mordent.“ „Marsyas“ uosabia cierpienie, „La Vieille femme“ — świetna w odczuciu natury nagość staruszki, przez ruinę i zniszczenie rysów i kształtów, wyraża smutek zbliżającego się końca istnienia.

„Eve“ — to typ i zarazem symbol kobiety, matki rodzaju ludzkiego. „Cariatides“ i „Amour et Psyché“ wyobrażają marzenia i porywy poetyckie ducha ludzkiego.

Rodin podnosi żywość swej rzeźby przez umiejętny rozkład światła i cieniów, akcentujących formy, za pomocą odpowiedniego traktowania planów; przez nadanie jej chropowego charakteru surowego kamienia uwydatnia jej łączność z naturą. Wspaniałe jego studia częściowe — „Petit torse“, „Torse penché“, „Etude de nu“, „L'Homme qui marche“ (Salon 1907), posiadające wszystkie te cechy w najwyższym stopniu, robią wrażenie szczytków jakiejś przedhistorycznej sztuki olbrzymiej. W takiż sposób traktował Rodin swój pomnik Wiktora Hugo, w którym poeta-tytan, nagi, zrosły ze skałą, na której spoczywa na podobieństwo tych starożytnych uosobień żywiołów, sprawia wrażenie olbrzymiej potęgi w swym olimpijskim majestacie, w skoncentrowanej pod kopułą wyniosłego czoła myśli, obejmującej całe światy. Niema tu żadnych dekoracyjnych akcesoryów, które wogóle służą rzeźbiarzom do wyrażenia i wytłómaczenia tematu, jakimi przeładował swą kompozycyę Barrias. Wiktor Hugo Rodina tłumaczy się sam przez się, przemawia sam za siebie, bo głębokie jego znaczenie tkwi wewnątrz i ujawnia się w wyrazie, który wypowiedają wszystkie linie konturów i cały układ figury poety, z dodatkiem dwóch tylko alegorycznych postaci kobiecych — „Les Voix“, — uosabiających głosy natury, w które się zasłuchał.

W figurze Balzac'a, zamówionej przez Towarzystwo Literatów, które ją odrzuciło, by ją zastąpić pracą Falguière'a, Rodin posunął się do ostatecznych granic uogólnienia i zastąpienia wyrazu zewnętrznego wewnętrznym. Na podobieństwo Egipcyan, chciał on ukryć kształty ciała pod lekką zasłoną, ale jeżeli u tamtych te kształty, spowite jakoby w przezroczystą materję, zarysowują się wyraźnie, uwydatniając całą figurę — w Balzac'u Rodina stają się one zupełnie niewidzialne. Figurę zastąpił Rodin blokiem kamienia, któremu magią swej sztuki nadał lekkość rodzaju opończy i ruch powolnego chodu. Na bloku tym umieścić głowę, pełną wyrazu, otrzymanego przeważnie grą światła i cieniów, lecz oznaczoną tylko w najogólniejszych formach i rysach.

Dzieło to, które wywołało liczne polemiki, nie zostało zrozumiane. Porównano je do worka, w którym nieszczęśliwy Balzac zdaje się być zaszyty. Towarzystwo Literatów uznało je niegodnym wielkiego pisarza. Wtajemniczeni, lub ci, którzy chcą za takich uchodzić, twierdzą, iż sam Rodin uważa swego Balzac'a za najwyższy i skończony wyraz swej sztuki. Czy tak jest rzeczywiście, nikt z pewnością nie wie, ale gdyby tak było, to nic nie przeszkadza, iż sam on mógłby się na tym punkcie mylić, bo twórca nie zawsze jest dobrym sędzią własnego dzieła. Zdawać-

by się mogło, iż potomność, która z oddalenia w swym sądzie zwykle się nie myli, da pierwszeństwo dziełom więcej zrozumiałym, jak „Les Bourgeois de Calais,” lub „Victor Hugo,” albo silniej działającym na uczucie i wyobraźnię, jak „Porte de l'Enfer.”

W pojęciu i sposobie traktowania portretów współczesnych, w których nikt mu też nie dorównał, Rodin, będąc zawsze sobą, jest innym. Nie poprzestaje on już w nich na rysach zasadniczych, typowych, lecz z wielką skrupulatnością poszukuje charakteru osobistego, wyróżniającego portretowaną osobę, stara się i udaje mu się to zawsze nadzwyczajnie, o ściśle podobieństwo fizyczne i duchowe. Prócz wymienionych już wyżej dzieł tego rodzaju, wśród których wyróżnia się biust Wiktora Hugo, portret Rocheforta, ze względu na swój charakter, jest prawdziwym arcydziełem, medalion zaś Bastien-Lepage'a odznacza się szczególniejszym wyrazem skoncentrowanego życia wewnętrznego. W biustach kobiecych (np. biust pani V. w muzeum Luksemburskiem), odczucie wszelkich odcieni form delikatnych, osłaniających i ujawniających zarazem skomplikowaną uczuciowość kobiety dzisiaj, doprowadza Rodin do niebywałej subtelności.

Pod koniec roku zeszłego na jednej z prywatnych wystaw paryskich można było oglądać zbiory rysunków Rodina. Rysunki te, mające wygląd po większej części zagadkowy i dziwaczny, wywołały wśród ogółu wrażenia i uczucia najsprzeczniejsze; zdziwienie, oburzenie, zachwyt lub śmiech. Z uczuć tych, pierwsze tylko było uzasadnione, gdyż oburzać się, zachwycać, lub wysmiewać, gdy się czegoś nie rozumie, jest równie niewłaściwym, jak dowodzącem ograniczoności, a rysunków Rodina nikt, prócz niego samego, rozumieć nie mógł. Dziwić się więc można było głównie jednej rzeczy, mianowicie dlaczego je wystawiono? Czy można rysunki te uważać za prawdziwe dzieła sztuki? Nie, sam mistrz wyraził się, iż są one formułami algebraicznymi ruchów. W rzeczy samej są to szematy ruchów, które Rodin chwyta w pośpiesznych, uproszczonych rysach, podczas odpoczynku modelu, gdy ten nieświadomie przybiera nieustannie zmieniające się pozy naturalne. Są to więc notatki, które inaczej nazwaćby też można stenografią artystyczną, ale, pod ręką władającą magiczną zręcznością, kierowaną genialnym umysłem, notatki te przybrały wygląd niespodziewany pociągających swym dziwnym czarem zagadek.

Rysunki Rodina są więc dokumentami, które służyć mogą tylko jemu samemu, on bowiem sam posiada klucz do ich zrozumienia i posługuje się nimi przy kompozycyi swych figur. a na-



wet czerpie w nich natchnienie do nowych pomysłów. Być może, iż kiedyś przyszli komentatorowie twórczości Rodina starać się będą te dokumenty odcyfrować, jak to dziś czynią z hieroglifami uczeni badacze starożytności, ale wystawianie ich obecnie na widok publiczny niewątpliwie mija się z ich przeznaczeniem.

Rodin jest już obecnie człowiekiem bardzo niemłodym (rodził się w r. 1840), rzeźby można – starcem, gdyby to określenie dało się zastosować do jego żywej, pełnej energii czynności, która tworzy dzieła nacechowane siłą wieku dojrzałego.

Wiek XIX, okres tak rozbieżnych, tak chwiejnych i niejasnych dążeń w sztuce i talentów miernych, lub niepewnych, może się poszczycić, iż dał ludzkości mistrza, który w historii kultury świata zajmie miejsce obok najpierwszych. Dzieło jego pozostanie dla potomności, jak pozostało i doszło do nas dzieło jego wielkich poprzedników.

KONRAD OSTROWSKI.

# PIŚMIENNICTWO.

CZERMAK WIKTOR. *Ilustrowane dzieje Polski*. Tom I. Od początków do X-go wieku. Wiedeń 1906. Str. VIII + 337. Nakładem Franciszka Bondego.

Mamy przed sobą pierwszy tom dzieła, które, jak nam obiecuje autor, ma się ukazać w trzech tomach i objąć całość dziejów Polski aż do 1795 roku. Pierwszy ten tom, jak czytamy w przedmowie (str. II), ma objąć „dobę przedhistoryczną, która się kończy z wiekiem X,“ jak się nie dość jasno wyraża sam autor.

Na odtworzenie tej przedhistorycznej doby, złożyć się ma, jak obiecuje p. Czermak, lingwistyka porównawcza, archeologia, folklor, antropologia porównawcza i t. d., przyczem autor zapewnia czytelnika (str. III i IV), że on pierwszy odtworzy w ten sposób dobę przedhistoryczną po wiek X, gdyż „pomijano, u nas zwłaszcza, stale—pisze autor—i to prawie zupełnie, dziedzinę archeologii przedhistorycznej, tak, że nie mieliśmy ani jednej książki, któraby zawierała choć próbę przystosowania wyników poszukiwań i studyów archeologicznych do początkowych dziejów Słowiańszczyzny i plemienia polskiego w tychże“ (III). Lecz mówiąc w ten sposób, p. Czermak nie wie zapewne, że już piszący te słowa, lat temu osiemnaście, w I tomie swojej *Historii Słowian*<sup>1)</sup> na cztertnastu stronicach podał wiadomości, prawda, dziś już bardzo niewystarczające, z archeologii całej Słowiańszczyzny w osobnym rozdziale, zatytułowanym „Wiek kamienia, brązu i żelaza na ziemiach słowiańskich,“ a następnie uzupełnił je w dwóch pracach

<sup>1)</sup> *Historia Słowian*, Kraków 1888, tom I, str. 66—76 i 307—309.

późniejszych.<sup>1)</sup> Że autor nie zna tych prac moich, dziwić się temu nie można, ponieważ nie wyczerpuje on części nawet odnośnej literatury, a i ta, jaką zużytkował w swej pracy, sięga tylko 1902 roku, co wyda się zapewne każdemu dość dziwnem, książka bowiem p. Czermaka wyszła już w 1906 r. Taki mały zasób materiału wogóle i zupełne pominięcie najnowszej literatury, tłumaczy nam sam p. Czermak, pisząc (str. VI): „pod wpływem nakładcy, któremu zależało, ze względu na zobowiązania, zaciągnięte wobec prenumeratorów „Historyi“ Spamera, na wczesnem wydaniu tego I tomu „Dziejów Polski,“ zmuszony byłem oddawać rękopis do druku częściami; a gdy po rozpoczęciu druku, z powodu nawału zajęć obowiązkowych i różnych nieprzewidzianych przeszkód wypadło mi potem wielokrotnie pracę przerywać, robota moja, rozpoczęta jeszcze w r. 1901, przeciągnęła się do obecnej chwili, i wskutek tego, w poszczególnych częściach dzieła, drukowanych w różnych czasach, mogłem korzystać tylko z tych opracowań, które przed chwilą drukowania danej części były w obiegu księgarskim. Żałuję szczególnie, dalej pisze p. Czermak, że dla tej przyczyny nie mogłem już skorzystać z drugiej części cennego dzieła Niederlego („Slovanské starožitnosti, Praha 1904“), ani z prac tak interesujących, jak np. ostatni artykuł Potkańskiego o „Cyrylu i Metodym“ i „Studia nad osadnictwem Małopolski d-ra Franciszka Bujaka.“ Rozdział I książki był bowiem wydrukowany już w r. 1902, rozdział II w r. 1903, rozdział III w maju roku 1905.“

Jak widzimy, p. Czermak uwzględniał w ten sposób interes nakładcy, a nie interes czytelnika, chociaż przyzna zapewne, że dobro nauki wymagało, aby było odwrotnie.

Pierwszy rozdział, „Czasy przedhistoryczne“ (1—80) i drugi „Słowiańszczyzna przed X wiekiem po Chrystusie“ (81—174) pan Czermak w ten sposób konstruuje, że w ramy dzieła Niederlego, wydanego jeszcze w r. 1893 „Lidstvo v době předhistorické“ (Praha 1893) i pierwszego zeszytu pierwszego tomu jego późniejszego dzieła „Slovanské Starožitnosti (Díl I, svazek I, Praha 1902),“ wtłacza materiał z dzieł innych, często bardzo się powtarza, a pisząc pracę swoją, jak sam zapowiada (str. I i VII), dla „niefachowego czytelnika,“ przepelnia ją rzeczami dla niego niezrozumiałe-

<sup>1)</sup> Metoda i środki poznania czasów przedhistorycznych w przeszłości Słowian, Kraków 1901, str. 42—57 i w przedmowie do II tomu Historii Słowian, Kraków, 1899, str. 33—34.

mi lub zbyt zbytecznymi. Rzecz dziwna, że autor, wybierając sobie dzieło Niederlego „Lidstvo“ za podstawę i trzymając się jego, jak się wyraża, „przewodnictwa“ (str. IV), nie zużytkował tego samego dzieła w późniejszym, rosyjskiem wydaniu, które wyszło r. 1898 p. t.: „Czełowieczestwo w doistoriczeskija wremiena“ (Petersburg 1898) i stanowi daleko pełniejsze przerobienie i uzupełnienie czeskiego wydania; w ten sposób autor nie miałby przed sobą, jak sam pisze (str. 10), dzieła, „które pozostaje o 10 lat w tyle za dzisiejszym stanem wiedzy w dziedzinie przedhistorycznej,“ lecz dzieło, pozostające w tyle tylko o lat pięć. Autor pisząc i drukując swoją pracę częściami, w końcu sam się spostrzegł, iż zbyt się śpieszył i nie zrobił tyle, ile należało zrobić; zaznacza bowiem w przedmowie, pisanej już w maju 1905 r., że to już „los każdej wogóle książki, iż w krótkim czasie pozostaje w tyle za stanem najnowszej literatury przedmiotu,“ i że chociaż los ten podzieli i jego książka, to jednak i ona „przydatną być może dość długo.“

Powiedziawszy tyle o książce p. Czermaka wogóle, przejdźmy do poszczególnych jej części.

W pierwszym rozdziale, zatytułowanym „Czasy przedhistoryczne“ (1—80), autor zajmuje się wyłącznie archeologią i antropologią, zapominając o swojej obietnicy uwzględnienia etnografii, czyli t. zw. folkloru, i lingwistyki porównawczej, chociaż wistocie dwie te pomocnicze gałęzie nauk zajmować powinny ważne miejsce. Co się tyczy materiału antropologicznego i archeologicznego, p. Czernak, wyznaczając Słowianom najdawniejsze siedziby między Bałtykiem i Karpatami, operuje tym materiałem tylko na tej przestrzeni, dodając do niej tylko kraje Słowian połabskich, Serbów łużyckich, Czechy i Morawię. Zaczynając od czasów najdawniejszych, od epoki lodowej (str. 3—4), zajmuje się autor jaskiniami i ich mieszkańcami (10), palowemi budowlami (13), grodziskami (16), grobami szkieletowemi i ciałopalnymi (24), narzędziami z kamienia, brązu i żelaza (34), wyrobami z gliny (35). Dalej idą krótkie wzmianki o kulturze hallsztackiej (40), następnie o innych kulturach, kulturze La Tène, rzymskiej i scytyckiej (40), poczem cofa się autor w tył, zwracając do kultury epoki paleolitycznej (43), neolitycznej (48), brązowej (51), wreszcie do cmentarzysk popielnicowych (52). Zapominając potem, że już wspominał o kulturze hallsztackiej, La Tène i rzymskiej, p. Czernak ponownie daje krótkie wiadomości o tych kulturach (58), a następnie wzmiankuje znowu o kulturze scytyckiej (59) i wreszcie zajmuje się kulturą grodziskową (74). Załatwiwszy się w ten sposób z archeologią

przedhistoryczną, autor zajmuje się jeszcze antropologią (77), przyjmując za fakt już pewny, że typ antropologiczny Słowian uległ przemianie, skoro w miejsce „panującej ongi długogłowości,“ przeważa dziś krótkogłowość, a twierdzi tak p. Czermak, idąc za niedowiedzianem zdaniem Niederlego.

Materyał do tego wszystkiego dostarczają p. Czermakowi niektóre polskie wydawnictwa, a mianowicie: Zbiór wiadomości do antropologii krajowej, Materyały antropologiczno-archeologiczne i etnograficzne, Światowit, lecz tylko po rok 1902, a z prac osobno wydanych, prócz wyżej wspomnianego Niederlego, jeszcze inni archeologowie: Picz, Czerwinka, Demetrykiewicz, Sadowski, Czarnowski, Ossowski, Woldrzych, Chwojko, Beltz i t. d. Za to całkiem autorowi nieznany jest materyał archeologiczny i antropologiczny, odnoszący się do wielkiej przestrzeni, zajmowanej przez Słowian na południe Dunaju aż do Bałkanów i Adryatyku, materyał, nagromadzony przez takich archeologów i antropologów, jak Smolik, Windischgrätz, Wankel, Sergi, Zaborowski i Olechnowicz, którzy właśnie tą zajmowali się przestrzenią. Tak samo nie zużytkowywa p. Czermak i nie zna prac Hellicha, Kleinensa Czermaka, Erazna Majewskiego i innych, którzy gromadzili materyał archeologiczny i antropologiczny na wielkiej przestrzeni środkowej Europy ku zachodowi.

W drugim rozdziale swych *Dziejów Polski*, zatytułowanym „Słowiańszczyzna przed VI w. po Chrystusie“ (81—174), p. Czermak zaczyna od wiadomości o Wenetach, Antach i „Słowenach,“ jakie posiadamy od Jornandesa i Procopiusa (85), zapominając, że one nie należą do czasu przed VI wiekiem po Chrystusie, lecz do samego VI wieku, i zaraz potem cofa się w tył aż do Pliniusza i Tacyta i do ich wzmianek o Wenetach na południe Bałtyku. Tych tylko Wenetów autor uznaje za przodków Słowian, a natomiast odrzuca słowiańskość Wenetów nadadryatyckich, twierdząc, że „nie dano pewnych dowodów“ na poparcie ich słowiańkości, w czym się jednak myli, bo dowody na to są pewne.<sup>1)</sup> W poda-

---

<sup>1)</sup> Hist. Słow. II, gdzie odnośne stronicie wskazane są w skorowidzu pod wyrazem Veneti iliryjscy, i Metoda i środki (czyt. skorowidz), a szczegółowiej w niemieckim przekładzie tej ostatniej pracy, jaki wyszedł p. t. „Methode und Hilfsmittel der Erforschung der vorhistorischen Zeit in der Vergangenheit der Slaven“ (Berlin 1902). O tej słowiańkości Wenetów nadadryatyckich i w mojem „Einführung in die Geschichte der Slaven“ (Jena 1904) na wielu miejscach.

niu Nestora o najdawniejszych siedzibach Słowian nad Dunajem, autor widzi tylko „robotę kronikarską, w której trudno dopatrzeć śladów tradycyi ludowej“ (88). Tak twierdząc jednakże, idzie p. Czermak za nieuzasadnionem zdaniem antiautochtonistów, t. j. nieuznających autochtonizmu Słowian naddunajskich, nie wiedząc o tem, że sam Niederle, przewodnik autora, zdanie swe w tym względzie już zmodyfikował i zrobił pewne ustępstwo dla szkoły autochtonistów, jak to już gdzieindziej wykazałem.<sup>1)</sup> Następnie, nie przypominając sobie jeszcze tego, co zapowiedział w tytule rozdziału, autor rozwodzi się ponownie o Słowianach w VI wieku i znowu nagle przenosi się w odległą przeszłość, bo aż do V wieku przed narodzeniem Chrystusa (114), do Androfagów i Melanchlenów Herodota, plemion niewątpliwie fińskich, które jednak podaje za przodków Słowian, wreszcie zajmuje się „przykarpacką“ kolebką Słowian; kwestyonuje potem słowiańskość nazwy rzeki Odry,<sup>2)</sup> widzi na zachodzie jej tylko nazwy celtyckie i niemieckie (125) i odrzuca (129—131) wywody Wojciecha Kętrzyńskiego, zawarte w pracy jego „O Słowianach, mieszkających niegdyś między Renem a Łabą, Sałą i czeską granicą“ (Kraków 1899. Osobne odbicie z Tomu XL Rozpraw wydziału historyczno-filozoficznego Akademii Umiejętności w Krakowie), lecz czyni tak tylko z uprzedzenia, pracy bowiem Kętrzyńskiego autor uważniej nie przeczytał i wywodów jego, na które i ja w pewnych razach się nie zgadzam, nie starał się rozumieć, i wreszcie zawraca, już całkiem zbytecznie, do antropologii (134), zapominając, że rozprawiał już o niej dużo w pierwszym rozdziale dzieła. Tu p. Czermak twierdzi (136), jakoby Niederle żywotność krótkogłowców i wymieranie długogłowców podawał za przyczynę tego, że dzisiejsi Słowianie już nie są długogłowcami, lecz krótkogłowcami. W tym względzie jednak p. Czermak się myli, gdyż nie jest to pogląd Niederlego, lecz innych antropologów.<sup>3)</sup> Zapominając również, że już bardzo obszernie, nawet zaobszernie, zajmował się archeologią w poprzednim rozdziale, autor raz jeszcze do niej powraca (138—

<sup>1)</sup> Światowit VI, 1905, str. 193.

<sup>2)</sup> Nazwa ta, powtarzająca się, ze zmianą tylko w sufiksach, w ten sposób: Odra, dopływ Bałtyku, Odra, dopływ Sawy, <sup>3)</sup>Odrana (Adrana Taeyta), dopływ Fuldy czyli Weltawy zachodniej, Odrava, dopływ Ogry w Czechach, Odrów, dopływ Dniepra—nie może być inną, jak tylko słowiańską. Czyt. o tem Metoda i środki 96.

) Metoda i środki 12, Methode und Hilfsmittel 13—14.

154). Tę drugą część kończy p. Czermak uwagami swemi nad mitologią Słowian (172), między którymi spotykamy się z wielu błędnymi twierdzeniami, jak to np., że „Słowianie przedhistoryczni sami sobie stworzyli swoją mitologię,“ lub że mitologia ta nie miała „żadnej wspólności z religiami innych ludów aryjskich.“

W rozdziale trzecim, zatytułowanym „Słowiańszczyzna od wieku VI do X,“ opowiada nam p. Czermak, jak Słowianie, pędzeni przez Awarów, zajmują w VI wieku różne kraje na południe Karpat i Dunaju (175 i 179). Wówczas, podług autora, i Chorwaci wraz z Serbami także ciągnąc za Awarami, biorą w posiadanie dzisiejsze siedziby swoje (178). O tem, że oba te ludy osiedliły się daleko wcześniej w dzisiejszej swojej ojczyźnie, że mianowicie Chorwaci osiedleni w niej byli w III wieku po Chrystusie w całej swej masie, a Serbowie już w znacznej części, że osiedlał ich Herkulusz (Maksymian), cesarz zachodnio-rzymski, że Konstantyn Porfirogenita pomieszał tego Herkulusza z III wieku z cesarzem wschodnio-rzymskim, Herakliuszem z VII w., o tem wszystkim autor sądu swego nie wydaje, ponieważ nie miał widośnie w rękę tych moich prac,<sup>1)</sup> w których wszystkie te fakta na światło dzienne wyprowadziłem.

Nietylko jednakże osiedlenie się Chorwatów i Serbów w dzisiejszej ich ojczyźnie odnosi mylnie p. Czermak do VI wieku, gdyż i innym Słowianom, np. korutańskim, każe on również dopiero w VI wieku zajmować dzisiejsze ich siedziby w Styryi, Karyntyi, Krainie i t. d. Tak np., autor wspominając o wojnie Tasylona I, księcia bawarskiego, ze Słowianami około 595 r., przedstawia ją w ten sposób, jakby to była walka Bawarów ze Słowianami najeźdźnikami, którzy jakoby pierwszy raz zapędzili się w strony, zajmowane przez Bawarów (180). Tymczasem dosyć zajrzeć do źródeł,<sup>2)</sup> aby przekonać się z nich, a między innymi z Pawła Dyakona, że Słowianie ci byli autochtonami w tych stronach. Od Słowian korutańskich przechodzi p. Czermak do Samona (182), następnie do Słowian za Karola W. (186), wreszcie zajmuje się szerzeniem wiary chrześcijańskiej między Słowianami (188), przyczem popełnia błąd (189), miesząc Salonę z Soluniem (Saloniką), czyli Tessaloniką, i metropolię salonitańską z tessalonicą. Przechodząc do państwa morawskiego i opowiadając po-

<sup>1)</sup> Hist. Słow. II, 73—74, 148. Początki Chorwacyi iliryskiej (Kraków, 1893) i Metoda i środki 64—66.

<sup>2)</sup> Czyt. Historia Słowian, II, 241—242.

bieżnie jego dzieje, p. Czermak pisze o Konstantynie (Cyrylu) i Metodyuszu i potraça o gładolicę i cyrylicę (197).

Na Cyrylu i Metodyuszu urywa p. Czermak historię Słowian i przechodzi do opisu ich stosunków społecznych (209). Streszczając różne sądy Wojciechowskiego, Piekosińskiego, Balzera i Brücknera o nazwach patronimicznych na *ice* (Krzesławice), dzierżawczych na *ów* i *in* (Dalechów, Miłocin), topograficznych (Chełm, Zielonki) i wreszcie o nazwach osad służebnych (Piekary, Bobrowniki), z których to nazw wyprowadzano pewne wnioski co do ich chronologicznego porządku, w jakim idą po sobie, i znaczeniu ich społecznem, p. Czermak nie dochodzi do żadnego pozytywnego rezultatu, zarzuca jednak Brücknerowi, że w sceptycyzmie swoim posunął się zadaleko, gdy twierdził, że „próby ustawienia owych grup w pewnym porządku chronologicznym i wykładu znaczenia socyalnego tychże“ są całkiem fantastyczne, że nazwy wszystkich owych grup mogą być zarówno stare (215). Że w istocie pomylił się tu Brückner, wspominał i piszący te słowa.<sup>1)</sup> Podzielając w tym względzie zdanie p. Czermaka, trudno nie zganić sposobu, w jaki robi niektóre zestawienia; sposób ten przypisać chyba można pewnemu roztargnieniu.<sup>2)</sup> Tak np. pisze autor (212), że podług Wojciechowskiego „nazwy patronimiczne i dzierżawcze są najstarsze, a Piekosiński różni się od Wojciechowskiego tem, że „nie tylko miejscowości o nazwach patronimicznych, ale także tak zwane dzierżawcze zaliczył do najstarszych“ (214). Chodziło tu p. Czermakowi o zaznaczenie różnicy, a zaznaczył identyczność. Weźmy drugi przykład. Pan Czermak mianowicie pisze, że „na terytorjum Kroacji, Sławonii, Bośni, Serbii i Czarnogórza są obecnie jeszcze górną nazwy o typie patronimicznym nad nazwami o typie dzierżawczym, gdy w Bułgarii, Rumelii, Macedonii nazwy patronimiczne rodowe *zdają się mieć przewagę liczącą* nad dzierżawczemi (217). Przy tej sposobności p. Czermak nadmienia, że kategoryzację nazw miejscowości bułgarskich, lecz tylko pobieżną, przeprowadził Jireczek w swej Historji Bułgarii, ale za to ani słowa nie wspominał o tem, że piszący te słowa szczegółowo zastanawiał się nad tym przedmiotem, że parę kategoryj tych nazw,

1) Metoda i środki 18. Zdaje się, że i F. Bujak, tylko pod wpływem sceptycyzmu Brücknera, pisał pierwszą część swej pracy: „Studia nad osadnictwem Małopolski“ (Kraków, 1905), w której wystąpił przeciw wywodom Wojciechowskiego, Balzera i innych, w zasadzie słusznym.

2) Przykładów takiego roztargnienia dużo jest w książce autora.



a mianowicie nazwy na *ice*, dalej nazwy, a raczej przezwiska rodowe (Kozieglowy, Złamirogi, Holohlavy) i osady służebne, zaliczył do okresu prasłowiańskiego, ponieważ znajdują się one w różnych krajach słowiańskich, że nawet ślad osad służebnych znajduje się w przywileju z r. 777, dla klasztoru w Kremsmünster nad rzeką Krems (dziś w gór. Austrii), gdzie wymienieni są, jako nadani klasztorowi dla zaopatrywania jego potrzeb, kowale, cieśle, rybacy, winiarze, bartnicy, wszystko, jak sądzę, słowiańscy okoliczni mieszkańcy takich właśnie osad służebnych, a dodam jeszcze, że w przywileju tym wspomina się i żupan (jopan) Słowian, mieszkających w tym kraju (decania Scavorum), Physso.<sup>1)</sup> Wobec tego nie pojmuję sceptycyzmu p. Czermaka, z jakim pisze, że „mało można mieć nadziei, aby z pomocą tego samego środka nauki można było obecnie wyjaśnić jakąkolwiek kwestję z zakresu dziejów pierwotnych całej wogóle Słowiańszczyzny“ (216). Od tego przedmiotu przechodzi autor do innego, chociaż mu pokrewnego, a mianowicie zastanawia się nad tem, czy pierwotnie była u Słowian indywidualna własność ziemska, czy wspólna (218). Przywołując odnośną literaturę, autor wymienił prace Nowakowicza, Balzera, Piekosińskiego, Meitzena, Lipperta, Kadleca, Peiskera, Pekarza, Piotrowskiego, a nawet nie pominął Bronisława Grabowskiego, choć mógł go całkiem pominąć. Przechylając się po części do zdania Meitzena (220 i 227—228), że poza średniowiecznem terytoryum (dla czego tylko średniowiecznem?) Serbii i Chorwacyi, wszędzie wspólnoty istniały w średnich wiekach sporadycznie, p. Czermak dodaje, że mógłby się zgodzić i na to, że tu i owdzie mogły one istnieć równorzędnie i współrzędnie z osadnictwem, opartem na zasadzie własności indywidualnej, nawet w pierwotnych społeczeństwach słowiańskich (228—228). Za to dla p. Czermaka jest rzeczą pewną, że podstawą życia społecznego u wszystkich Słowian bez wyjątku była tak zwana organizacya rodowa, która sięga czasów przedhistorycznych (230). Zapytałbym się teraz autora, jak wyobraża sobie tę pierwotną organizacyę rodową, a zwłaszcza dla czego nie uwzględnił tego niezaprzeczonego faktu,<sup>2)</sup> że własność wspólna, nietylko u Słowian południowych, ale także w Polsce i Czechach, nietylko w krajach słowiańskich, ale i we Włoszech, Szwajcaryi, Francyi odnosi się do czasów pierwotnego i współczesnego za-

---

<sup>1)</sup> Metoda i środki 16—18. Sądzę, że na drodze, wskazanej w tej pracy, dojdzie się, przy szczegółowych badaniach, do ważnych rezultatów.

<sup>2)</sup> Metoda 37—41.

władnięcia ziemią przez Aryów, że ta wspólność ziemi, o której w Dalmacyi wspomina Strabo, u Getów nad Dunajem Horacyusz, a w Germanii Cezar jest tą samą wspólną własnością, której resztki do dnia dzisiejszego przeżyły u Słowian południowych, że wreszcie indywidualna własność na ziemiach słowiańskich była następstwem podbijania tych ziem przez obcych.<sup>1)</sup> Załatwiwszy się po swojemu ze wspólną i indywidualną własnością u Słowian, p. Czermak pisze o żupie (232), wiecach (242), kmieciach (291), o władzy książęcej, szlachcie i chłopach, wreszcie zajmuje się rolnictwem u Słowian, chowem bydła i t. d. (321).

Na zakończenie już tego pierwszego tomu zajmuje się p. Czermak mitologią Słowian (331—334), powtarzając znane już skądinąd, a mylne zdania o różnych bogach słowiańskich. O Swarogu, czyli Swarozycu, pisze, że kult jego jakoby z Radgoszczy rozszerzył się na Ruś, gdy kult ten u Słowian jest bezwarunkowo pochodzenia aryjskiego, a zatem i prasłowiańskiego. O Czarnym bogu twierdzi autor, że on tylko ma niejaki poparcie w folklorze, chociaż można byłoby także przypuścić, że mógł powstać pod wpływem chrześcijańskich wyobrażeń o szatanie (332—333), lecz to ostatnie przypuszczenie autora jest całkiem niezasadnem,<sup>2)</sup> że natomiast Biały bóg (Belbog) jest kronikarskim (o jakich kronikach tu p. Czermak myśli, nie wiem) wymysłem i nie znajduje żadnego poparcia w folklorze, gdy wiemy od Młynka, z pracy jego „Zarys pierwotnej religii Lachów“ (Lud V, 1899), że cześć dla dwóch „dziwów“, Białego i Czarnego, istniała i istnieje u naszego ludu, a zatem i w folklorze. I to, co autor pisze o Swantewicie (333—334), jest także mylne, a tylko o Trygławie, którego zowie niewiadomo dla czego Trygłowem, pisze tak, jak było, uważając go za bóstwo lokalne, chociaż i tu można byłoby przypuścić ogólniejsze znaczenie tego bóstwa.

Kończąc tę ocenę dzieła p. Cermaka, dodam już tylko, że jeżeli w niniejszej recenzji spotkało się ono z krytyką, to z drugiej strony należy zaznaczyć trudne warunki wśród jakich autor się znajdował, a które w części były wynikiem jego własnej działalności naukowej. Autor bowiem, znakomity badacz dziejów Polski w XVII wieku, dla których rozjaśnienia dał nam kilka prac

<sup>1)</sup> Metoda i środki 41—42.

<sup>2)</sup> Czyt. artykuł mój: Słowiański Czarny bóg w Anglii (Światowit, t. VI, 1905, str. 160).

cennych, uczynił, aby się dostać do bardzo odległych, mrokiem pokrytych czasów przedhistorycznych, zwrot w tył tak nagły, że nie mógł się nie potykać. Autor nie przewidział zapewne, jak olbrzymia, a całkiem nowa czeka go praca, z jaką masą całkiem innych źródeł będzie musiał się zapoznać, źródeł daleko liczniejszych i trudniejszych do zbadania, niż nawet te, z jakich wysnuł tak piękne dzieło, jak „Plany wojny tureckiej Władysława IV.“

EDWARD BOGUSŁAWSKI.

# Kronika miesięczna.

Prace kulturalne i ich „gwiazda przewodnia.”—Obrady Centralnego Towarzystwa rolniczego.— Likwidacya Macierzy Polskiej.— Polskie Towarzystwo krajoznawcze.

Hasło chwili bieżącej streszcza jeden wyraz — *kultura*. Brzmi on wszędzie. Na łamach wszystkich pism polskich, na sztandarach bojowych wszystkich partyj i stronnictw wypisują go coraz skwapliwiej nawet ci, którzy do niedawna pracowali wyraźnie na szkodę tej kultury. Mówi się i pisze o kulturze wogóle, o kulturze narodowej w szczególności, o zadaniach i kierunkach usiłowań kulturalnych, o naszych brakach, niedomaganiach, o naszej mocy lub niemocy wewnętrznej.

Jest to fakt niewątpliwie znamieny, świadczący o stanowczym i ostatecznym zwrocie opinii publicznej. Społeczeństwo, zmęczone i wyczerpane wypadkami lat ubiegłych, a jednocześnie zawiedzione zupełnie w kierunku nadziei, zbyt lekkomyślnie podsycanych przez niektóre obozy, staje coraz bardziej oko w oko z rzeczywistością, a dzięki swoim siłom żywotnym, szuka realnych dróg, gwarantujących im jakie takie wyjście z obecnej sytuacji przejściowej. Przekonano się, że nie programy i hasła, ale powolna i wytrwała praca prowadzi do trwałych zdobyczy i do polepszenia horoskopów na przyszłość. Rany, otwarte przez t. zw. rewolucję i przez spaczony, utopiony w zupełnej anarchii, ruch wolnościowy, nie są już dla nikogo tajemnicą. Wszyscy je widzą, wszyscy czują, że pozostawienie ich nadal w organizmie społecznym bez radykalnego leczenia, spowoduje ciężką i długotrwałą chorobę. Stąd chęć jaknajspieszniejszego niesienia środków leczniczych, stąd apel ogólny wzywający wszystkich do pracy kulturalnej, jedynie możliwej w warunkach obecnych. Ale *kultura* jest

wyrazem rozciąglým, wyrazem w ostatnich czasach tak nadużywanym, że zapewne w jej pojmowaniu przez tych lub innych znaczne zachodzą różnice. Nie uzewnętrżniły się one jeszcze dość wybitnie w prasie, bo ta prasa zaledwie zaczyna rozwijać swoją linię bojową w kierunku przeprowadzania zasad, jakie wyznają zgrupowani dookoła niej publicyści i pisarze — uzewnętrżnią się jednak z pewnością i to w formach dość jaskrawych. Mam właśnie przed sobą artykuł wstępny, zamieszczony w nowourodzonym dwutygodniku p. t. *Witeź*, artykuł, który już jest jakby przygrywką do nieporozumień dalszych.

Słowa, które poniżej pozwolę sobie przytoczyć, wyszły z pod pióra znanego powieściopisarza, p. Gustawa Daniłowskiego.

I p. Daniłowski mówi o *kulturze*, uznaje, że pęd do pracy kulturalnej charakteryzuje nastrój obecny, że zaniedbaliśmy się strasznie, że jesteśmy prześcyceni polityką, która zawiodła nasze oczekiwania. Rozpatrując się jednak w sytuacji, przestrzega społeczeństwo przed powrotną falą „pracy organicznej“, idącej ku nam z całym „bagażem swojej ideologii z przed lat trzydziestu.“

Możnaby się zgodzić na tę przestrożę, aczkolwiek doświadczenie uczy, że mimo iż pewne zjawiska, nastroje i usposobienia w życiu społecznem powtarzają się, to jednak nie powtarzają się nigdy w zupełnie tej samej formie, że więc i tutaj hasła pracy organicznej przyniosłyby z sobą niewątpliwie „nowy bagaż ideowy“, zastosowany więcej do czasu i jego potrzeb.

Ale p. Daniłowskiemu nie tylko idzie o tę przestrożę. Podkreśla on w dalszym ciągu swojego artykułu rzeczy bardziej zasadnicze.

Pominąwszy słuszną uwagę o tem, że kultura nie jest celem sama w sobie, że, aby osiągnąć pożądany rezultat, potrzebny jest jeszcze *czynnik świadomości*, określającej do czego ta moralna, umysłowa i materyalna kultura zmierza, autor cytowanego artykułu stawia w konkluzjach żądanie „gwiazdy przewodniej“ i mówi, że „bez tej gwiazdy można tak dalece utonąć w robocie organicznej, że gdy żywiołowo wybuchnie ogień i ryknie wichry, nie będzie wiadomo, którądy się na wolną falę wydostać i znów zacznie się błędzenie, chybotanie się z boku na bok, szamotanie się w różne strony, niewątpliwie bardziej kulturalne, ale równie zgubne.“

Ze słów powyższych widać, że p. Daniłowski ma poważne wątpliwości co do tego, czy nasze prace kulturalne pójdą we *właściwym* kierunku, czy będzie im przyświecała owa „dobra gwiazda“, prowadząca żeglarzy nawet przez najburzliwsze flukty do

jasnego i słonecznego brzegu. Nie powiada jednak wyraźnie, czego żąda i co, jego zdaniem, za ową „gwiazdę“ powinno być powszechnie uznane. Z niedomówień wszakże i z przesadnej obawy przed „bagażem ideowym z przed lat 30“ widać, że p. Daniłowskiemu idzie o jakieś nowe „ciało“ na firmamencie naszego życia ideowego i to właśnie stanowi grunt do mogących powstać nieporozumień.

Naród polski od początku swojej tragedii dziejowej aż do dnia dzisiejszego ma i powinien mieć jedną tylko „gwiazdę przewodnią:“ dobro całego narodu. Ta sama gwiazda świeciła już szeregowi pokoleń i prowadziła je wśród najcięższych chwil ku wyraźnie określonemu celowi. Blask jej bynajmniej dotąd nie zbladł i każdy, kto czuje głębiej, nie może mieć na widoku żadnych innych światła przewodnich, prócz tej jednej *gwiazdy* dobrze znanej wszystkim, chociaż nie przez wszystkich jednakowo cenionej. Co więcej—jeżeli w dobie, którą przeżyliśmy niedawno, było istotnie dużo błędów, dużo „chybotania się z boku na bok i szamotania się w różne strony,“ to niewątpliwie przyczyną tego był fakt, że pewien odłam naszego narodu odwrócił się od tej gwiazdy przewodniej, a szukał dla siebie światła w niesformowanych jeszcze mgławicach. Gdybyśmy byli wszyscy w chwili przełomowej podporządkowali się idei dobra narodu, jako zasadzie najwyższej, gdybyśmy byli więcej myśleli o tej idei, a mniej o dzielących nas różnicach w zapatrywaniach na sprawy społeczne, zbiorowość nasza nie byłaby się rozdarła na tyle stronnictw, walczących z sobą, na tyle koteryj, potępiających się wzajemnie, a w gruncie rzeczy przynoszących tylko osłabienie sił narodowych.

Słuszną jest rzeczą żądanie *gwiazdy przewodniej* i w tym względzie p. Daniłowski ma rację. Niech ta gwiazda przyświeca wszelkim pracom, podjętym w imię kultury, niechże jednak będzie to jedna gwiazda dla wszystkich i gwiazda ta sama, która świeciła pokoleniom poprzednim. Bo żadne pokolenie nie zaczyna życia na nowo. Wnosi ono z sobą do tego życia własne pierwiastki, kształtowane pod wpływem nowych potrzeb i zmienionych warunków istnienia, ale jednocześnie czerpie soki odżywcze z przeszłości, na niej się opiera i z nią łączy bezpośrednio.

Odrodzenie narodu—było, jest i musi pozostać naszą „gwiazdą,“ uznaną przez pokolenie, idące w przyszłość tak samo, jak była ona uznaną przez pokolenie, schodzące obecnie z pola.

Kultura narodowa tylko w świetle i w promieniach tej gwiazdy może się rozwijać, rosnąć, kwitnąć i wydawać owoce. W każdym innym wypadku będzie ona rośliną niedoskonałą, której jedne

pędy pójda w górę, inne chorobliwie się wypaczą lub uschną zupełnie.

Naród, wbrew temu wszystkiemu, co mówi się dzisiaj o walce klasowej, wbrew jątżzeniu jednych warstw przeciw drugim, żyje jednolitem życiem i musi mieć na orbicie swojego rozwoju pewne punkty takie, gdzie schodzą się drogi wszystkich.

Niedostrzeżenie tych punktów, zaprzeczanie ich istnienia i poszukiwanie nowych—jest wynikiem daltonizmu duchowego, który zjawia się zwykle tam, gdzie doktryny przysłaniają idee. Że tak bywa, przekonaliśmy się aż nadto dowodnie, obserwując nasze życie społeczne w dobie wstrząśnięć i niepokoju niedawno minionej doby. Iluż było wśród nas doktrynerów, którzy nie przez złą wolę, ale przez wadę swojego wzroku, utracili zupełnie z przed oczu prawdziwą i nieśmiertelną ideę i szli w kierunkach zupełnie innych, niż ten zasadniczy kierunek, jaki powinna im była wskazać „gwiazda przewodnia.“

Dalecy jesteśmy od tego, aby rzucać teraz w kogokolwiek kamieniami potępienia za błędy, które są już faktami dokonanymi i których konsekwencye musieliśmy przyjąć, jako nieuniknione. A jeżeli to przypominamy na tem miejscu, to jedynie dla tego, że pragnęlibyśmy gorąco, aby zaślepienie doktrynerskie, z jakim spotykaliśmy się w polityce, nie zostało przeniesione i na teren pracy kulturalnej.

To, co dotyczy kultury, musi być wolne od wszelkich zabarwień partyjnych, od wszelkich powiewów skądinąd. Budujemy na własnym zrębie własny gmach i nie możemy go budować z cegieł cudzych, jak nie może nam w tej pracy przyświecać inna gwiazda, prócz tej jedynej, jaką wszyscy bez zastrzeżeń możemy i powinniśmy uznać.

Zawczasu muszą to sobie powiedzieć wszyscy, którzy do pracy kulturalnej się garną, ci zwłaszcza, którzy są sternikami organów, poświęconych sprawom i zagadnieniom kultury. Jeżeli bowiem te rzeczy nie zostaną należycie wyjaśnione i ustalone, niedługo możemy być świadkami niespodzianek takich, jak prowadzenie *roboty destrukcyjnej* w imię kultury.

Należy też wykreślić sobie jasno i wyraźnie drogi postępowania i przede wszystkim sprecyzować samo pojęcie kultury narodowej, którą dzisiaj każdy na swój sposób rozumie. Tak up. dla jednych pracą *dla kultury narodowej* jest szerzenie zasad socjalistycznych, krzewienie bezwyznaniowości i walka z religią *quand mème*. Dla innych znów pracą dla kultury będzie niewolnicze naśladowanie obcych we wszystkim, przesączanie do nas

poglądów i zapatrywań, wytworzonych w środowiskach, dalekich od nas i pod wpływem warunków odmiennych. I na tem tle wynikną nieporozumienia i walki, dzielące nas i — osłabiające nasze i tak wątłe siły.

A musimy je oszczędzać, gromadzić, kapitalizować. Nie należymy do narodów bogatych, nie możemy szafować niczem, ani pieniądzem, ani moralnemi i umysłowemi naszymi zasobami, ani nawet energią społeczną, której nie posiadamy nad miarę.

Pierwszem też naszym zadaniem jest nie dzielić, ale jednoczyć i skupiać.

Wiemy dobrze, że pomimo rozlegających się dzisiaj hasań, zaledwie szczupła garść ludzi w całym narodzie rozumie swoje obowiązki i stanie do pracy. Ogromna większość stoi jeszcze poza obrębem uświadomienia obywatelskiego i zupełnie jest obojętna na to wszystko, co kultury narodowej dotyczy. Wiemy, jak opłakany żywot prowadzi większość naszych instytucyj zbiorowych, jak trudno u nas zainteresować ogół czemś, co nie przynosi mu doraźnych korzyści, jak trudno o ręce do pracy i o umysły do rady tam, gdzie trzeba pracować i radzić.

Nie tylko miliony naszego ludu wiejskiego i miejskiego śpią jeszcze snem nieprzebudzonym, drzemają także lub ledwie przecierają oczy liczne zastępy naszej inteligencji, wychowanej w dobie przemożnego panowania hasań materialistycznych i egoistycznych. Uspołecznienie wszystkich sił do pracy kulturalnej podatnych, umiejętne pokierowanie temi siłami i odpowiednie ich wyzyskanie, oto najpierwszy obowiązek tych, którzy czuwają i chcą prowadzić innych. Nie mogą też owi przewodnicy innego postawić światła, innej rozpalic gwiazdy, jak tylko tę, którą znają i którą łatwo dostrzegą wszyscy, bo ta gwiazda jest w nas, jest w zbiorowej duszy narodu polskiego i płonie tam niegasnącym nigdy, dyamentowo jasnym i żywym płomieniem — i zły jest sternik, który nie za nią płynie! Statek jego osiadzie niewątpliwie na mieliźnie lub rozbije się o rafy podwodne.

\*

\*

\*



W dniach 10, 11 i 12 bieżącego miesiąca odbyły się w Warszawie obrady Centralnego Towarzystwa rolniczego.

Obrady te mają znaczenie szersze, gdyż z jednej strony uczestniczył w nich liczny stosunkowo zastęp rolników z rozmaitych okolic, z drugiej—poruszano tam i omawiano sprawy, obchodzące cały kraj.

Oczywiście nie możemy tu powtarzać za sprawozdaniami dziennikarskimi całego przebiegu obrad, wskazywać na poszczególne momenty dyskusyi, ani nawet streszczać ważniejszych referatów.

Uważamy jednak za swój obowiązek kronikarski podkreślić kilka spraw najżywotniejszych, które w tej chwili wysuwają się na czoło zagadnień, żywo obchodzących nie tylko nasz świat rolniczy.

Jedną z takich spraw poruszył p. Stanisław Dzierzbicki w referacie, poświęconym wychodźtwa naszego ludu do Prus i do Ameryki ze szkodą dla rolnictwa krajowego. Prelegent wychodził z założenia, że rolnictwo w Polsce bynajmniej nie stoi świetnie, że stoi w przededniu nowego kryzysu i że zamiast wywozić produkty rolne—wywozi ręce robocze. Jako na środek zaradczy przeciw emigracyi p. Dzierzbicki wskazywał na potrzebę wzmoczenia się naszych kooperatyw rolnych, oświatowych i handlowych, które dałyby możność naszemu włościanstwu bardziej intensywnego prowadzenia gospodarki, a przez to umożliwiły mu pozostanie w kraju rodzinnym.

Nie trzeba dowodzić, że są to *pia desideria*, a przynajmniej rzeczy w blizkiej przyszłości nieosiągalne. Kiedyś, przy autonomicznym ustroju kraju, lub przynajmniej przy szerokim samorządzie będzie można o tem mówić, jako o postulatach realnych. Dzisiaj wszelka praca w tym kierunku musi się jeszcze połupać tak żółwim krokiem, a zdobycze, jakie przynosi, są jeszcze tak małe, że niemal w rachubę brać ich nie można.

Emigracya tymczasem jest faktem, wobec którego stoimy i którego narazie zażegnać nie możemy. Raczej więc cały nasz wysiłek powinien być skierowany ku temu, aby wychodźtwa nasze nie rozpraszało się, nie było narażone na wyzysk, nie ginęło bez pożytku, roztapiając się wśród żywiołów obcych, ale utrzymywało łączność z krajem i powracało do niego ze zdobytymi na obczyźnie środkami. Ten powrót jest konieczny i to jest, naszym zdaniem, najważniejsza strona kwestyi, bo dopiero wówczas, jeżeli wychodźtwa nasze będzie bezpowrotne, krajowi może grozić stopniowe wyludnienie, a co zatem idzie stopniowy upadek rolnictwa.

W chwili obecnej sprawy jeszcze tak źle nie stoją. W przewidywaniu jednak wzrostu fali emigracyjnej w najbliższych latach, do czego z jednej strony przyczyniają się w dużym stopniu warunki polityczne naszego kraju, z drugiej—przyczyni się uporządkowanie stosunków pieniężnych w Stanach Zjednoczonych, które po niedawnym kryzysie już do równowagi zaczynają powracać— w przewidywaniu, powtarzam, silniejszego ruchu wychodźczego należy zawczasu pokierować nim właściwie. Zarząd Centralnego Towarzystwa rolniczego zrozumiał to dobrze, na co zwracaliśmy już uwagę w jednej z kronik poprzednich i zajął się sprawami wychodźstwa poważnie. Referat p. Dzierzbickiego nie rzucił więc nowego światła na te sprawy, wymagające zgoła innego postawienia.

Natomiast tenże sam referent w trzecim dniu obrad mówił o sprawie, mającej duże znaczenie dla naszych gospodarstw rolnych. Zaznajomił on mianowicie zebranych z projektem ustawy Towarzystwa wzajemnego ubezpieczenia inwentarza od pomoru.

W Europie zachodniej istnieją dwa typy tego rodzaju Towarzystw, a mianowicie bądź wielkie towarzystwa, oparte na wzajemności, bądź drobne kółka, obejmujące małe okręgi. Te ostatnie skutkiem różnych klęsk zaczęły upadać. Wobec tego Francya stworzyła nowy typ, będący jakby połączeniem dwóch pierwszych. Oto drobne kółka łączą się w federację, do której takie kółko wchodzi, jako jednostka. Ten właśnie typ francuski przyjęto w projektowanej ustawie.

Towarzystwo wzajemnego ubezpieczenia inwentarza od pomoru zawiązuje się w celu zapewnienia rolnikom na zasadach wzajemności wynagrodzenia strat w ich inwentarzu żywym wskutek pomoru, spowodowanego chorobą lub wypadkiem, lub też przymusowem zarżnięciem, nakazanem na zasadzie obowiązujących przepisów weterynaryjnych. Towarzystwo może nadto przyjmować na warunkach specjalnych i za opłatą składki stałej: ubezpieczenia wartości rzeźnej inwentarza żywego, ubezpieczenia inwentarza żywego podczas transportów, operacyj, na wystawach, pastwiskach letnich i t. p. Ubezpieczenia te krótkoterminowe mogą być przyjmowane i nie od rolników, lecz praw członków Towarzystwa nie nadają.

Z szeregu innych kwestyj, nad którymi radzono w Centralnem Towarzystwie rolniczem, na szczególną uwagę zasługują poglądy prof. Surzyckiego na pracę akordową i w naszym rolnictwie stosowaną. Rozpatrując jej dobre i złe strony, sformułował prof. Surzycki zalety i wady tego systemu pracy.

Zalety te są jego zdaniem następujące: 1-o, każda pilność, każdy większy wysiłek, każda większa zręczność robotnika może znaleźć w tym systemie słuszne i większe wynagrodzenie, czego w systemie pracy czasowej niema; 2-o, praca akordowa jest bardzo korzystna dla pracodawcy, gdyż podnosi znacznie intensywność pracy ludzkiej, a zarówno zmniejsza liczbę nadzoru; 3-o, przez akord stosunek naprężony pomiędzy pracodawcą a robotnikiem łagodnieje; 4-o, robotnik nabywa przy pracy akordowej znacznej wprawy w robocie, w używaniu narzędzi, staje się zdolniejszym, zręczniejszym, słowem akord podnosi jego technikę i jego kulturę; 5-o, robotnik pracuje większą ilość godzin na dobę, co daje zysk czasu, mający w gospodarstwie duże znaczenie; 6-o, zaoszczędzenie sił roboczych przez akord, co jest dla ziemian polskich kwestyą bardzo ważną wobec tłumnego wychodźstwa zagranicę; 7-o, akord stawia w bardziej niezależnym stosunku robotnika, gdyż może on o wiele łatwiej dysponować swoim czasem; 8-o, akord, podnosząc zarobki, może wpłynąć na zatrzymanie przynajmniej pewnej części robotników, emigrujących do państwa niemieckiego.

Zarzuty, które stawiają pracy akordowej różne teorie ekonomiczne, a zwłaszcza socjalistyczne, że prowadzi ona do nadmiernych, a więc szkodliwych dla zdrowia robotnika wysiłków, że na ogół obniża płacę zarobkową, że jest przywilejem dla osobników, obdarzonych większą siłą, zdrowszych i zręczniejszych—prof. Surzycki starał się obalić.

Jednocześnie jednak przeciw pracy akordowej występują zwykle pracodawcy, użalając się na złe wykończenie pracy, na to, że w rolnictwie daleko trudniej jest stosować akord, niż w przemysle fabrycznym, wreszcie, że akord wymaga ludzi silnych, zdrowych i z pewną kulturą, którzyeli nieraz trudno znaleźć i t. d.

Zarzuty te, zdaniem prof. Surzyckiego, również nie wytrzymują krytyki, gdyż najwięcej zależy tu od odpowiedniej organizacji akordu, a więc od uwzględnienia warunków umiejętnego zastosowania akordu, t. j. od trafności wyboru prac, kwalifikujących się do akordu, od właściwych sposobów oznaczania stopy wynagrodzenia i od umiejętnego przejścia z najmu do akordu.

Wynikałoby stąd, że praca akordowa mogłaby i powinna znaleźć w naszym rolnictwie zastosowanie szersze niż dotychczas i prawdopodobnie wyszłoby to rolnictwu na korzyść.

Poruszenie choćby tylko tej jednej kwestyi dowodzi, jak pożyteczne były obrady, a tyle jest jeszcze kwestyj innych, które nadawałyby się do omówienia w szerszem gronie rolników, do

wszelchstronnego oświatlenia i fachowej oceny. W dodatku kwestye te, acz bezpośrednio z rolnictwem związane i rolników przede wszystkim obchodzące, mają niejednokrotnie znaczenie szersze, bądź naukowe, bądź praktyczne, czy to jako zagadnienia ekonomiczne, czy jako wskazówki, oparte na doświadczeniu i obserwacji życia. Zwłaszcza dla publicystów, mieszkających stale w Warszawie i mających mały kontakt z wsią, uczestniczenie w obradach Centralnego Towarzystwa rolniczego bardzo jest pociągające i należy pragnąć, aby obrady te odbywały się przynajmniej kilka razy do roku. A i dla samych ziemian częstsze zjazdy i debaty naukowe bardzo są potrzebne, jako czynnik kształcący, pobudzający zakrzepłą nieraz w rutynie myśl do samodzielnej pracy i głębszego zastanawiania się nad zagadnieniami swojego zawodu, słusznie bowiem zaznaczył podczas obecnych obrad d-r Michał Natanson, że źródło poprawy stosunków dzisiejszych leży w samych rolnikach, że wielki czas na to, aby „uruchomić kapitał intelektualny.“ Nadmiaru tego kapitału niema u nas wśród warstwy, która przeważnie jeszcze rolnictwu się oddaje. Trzeba go więc stworzyć i stale nowemi dopływami zasilać.

\*

\*

\*

Jako prosta konsekwencya grudniowego rozporządzenia p. Generał-gubernatora warszawskiego, dn. 24 stycznia r. b. odbyło się nadzwyczajne zgromadzenie ogólne Polskiej Macierzy Szkolnej, poświęcone wyłącznie sprawie zlikwidowania tej pięknej instytucji. Szło mianowicie o to, ażeby wobec niemożności wykonania budżetu, uchwalonego w listopadzie, przeznaczyć fundusze Macierzy na inne, pokrewne cele.

Instytucya przestała istnieć. Krótka jej działalność nie pozostała jednak bez widomego owocu. Owocem tym jest obudzenie się w szerokich masach żywiotowego pędu do światła, do zdobywania i rozszerzania już zdobytych wiadomości.

Lud polski, który za pośrednictwem Macierzy, czy to w szkołach przez dzieci, czy na wykładach popularnych i odczytach bezpośrednio, zetknął się z oświatą, podawaną mu w języku ojczystym, w formie przystępnej i łatwej, w wielu wypadkach poznał

już i zrozumiał znaczenie tej oświaty, pojął, że jest ona tym chlebem powszednim, który każdemu człowiekowi niezbędny jest do istnienia, że jest ona dobrem prawem każdego i że jej zdobycie prowadzi całą zbiorowość naprzód.

Tej świadomości nie w nim nie zatrze i przechowa on ją do chwili nadejścia lepszych, szczęśliwszych warunków, kiedy pod taką lub inną nazwą, powstanie nowa, o tych samych celach, instytucya. A chwila taka nie może być daleka. To widzą i to czują wszyscy, patrzący uważnie na łożyska, któremi płynie życie narodów.

\*

\*

\*

Pierwsze dopiero kroki stawia u nas Polskie Towarzystwo Krajoznawcze i to kroki na terenie niezbyt przygotowanym do owocnej działalności, nie odznaczamy się bowiem wcale, jako naród, zbytnią ochotą do poznawania własnego kraju. Więcej nas ciągnie zagranicą i daleko częściej wyjeżdżamy na zachód i na południe Europy, niż na wschód i północ naszej własnej ziemi. Turystyka jest u nas sportem prawie nieznanym. Młodzież nasza wychowywana jest w obawie przed wycieczkami na własną rękę i nieprędko gościńce nasze i drogi wiejskie zaroją się tak od młodych turystów, jak to np. jest w Finlandyi, gdzie czas wakacyjny, zarówno chłopcy, jak dziewczęta, spędzają na wędrówkach po malowniczej ojczyźnie, wśród wesołych przygód i poważnej zarazem nauki, gdyż nauką jest poznawanie ziemi rodzinnej, zwyczajów, obyczajów, doli i niedoli swoich współobywateli.

My — z ręką na sercu możemy to powiedzieć wszyscy — prawie nie znamy naszego ludu. Po za okolicą, w której urodziliśmy się, lub z którą wiążą nas jakieś stosunki natury osobistej, mało kto z inteligentnych mieszkańców Warszawy, z pośród tych, którzy myślą i radzą o sprawach, obchodzących cały kraj, odbywał podróż po tym kraju w widokach bliższego zaznajomienia się z życiem jego mieszkańców.

Jest to ogromna luka w przygotowaniu obywatelskiem dzisiejszego pokolenia, luka, którą pokolenie przyszłe powinno w wychowaniu i wykształceniu swoim znaleźć już zapełnioną.

Czy tak będzie? Niewątpliwie, a jedną z zapowiedzi tego jest powstanie i rozwój Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego.

Dotychczasowa działalność tego młodego Towarzystwa przedstawia się już interesująco, aczkolwiek bardzo jeszcze skromnie.

Po zorganizowaniu się, przystąpiono niezwłocznie do utworzenia stałego ogniska wzajemnej wymiany myśli. W tym celu postanowiono odbywać miesięczne zebrania, poświęcone odczytom i pogadankom krajoznawczym. Stałą i najpierwszą troską zarządu było więc dostarczanie na te zebrania miesięczne odpowiednich referatów. Zebrań takich w roku ubiegłym odbyło się 10; na każdym z nich oprócz odczytu, pokazywano i objaśniano szereg obrazów, przedstawiających widoki kraju, typy ludowe z różnych okolic i wzory przemysłu ludowego. Następnie utworzono przy Towarzystwie sekcję popularyzowania wiedzy krajoznawczej wśród młodzieży, z kilku podsekcjami. Młodzież szkolna płci obojga licznie zapisała się do tej sekcji i rozpoczęła pracę pod okiem swych przewodników.

Pomyślano także i o wydawnictwach. Na pierwszy ogień poszła broszura p. t. „Poznaj swój kraj,“ zawierająca prace członków zarządu: Zygmunta Glogera, M. Heilperna, Al. Janowskiego i K. Kulwiecia. Dalej wydano mapy puszczy Kampinowskiej i Białowieskiej, wreszcie szereg pocztówek artystycznie wykonanych. Powołano nadto do istnienia specjalną komisję wydawniczą, która postawiła sobie za cel opracowywanie i wydawanie tanich, dostępnych dla każdego, broszur o treści krajoznawczej.

W roku sprawozdawczym Towarzystwo urządziło trzy zbiorowe wycieczki, mianowicie do Puszczy Kampinoskiej, do Żelazowej Woli i do Czerska. Wszystkie odbyły się z wielkim powodzeniem naukowym i materyalnym.

Od pierwszej chwili istnienia Towarzystwo postanowiło gromadzić własne zbiory. Dziś posiada ono już księgozbiór o 214 numerach, a 218 tomach, złożony z dzieł geograficznych i tyczących się krajoznawstwa, tudzież z map. Obok księgozbioru Towarzystwo posiada zaczątki zbiorów przyrodniczych, etnograficznych i archeologicznych, spory zbiór fotografii z widokami kraju i 29 przezroczy, ilustrujących Czarnohorę.

Tu mimowoli przypomina się znów Finlandya. Oto w Helsingforsie istnieje bogate Muzeum etnograficzne, które większość swoich cennych zbiorów zawdzięcza wędrownikom wakacyjnym po kraju, przedsiębranym przez młodzież uniwersytecką. Każdy student, idący latem czy to na daleką północ ku osadom rybackim nad oceanem Lodowatym, czy w głąb kraju ku najpiękniejszym

jeziorom i lasom, kołyszającym się wśród skał granitowych, uważa za swój obowiązek wyszukać, zdobyć i przynieść do Helsingforsu choćby jeden tylko skromny okaz, przeznaczony jako dar dla Muzeum. Z takich to darów powstały zbiory, wśród których nie brak rzeczy rzadkich, rzeczy takich, które tylko wypadkiem mogły być odkryte, a do których zbieracz fachowy nie dotarłby może nigdy.

Otóż zasada taka powinna być przyjęta i jaknajszerzej rozpowszechniana wśród członków Towarzystwa Krajoznawczego. Oczywiście nie odrazu Kraków zbudowany. Powoli jednak, z biegiem czasu, gdy rozwinie się u nas sport pieszy i młodzież zacznie zapuszczać się w coraz dalsze, mniej może powabne pod względem krajobrazowym, ale za to ciekawsze pod względem sposobu życia i charakteru mieszkańców okolice — być może powstanie i u nas Muzeum tak zasobne, jak w Helsingforsie.

Wróćmy jednak do działalności dotychczasowej Towarzystwa.

Świeżo Towarzystwo Krajoznawcze otrzymało, jako dar Muzeum szkolne, które niewątpliwie znajdzie w niem dobrego i troskliwego opiekuna.

Następnie dowiadujemy się ze sprawozdania, że Towarzystwo subsydiowało w roku ubiegłym dwóch młodych przyrodników i umożliwiło im wyjazd do Ojcowa, gdzie podczas wakacyj letnich zdołali oni zgromadzić 350 okazów botanicznych, oraz sporą kolekcję zoologiczną.

Dalej zawiązano rokowania o wymianę usług z Towarzystwem Tatrzańskiem, omawiano szeroko sprawę urządzenia wystawy krajoznawczej i uchwalono tymczasem na Wielkanoc roku bieżącego urządzić wystawę t. zw. *wycieczkową*. Zwrócono się też do redakcyj prowincjonalnych, pism polskich i do członków-korespondentów Towarzystwa z prośbą o kolekcjonowanie i przysyłanie Towarzystwu artykułów treści krajoznawczej. Uchwalono urządzenie szeregu odczytów agitacyjnych na prowincyi, celem otwierania oddziałów prowincjonalnych Towarzystwa w większych ogniskach kraju. Odczyty takie odbyły się już w Łomży i w Siedlcach.

Pozostawałaby tu do zrobienia jeszcze jedna rzecz w tym kierunku. Mianowicie odwołanie się do naszych sfer ziemiańskich z prośbą o czynne poparcie zadań i celów Towarzystwa, przez wstępowanie w poczet jego członków i tworzenie w rozmaitych okolicach kraju po dworach wiejskich „konsulatów“ Towarzystwa, tak, aby młody turysta, przedsiębiorczy wycieczkę w daną stronę, z góry mógł wiedzieć, gdzie znajdzie gościnne przyjęcie, radę

i wskazówkę. Należałoby to uczynić koniecznie, doświadczenie bowiem turystyczne uczy, że wbrew tradycjom gościnności polskiej nie wszyscy poczuwają się do obowiązku otwierania swojego domu przechodzącemu wędrowcowi, co zwłaszcza dziś, wobec rozwiniętego w kraju bandytyzmu, braku wzajemnej ufności człowieka do człowieka i koniecznych środków ostrożności jest do pewnego stopnia usprawiedliwione. Stąd tem potrzebniejsze są owe „konsulaty,“ gdzie po przedstawieniu odpowiedniej legitymacyi, turysta nie byłby uważany ani za przybłędę, ani za niebezpieczne indywiduum.

Trudno też powstrzymać się od uwagi, że, jak dotąd, zbyt jeszcze skromne są środki materialne Towarzystwa, a środki te przydałyby się bardzo, choćby z tego względu, że Towarzystwo, pragnąc działać i oddziaływać szerzej, powinno w ciągu lata urządzać własnym kosztem zbiorowe wycieczki nietylko dla członków swoich, ale i dla niezamożnej młodzieży. Wielce np. pożądaną rzeczą byłoby organizowanie takich wycieczek dla naszej młodzieży rzemieślniczej i robotniczej, która na własny koszt i z własnej inicjatywy przedsiębrać ich nie może i nie prędko będzie mogła. Tymczasem i dla tego odłamu młodzieży wycieczki te są bardzo potrzebne, a byłyby może jeszcze pożyteczniejsze niż dla młodzieży inteligentnej, która ma większą sposobność poznawania kraju drogą nauki. Z tego względu możni a ofiarni ludzie w naszem społeczeństwie powinny także zwrócić uwagę i na Polskie Towarzystwo Krajoznawcze i zasilać od czasu do czasu jego skromną kasę odpowiedniami funduszami na cel wymieniony.

---



# Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

## Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— Na ostatniem posiedzeniu Komisji historii sztuki w Akademii Umiejętności w Krakowie, odbytem pod przewodnictwem prof. D-ra Maryana Sokołowskiego, przewodniczący poświęcił na wstępie gorące wspomnienie ś. p. prof. Karolowi Potkańskiemu, zmarłemu w sierpniu b. r., który przez szereg lat, jako członek Komisji, brał żywy udział w jej pracach. Następnie przewodniczący przedłożył świeżo wydany I i II zeszyt VIII-go tomu Sprawozdań Komisji, a przy tej sposobności nakreślił w ogólnych zarysach program dalszych badań.

Z fotografii nadesłanych przez p. Stefana Zaborowskiego, a objaśnionych przez prof. D-ra Maryana Sokołowskiego, pokazuje się, że drewniany i skromny na pozór kościół w Boguszycach w Królestwie Polskiem, posiada w swym wnętrzu szereg bardzo cennych zabytków rzeźby, malarstwa i przemysłu artystycznego. Przedewszystkiem dużą wartość ma sufit polichromowany z XVI w., tryptyk malowany *alla tempera* na początku XVI w. ze scenami z życia Chrystusa, dalej tryptyk rzeźbiony, także z tego czasu pochodzący, ze scenami Pasji, piękny krucyfiks średniowieczny na tarczy, a drugi w bocznym ołtarzu, wreszcie drzwi dębowe z pełnemi charakteru okuciami gotyckimi i misternie skonstruowanym zamkiem.

Z kolei prof. D-r. Jerzy Mycielski w dłuższym referacie streścił rozprawę swą p. t. „Pierwsze stosunki Polski z malarstwem Flandryi wieku XVII i królewicza Władysława Wazy z Rubensem.“ Na rok 1624 początek tych stosunków przypada, a podróż królewicza do Flandryi w jesieni jest pierwszym ich objawem. Bawi on wtedy w Brukseli w gościnie u infantki Izabeli Klary Eugenii, odwiedza po drodze do oblężonej Bredy pracownię Rubensa w Antwerpji i wchodzi z nim w stosunki. We wrześniu i w październiku maluje mistrz w Brukseli portret Władysława, który znajduje się dziś pod fałszywym nazwiskiem w pałacu Durazzo-Pallavicini w Genui. Referent przedstawił po raz pierwszy wykonaną fotografię tego portretu, a oparł swe wywody na Dzienniku podróży królewicza przez Stefana Paca, na najnowszych publika-

cyach Maxa Roosesa o Rubensie i na własnych badaniach. Z tegoż roku 1624 pochodzi również słynna rycina Pawła de Pont wedle innego rysunku Rubensa, portretowi bardzo bliskiego, ale z nim nie identycznego. Stosunek królewicza z Rubensem, ale i z wszystkimi niemal innymi współczesnymi malarzami Flandryi, ilustruje dalej inne jeszcze dzieło sztuki. Obraz to wykonany przez Wilhelma van Haecht w 1628 r., który jest własnością lorda Huntingfield w Birmingham, a znajdował się świeżo w Bruges na wystawie „Złotego Runa,“ gdzie go referent zbadał i fotografię zeń obecnie przedstawił. Obraz ilustruje odwiedziny infantki i jej męża, arcyksięcia Albrechta, oraz królewicza Władysława w galerii słynnego kolekcjonera brukselskiego Corneliusa van der Geest; portrety ich znajdują się na obrazie, a portret Władysława wykonany jest identycznie wedle portretu malowanego przez Rubensa; nadto wszyscy niemal artyści współczesnej Flandryi umieszczeni są w tem zebrawiu. Obraz ten jest ważnym dla stosunków Władysława z artystami Flandryi drugiej ćwierci XVII w. W ślad za tem rozpatrywał referent skutki tych stosunków, a przedewszystkiem stwierdził, że Rubens wymalował dla zamku na Wawelu portret Kazimierza W., dziś zaginiony. Skutki dalszych tych stosunków ciągną się następnie aż do roku 1680 mniej więcej; to jeszcze portrety Zygmunta III, królowej Konstancyi i królewicza Władysława, dalej portrety Maryi Gonzagi przez Justusa van Egmont, rycina Krzysztofa Rądziwiłła przez Miereweldta, wreszcie pobyt we Flandryi na naukach malarzy polskich Jana Tricusa i Daniela Frehera.

— BIBLIOTEKA ord. hr. Krasieńskich wzbogaciła się w ostatnich czasach paru średniowiecznymi dokumentami: a mianowicie otrzymała przywilej Bolesława Wstydlwego dat. na wiecu w Obrazowie dn. 4 lutego 1256 r., w którym ks. Bolesław potwierdza swobody nadane przez Kazimierza Sprawiedliwego i Leszka Białego wsiom należącym do klasztoru miechowskiego. Dokument ten był już drukowany w Nakielskiego „Miechowie,“ str. 176 i przez Fr. Piekosińskiego w Kodeksie dyplomatycznym małopolskim t. II. Przywilej ten Bolesława Wstydlwego potwierdził w Krakowie dnia 9 maja 1354 r. Kazimierz Wielki, a potwierdzenie to w oryginale, pozbawione dziś pieczęci, dostało się również do biblioteki ord. hr. Krasieńskich. Było ono również dwa razy drukowane — raz przez Nakielskiego l. c. str. 278., drugi raz w Kodeksie dyplom. małopolskim, t. III. Ponadto nabyła Biblioteka dokument Władysława Łokietka, dat. z Sieradza 11 sierpnia 1295 r., w którym książę wynagradza zasługi swego sługi Wilezka dwoma lanami w Wielgiejwsi. Przywilej ten zaopatrzony jest piękną pieczęcią Łokietka z herbem sieradzkim. Przywilej ten był drukowany w Kodeksie dypl. małopolskim.

Pozatem do działu rękopisów przybyły w ostatnim miesiącu:

1) „Informatio circa omnia negotia temporalia domus Varsaviensis Congregationis Missionis.“ Zawiera opis historyczny kościoła św. Krzyża z podaniem całego szeregu dokumentów od 1526 do 1768 r., wykazy zapisów oraz wszystkich dóbr do tego kościoła należących. Fol., str. 123.

2) „Litterae speciales Rđmi P. N. Cypriani a S. Marco nec non acta visitationis apostolicae sub Benedicto XVI pontifice maximo anno Domini 1750 inchoata.“ Zawiera akty i dokumenty dotyczące wizytacji kościołów i zakładów Pijarskich w Polsce, odbytej w roku 1750 przez Cypryana Komorowskiego, naznaczonego przez papieża wizytatorem tych klasztorów. Jest tu także cała korespondencya w tej sprawie prowadzona, a także odpowiedzi na bardzo szczegółowy kwestyonaryusz, rozesłany przez Komorowskiego. Kwestyonaryusz ten obejmował między innymi zapytania co do stanu obecnego budowli kościelnych. Odpowiedzi, w tej mierze dawane, mają wielkie znaczenie dla historii sztuki, bo wiele szczegółów zawierają, o których tylko z tego źródła można powziąć wiadomość, gdyż wiele już tych budowli dziś nie istnieje. Jeszcze większe ma znaczenie ten rękopis dla historii szkół pijarskich, daje bowiem dokładny ich obraz, podaje wykazy wykładających, ilość uczniów i t. p. Fol. kart 157.

3) Zapisy różne... conwentowi Chencińskiemu siostr Klary Świętej... za xięstwa Przewiełebnej... Ludwiki Elżbiety Zakrzewskiej Roku Pańskiego 1663. Obejmuje akty od 1640—1783 r. W drugiej części zatytułowanej... Spisanie placu, na którym Oratorium górne i mieszkania dolne stoją... także i zamku starego przeciw klasztorowi przywilejem szczęśliwie panującego... Jana Kazimierza, danego R. P. 1658 (z dokumentami od 1606—1679). W części trzeciej: Grono winnicy Chrystusowej, kroniczka klasztorna od 1645 — 1830 r. W części czwartej: Pamiątka następujących wieków. Inna kroniczka od 1645 do 1830. Fol. k. 331.

## N O W E K S I A Ź K I.

— ALEKSANDER POLIŃSKI. Dzieje muzyki polskiej w zarysie. Lwów, 16-o, str. 280 ze 147 ilustracyami.

Jako siódmy z kolei tom „Nauki i Sztuki“, wydawnictwa Towarzystwa Nauczycieli szkół wyższych we Lwowie, świetnie redagowanego przez prof. Tadeusza Piniego, ukazała się powyższa praca, stanowiąca pierwszą monografię muzyki w Polsce od najdawniejszych czasów, aż do ostatnich dni. Monografia ta wypełnia bardzo dotkliwą lukę w naszej literaturze i przynosi tak wiele nowych wiadomości o muzyce w Polsce, że ma znaczenie nie tylko dla nas specjalnie, ale także dla historii muzyki w ogólności. Wykazuje ona znaczny i nieprzewidywany przez obcych uczonych rozwój tej sztuki w Polsce, zaznajamia z całym szeregiem nieznanych zupełnie kompozytorów i kompozycyj. P. Aleksander Poliński, który od dłuższego już czasu, bo przez ćwierć wieku z górną, dokładał wszelkich starań do zgromadzenia rozproszonych po całym kraju fragmentów polskich kompozycyj, w największym zaniechaniu się znajdujących po strychach kościelnych, klasztornych refektarzach i t. p., przynosi bardzo bogaty plon ze swoich poszukiwań. Odśłania cały szereg nieznanych dotąd osobistości, wielce zasłużonych w muzyce polskiej, a o których zgoła dawniej nie wiedziano, takimi są: Mikołaj z Krakowa, Mikołaj Z., Wojciech Długoraj, Janczewski, Nowakowski, Podbielski, Białecki, Jezierski, Ró-

życki, Radomski, Wronowicz, Damian, Szarzyński, Sorzewski, Paszkiewicz, Pierzyński, Kosmowski, Zieleniewicz i wielu innych. A co najważniejsza, autor po raz pierwszy zebrał w jedną całość rozproszone w olbrzymiej ilości ksiąg, wydawnictw i rękopisów luźne wzmianki o muzyce w naszym kraju. Zapewne, nie jest to wszystko, ale jest bardzo wiele, więcej, niż możnaby się spodziewać po pracy jednego człowieka. Jest to dowód swego rodzaju wirtuozyzmu, no i pewnej dozy szczęścia. Książka jest ozdobiona bardzo wielu rysunkami, facsimilami rękopisów, not, autografów, miniatur etc., układ jej przejrzysty ułatwia rozejrzenie się w wydawnictwie, a forma dostępna dla szerszych warstw czytelników, każdemu daje możność zapoznania się z tyle cennymi rezultatami żmudnej pracy i trudnych, specjalnych dociekań.

*F. P.*

#### WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

BIBLIOTEKA NOWA kaznodziejska № 12. Kazania Ks. Ks.: Tadeusza Styczyńskiego, prob. z Wytomyśla (2), Edmunda Gryglewicza, prob. z Ślesina (3), Karola Kielczewskiego, prob. z Czempinia, Włodarczyka ze Zbąszynia, Czerwińskiego prob. z Wielowśi, L. Żebrowskiego z Wilna, X. B. z P., X. G. S. Ż., prałata Kurczewskiego z Wilna i X. N. . .

— Uniwersalna, zes. 418. Hoesick F.: Jan Kochanowski w świetle dotychczasowych wyników krytyki historyczno-literackiej;—Kontrymowicz Ogiński Jan: Tragedya w Glinianach. Legenda historyczna z XIV wieku na starych szpargałach oparta; — Balicki Ant. Euzeb.: Dla ludzi, powieść (Luźne karty współczesnego rękopisu).

GŁOS nauczycielstwa ludowego, organ związku nauczyciel. ludowego, poświęcony sprawom zawodowym. Wrzesień—Październik. Kongres nauczycielski w Wiedniu dn. 2-go listopada 1907;—Okólnik informacyjny;—Nasze konferencye okręgowe;—Krajowa konferencya;—Czy szkoły trzyklasowe mają racyę bytu?—Szkoła galicyjska: Awans o dziesięć koron rocznie;—Protekcya górą;—Deputacya Związku w Sejmie;—Krzywdy;—W obronie nauczycielstwa ludowego;—Ruch nauczycielski i wiadomości bieżące;—Nasze petycye w Sejmie krajowym;—Odezwa;—Od redakcyi;—Ogłoszenia.

HOMILETYKA I PRZEWODNIK SPOŁECZNY. Listopad. Nauka pedagogii (ciąg dalszy). Źródło pedagogiczne;—Stanowisko pedagogii w zakresie nauk;—Gdzie szukać wzorów wymowy kościelnej (dokoń.);—Zachęta do obchodu piętnastowiekowej rocznicy śmierci św. Jana Chryzostoma;—Dział kaznodziejski;—Kazania na niedzielę;—Kazania przygodne;—Ascetyka;—Wiadomości teologiczno-pastoralne.

KRYTYKA. Listopad. (f): Metamorfozy galicyjskie;—Edward Leszczyński: Pożegnanie Atlantydy;—Jan Kaczkowski: Poemat o nowym człowieku;—Dr. Bronisław Biegeleisen: Dobro i zło;—Wacław Sieroszewski: Małżeństwo, powieść;—Zofia Rygier-Nalkowska: Uwagi o etycznych zadaniach ruchu kobiecego; — (X): Kobieta wyzwolona a miłość. W odpowiedzi p. Rygier-Nalkow-

skiej;—Konstanty Balmont: Iskry. Tłóm. Zygmunt Niepielski. Przegląd prasy polskiej i obcej;—Sprawozdania naukowe i literackie.

KULTURA. Październik. Z. Pietkiewicz: Na przełomie; — L. Krzywicki: Sic itur ad virtutem; — J. B. Marchlewski: Uwagi nad sprawą rolną w Król. Pol.; — J. Lorentowicz: Elemir Boarges (portret liter.); — K. Kasperski: Prawo budżetowe rosyjskie; — M. Römer: W sprawie litewskiej; — J. Dmochowski: O położeniu pracowników handl. (Ankieta);—A. Gawliński: Dwie muzy;—Goe: Tatry Warszawskie;—Kronika społeczna.

KWARTALNIK TEOLOGICZNY. Zeszyt III i IV. Ks. Dr. J. N. S.: Ks. K. Skorkowski (1768—1851) i jego archiwum;—Dr. J. Bieliński: Wydz. teologiczny Król. Warsz. Uniw. (1817—1831); — Zarys hist. (dok.); — Ks. St. Chodyński: Biskupi Sufragani wrocławscy;—X. J. Charszewski: Łzy Krokodylowe (Odprawa „Gorzkim żalom“); — Ks. Kan. A. Szlagowski: Totemizm a religia izraelska; — Ks. I. N. S.: Listy otwarte do księży Maryawitów, Mankietnikami zwanych (c. d.);—Ks. Ł. Janczak: Z dziejów klasztoru księży Trynitarzy w Orszy (dok.);—Ks. A. F. Łobalski: Listy znakomitych mężów w XVI w. roku 1578, zebrane w trzy księgi przez bisk. St. Karnkowskiego; — Ks. L. Jarosiński: O godności stanu kapłańskiego i wypływających stąd obowiązkach kapłanów (c. d.); — K. Bartoszewicz: Ks. P. Rzewuski, bis. sufragan Warszawski; — Ks. prałat St. Chodyński: Notaryusze kapituły włocł.;—Ks. A. Szaniawski: Księga praw najstarsza w świecie. Kodeks Hammurabi'ego, króla Babilonu (c. d.); — Ks. A. Szaniawski: Najnowsze odkrycia w teorii budowy Psalmów (c. d.);—Krytyka;—Bibliografia.

PRZEGLĄD HISTORYCZNY. Wrzes. — Październik. Początki biskupstwa krakowskiego (z teki pozgonnej M. Gumpłowicza); — W. Kamieniecki: Pobyt króla Jana Zapolii w Polsce w 1528 roku; — Wł. Konopczyński: Odwrócenie przymierzy w Europie 1755—1757; — E. Łuniński: Przymierze prusko-polskie i konstytucya majowa; — G. Smólski: Z pamiętnika.

PAMIĘTNIK LITERACKI. Zeszyt III. Wł. Ówik: Mikołaj Sep Szarzyński, Żywot i dzieła; — L. Biernacki: Źródła niektórych komedyj Fr. Zabłockiego;—J. G. Pawlikowski: Źródła i pokrewieństwa towianizmu i mistyki Słowackiego;—L. Biernacki: Nieznana praca Jana z Koszyczek;—X. K. Miaskowski: Z teki bibliograficznej;—R. Plenkiewicz: Dwa dyalogi pultuskie;—Recenzje i sprawozdania przez A. Brücknera, St. Dobrzyckiego, T. Piniego i J. Reinholda; — Bibliografia czasopism polskich za r. 1905, ułożył St. Virtel.

PRZEGLĄD POWSZECHNY. Październik. Ks. Leonard Lipke T. J.: Twórcze siły społeczne i kulturalne chrystyanizmu;—Teodor Jeske-Choiński: Jedno z niebezpieczeństw w Królestwie;—Stanisław Wyspiański: Juliusz II, fragment dramatyczny;—Adolf Karling: Finlandya a katolicyzm;—Ks. St. Adamski T. J.: Wohec ruchu rozwodowego. Refleksye o istocie małżeństwa (dok.); — M. Paciorekiewicz: Twórczość Bossueta i Fenelona (dok.); — Przegląd piśmiennictwa przez W. Nawratila, ks. Wł. Rejowicza T. J., ks. Henryka Haducha T. J., St. Dobrzyckiego, ks. A. Starkera T. J., Teresę Wodzicką, M. J. U. T. J., A. N. Z., N. Z., A. Ch. A. N., H.; — Sprawozdanie z ruchu relig., nauk. i społecznego przez ks. Wiktora Wieckiego T. J., Maryę Marsdorf i X.

— Zeszyt 11. Listopad 1907. Franciszek Morawski: Genuieńczyk w Poznaniu; — Stanisł. Smolka: Jeden z planów odbudowania Polski; — Ks. Wiktor Wiecki T. J.: Od szatana do Boga; — Ks. Leonard Lipke T. J.: Twórcze siły społeczne i kulturalne chrystyanizmu (c. d.); — Adolf Karling: Finlandya a katolicyzm (dok.); — Przegląd piśmiennictwa przez ks. dr. Józefa Karczmarczyka, Antoniego Mazanowskiego, A. Ziemięckiego, M. B., ks. Ernesta Matzla T. J., ks. A. Starkera T. J., T. Wodzicką, E. i A. N. Z.; — Sprawozdanie z ruchu relig., nauk. i społecznego przez ks. Jana Pawelskiego T. J., Adolfa Chybińskiego, ks. F. Hortyńskiego T. J. i dr. Zdzisława Jachimeckiego.

RODZINA I SZKOŁA. Październik. Tomasz Markowski: Kara cielesna u teoretyków pedagogicznych; — dr. Witold Barewicz: O przeciążeniu młodzieży; — dr. Bronisław Kaczorowski: Stan uzębienia i ogólnej czystości ciała dzieci szkolnych, szkół miejskich lwowskich w cyfrach; — dr. Bronisław Klarfeld: Nerwy w ustroju ludzkim; — M. H.: Liga obyczajności społecznej; — M. J. H.: Izraelski instytut teologiczny; — Piśmiennictwo; — Rozmaitości i ogłoszenia. Dodatek „Wiedza i Praca”; — Zygmunt Morawski: Perły i ich powstanie; — Czesław Pieniążek: O lekceważeniu ojczyźnej mowy; — \* \* \*: Obrazy malowane sukmem; — dr. Wizel: Trzeci kongres esperantyczny; — Rozmaitości; — Ogłoszenia.

ŚWIAT SŁOWIAŃSKI. Listopad. Roman Zawiliński: Polacy a Rusini w Galicyi w świetle statystyki urzędowej (z mapą); — J. J. Langner: Czeskie stonictwo agrarne; — A. Grzymała-Siedlecki: M. Kociubyński; — Adam L. Szymański: Polacy w Pieśni Ludowej słowiańskiej; — Recenzye i sprawozdania; — Przegląd prasy słowiańskiej; — Kronika.

WSZECHŚWIAT I CZŁOWIEK. Zeszyt 72. Dzieje rozwoju przyrody i człowieka. Opracowane pod redakcją H. Kremera. Przekład Stanisława Kramsztyka. 2,000 ilustracyj i tablic kolorowych. Warszawa, 1907. Wydawn. Tow. Akc. S. Orgielbranda Synów. Skład główny w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 281 — 312.

— Zeszyt 73. Dzieje rozwoju przyrody i człowieka. Opracowane pod redakcją H. Kremera, Przekład Stanisława Kramsztyka. 2,000 ilustracyj i tablic kolorowych. Warszawa, 1907. Wydawn. Tow. Akc. S. Orgielbranda Synów. Skład gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o str. 313 — 336.

ZDROWIE. Dr. A. Krysiński: Warunki sanitarne lokali szkolnych i stan fizyczny młodzieży ze szkół Kola Przemysłowców Warsz. w r. 1906 — 7; — Dr. L. Wernic: Pierwsze letnisko szkolne; — dr. I. Rottermund: Hygiena, jako przedmiot wykładu w szkołach średnich i ludowych; — Dział sprawozdawczy; — Ze zjazdów i wystaw higienicznych; — Z towarz. higien. i im pokrewnych; — Wiadomości drobne.

## B I B L I O G R A F I A.

## HISTORIA LITERATURY.

ANAKREONT. Przekłady Pietrzyckiego Jana. Lwów, 1908. Nakł. ksiąg. Polskiej B. Polonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 16.

BRÜCKNER ALEKSANDER: Dzieje literatury polskiej w zarysie. Wydanie drugie. Warszawa, 1903. Nakł. Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, t. I, str. XI+485, t. II, str. VII+499.

DICKSTEINÓWNA JULIA: Jeremi Polski (Kornel Ujejski). Wspomnienie w dziesięć lat po zgonie. Warszawa, 1908. Nakład ksiąg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 60.

GRABOWSKI TADEUSZ, DR: Eliza Orzeszkowa, szkic jubileuszowy. Kraków, 1907. Nakł. komitetu jubileuszowego. 8-o, str. 41.

KOŚCIAŁKOWSKA WILA ZYNDRAM: Szkice literackie I. Ignacy Chodźko. Biblioteka dzieł wyborowych № 484. Warszawa, 1907. 8-o, str. 147.

KUCHARSKI EUGENIUSZ: Fredro, jako romantyk. Przyczynek do dziejów polskiego romantyzmu. Lwów, 1906. Nakł. Tow. Lit. Im. A. Mickiewicza: 8-o, str. 31.

LAGOWSKI FLORYAN: Historia literatury polskiej w zarysie. Część IV od Mickiewicza do r. 1850. Napisał... Warszawa, 1907. Książki dla wszystkich № 362. Nakład M. Arcta. 16-o, str. 211.

PETZOLD EMIL: Reminiscencye z Tiecka w „Dziadach.“ Lwów, 1906. Sprawozdanie dyrekcji c. k. IV gimnazjum we Lwowie za rok szkolny 1906. Nakładem funduszu naukowego. 8-o, str. 14.

PIETRZYCKI JAN: O lirycie Konopnickiej kilka uwag. Lwów, 1907. 8-o, str. 16.

SKARGA PIOTR, KS. JEZUITA: Kazania sejmowe. Warszawa, 1907. Wydawn. „Dziennika Powszechnego.“ Skł. gl. w ksiąg. M. Szczepkowskiego. 8-o, str. 271.

ŚWIĘCICKI JULIAN ADOLF: Historia Literatury Powszechnej z ilustracyami. III. Literatura Arabska. Wydanie drugie. Nakł. autora. Warszawa, 1907. Skł. głów. w ksiąg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 415.

— Historia Literatury Powszechnej z ilustracyami. II. Literatura Chińska i Japońska. Wydanie drugie. Warszawa, 1907. Nakładem autora. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 446.

UNIwersytet. C. k... Jagielloński w Krakowie. Skład uniwersytetu w półroczu zimowem. Rok szkolny 1907/8. Kraków, 1907. 8-o, str. 48.

WIERZBOWSKI TEODOR: Biblioteka zapomnianych poetów i prozaików polskich XVII—XVIII w. Zeszyt XXIV. Wiersze polityczne i przepowiednie, satyry i paskwile z XVI wieku. Z zapomogi kasy im. Mianowskiego. Warszawa, 1907. Skł. gl. w ksiąg. E. Wende i Sp. 8-o, str. VII i 96.

## PRAWO. — EKONOMIA. — NAUKI PRAWNO-POLITYCZNE.

ADAMSKI ST., KS. T. J.: Wobec ruchu rozwodowego. Refleksje o istocie małżeństwa. Kraków, 1907. Nakł. Redakcyi „Przeglądu Powszechnego.“ 8-o, str. 57.

BIEDERLACK T. J., KS.: Kwestya społeczna. Przyczynek do zrozumienia jej istoty i rozwiązania jej. Z siódmego wydania niemieckiego przełożył za zezwoleniem autora dr. T. Rzymiski. Poznań, 1908. Nakładem księgarni św. Wojciecha. 8-o, str. 335.

GRUŻEWSKI TADEUSZ (G. Topór): Państwowość rosyjska. Serya rozpraw i artykułów politycznych. Warszawa, 1907. Bibliot. Dzieł wybor. № 509. 8-o, str. 144.

KANTAK J. K., KS.: Państwo—Naród—Jednostka. Poznań, 1907. Nakł. księg. św. Wojciecha. 8-o, str. 119.

LANGE JÓZEF: O prawach kobiety jako żony i matki (według przepisów obowiązujących w Królestwie Polskiem). Warszawa, 1907. Książki dla wszystkich № 303. Nakład M. Arcta. 16-o, str. 146.

LISZT VON FRANCISZEK, DR. PROF. PRAWA UNIW. W BERLINIE: System prawa międzynarodowego. Za zezwoleniem autora według IV przerobionego wydania przetłómaczył dr. Witold Olszewski. Kraków, 1907. Księg. L. Frommera. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. XV+421.

MOGILNICKI ALEKSANDER: Krótkie streszczenie wykładów prawa handlowego (z dodaniem pewnych informacji z dziedziny prawa cywilnego), zastosowanych do programu półrocznych kursów buchalteryjnych Mantinbanda w Łodzi. Przez... Łódź, 1907. Nakł. autora. Skł. gł. w księg. St. Miszewskiego. 8-o, str. 23.

STANISZEWSKI STANISŁAW: Rzut oka na stan ekonomiczny Królestwa Polskiego. Warszawa, 1907. „Prawda.“ 8-o, str. 235.

SUJKOWSKI ANTONI: Geografia ekonomiczna. Część I-sza, ogólna. Warszawa, 1907. Nakładem b. wychow. szkoły handl. im. L. Kronenberga. Skł. głów. w księg. E. Wende i Sp. 3-o, str. 142.

ŻUKOWSKI WŁADYSŁAW: Dochody i wydatki państwowe w Królestwie Polskiem. Warszawa, 1907. Nakładem Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 136.

## ESTETYKA. — SZTUKI PLASTYCZNE.

COZOŁOWSKI ALEKSANDER, DR.: W sprawie galeryi miejskiej. Odpowiedź prof. dr. Janowi Bołoz Antoniewiczowi. Lwów, 1907. Nakł. autora. 8-o, str. 19.

FRIMMEL-LICHTWARK-SIZERANNE: Podstawy kultury estetycznej. Lwów, 1907. Nakł. H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 172.

POTOCKI A.: Portret i krajobraz angielski. Z 84 ilustracyami. Lwów, H. Altenberg. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 123.



## NAUKI PRZYRODNICZE.

KUŹNIAR WIKTOR: Eocen tatrzański (z 3-ma rysunkami w tekście). Kraków, 1907. Nakł. Ak. Um. 8-o, str. 33.

MATERIAŁY do słownictwa Chemicznego Polskiego. II. Pojęcia ogólne, czynności, przyrządy, zebrane przez Delegację Sekcyi Chemicznej Tow. popier. Przemysłu i Handlu w Warszawie. Warszawa, 1907. Skład główny w Administracyi „Chemika Polskiego.“ 8-o, str. 20.

TREADWELL F. P., DR. prof. chemii analitycznej w politechnice zuryskiej. Chemia analityczna ilościowa. Za upoważnieniem autora z IV wydania oryginału przełożyli K. Adwentowski i W. Staronka, asystenci uniw. Jag. Przekład poprawił, przypiskami uzupełnił i wydał dr. Ludwik Bruner, doc. uniw. Jag. Kraków, 1908. Nakład grona chemików. G. Gebethnera i Sp. 8-o, str. XII+659 nlb.

WÓJCIK KAZIMIERZ, DR.: O prawdopodobnem rozprzestrzenieniu krakowskiego zagłębia węglowego na południe i na wschód od Krakowa. Wyciąg z odczytu, wygłoszonego dn. 19 lutego 1907 r. w Tow. Górnictwem w Krakowie. Kraków. 1907. Nakł. Tow. Gór. 8-o, str. 16.

## P E D A G O G I A.

KĘCZKOWSKA ZOFIA: O samokształceniu charakteru. Kraków, 1907. Nakł. Tow. Wyd. Katol., Spółka Wyd. Pol. 8-o, str. 132.

PRÓSZYŃSKI STEFAN: Przyczynek do sprawy wychowania. Kraków, 1908 G. Gebethner i Sp. Nakład. autora. 8-o, str. 40.

SPENCER HERBERT: O wychowaniu umysłowem, moralnem i fizycznym. Przełożył Michał Siemiradzki. Wyd. szóste. Warszawa, 1908. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 314.

## POWIEŚĆ. — POEZJA.

BELZA WŁADYSŁAW: Złote ziarna zebrane z dzieł pisarzy polskich przez... Poznań, 1907. Nakład. K. Kozłowskiego.

BRODZIŃSKI KAZIMIERZ: Wiesław. Sielanka. Wydanie piąte. Warszawa, 1907. Nakład. księg. S. Bukowieckiego. Biblioteczka Narodowa № 9. 8-o, str. 21.

CZECHOW ANTONI: Zbiór Nowel. Tłómaczył z rosyjskiego J. Bissinger. Tom III. Łwów—Złoczów, 1907. Nakład. księg. W. Zukerkandla. 8-o, str. 47.

DANIŁOWSKI GUSTAW: Jaskółka. Powieść współczesna. Kraków, 1908. G. Gebethner i Sp. 8-o, t. I str. 266, t. II str. 324.

DEOTYMA: Sobieski pod Wiedniem. Przez... Polska w Pieśni. Tom trzeci. Śpiewy: VII, VIII i IX. Warszawa, 1908. Skład gł. w księg. K. Trepte. 8-o, str. 291.

DĘBICKI ZDZISŁAW: Kiedy ranne wstają zorze. Poczye. Lwów, 1907. Nakład. Tow. Wydawniczego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 153.

FRAPÍÉ LEON: Ochronka. Powieść. Przekład Wandy Bruner. Lwów, 1908. Pol. Tow. nakładowe, księg. Polska B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i Sp. 8-o, str. 243.

GAWALEWICZ MARYAN: Dwie baśnie. I. Synowie Laokoon (Ze snów na jawie). II. Jak się głupi Janek kochał (Wierutna bajka). Warszawa, 1907. 8-o, str. 102.

GERMAN JULIUSZ: Mściciel. Dramat. Lwów, 1908. Nakład. księg. H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i Sp. 4-o, str. 134.

GLASS GRZEGORZ: Błyski. Lwów, 1908. Polskie Towarzystwo nakładowe. 8-o, str. 147.

GRABOWSKI ZYGMUNT: Z obczyzny. Opowiadania. I. Iwona. II. Tajemniczy list. Lwów—Złoczów, 1907. Nakł. księg. W. Zukerkandla. 8-o, str. 116.

GRUSZECKI ARTUR: Bojownicy. Powieść. Wyd. drugie. Kraków, 1908. G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 440.

GRUSZECKI ARTUR: Na Wulkanie. Powieść na tle rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem. Kraków, 1908. Księgarnia G. Gebethnera i Sp. 8-o, str. 517.

HAJOTA: W pogoni. Powieść. Warszawa, 1907. Nakład. Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skł. gł. w księg. E. Wende i Sp. 8-o, str. 488.

IBSEN HENRYK: Nora czyli dom lalki. Sztuka w trzech aktach. Spol-szczył Karhal. Lwów—Złoczów, 1907. Nakł. księg. W. Zukerkandla. 8-o, str. 94.

JAROSZYŃSKI TADEUSZ: Doktor Tomasz. Powieść. Warszawa, 1907. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 289.

KARWATOWA z BARDZKICH ANNA: Kahna. Obrazek ludowy w 3-ch aktach. Muzyka St. Ogórkowskiego. Wydanie drugie. Poznań, 1908. Nakład. księg. A. Cybulskiego. 8-o, str. 82 + 11.

KRASIŃSKI ZYGMUNT: Przedświt. Wstępem i objaśnieniem opatrzył Jan Michalski. Warszawa, 1908. Książki dla wszystkich № 388. Nakład. M. Arcta. 16-o, str. 78.